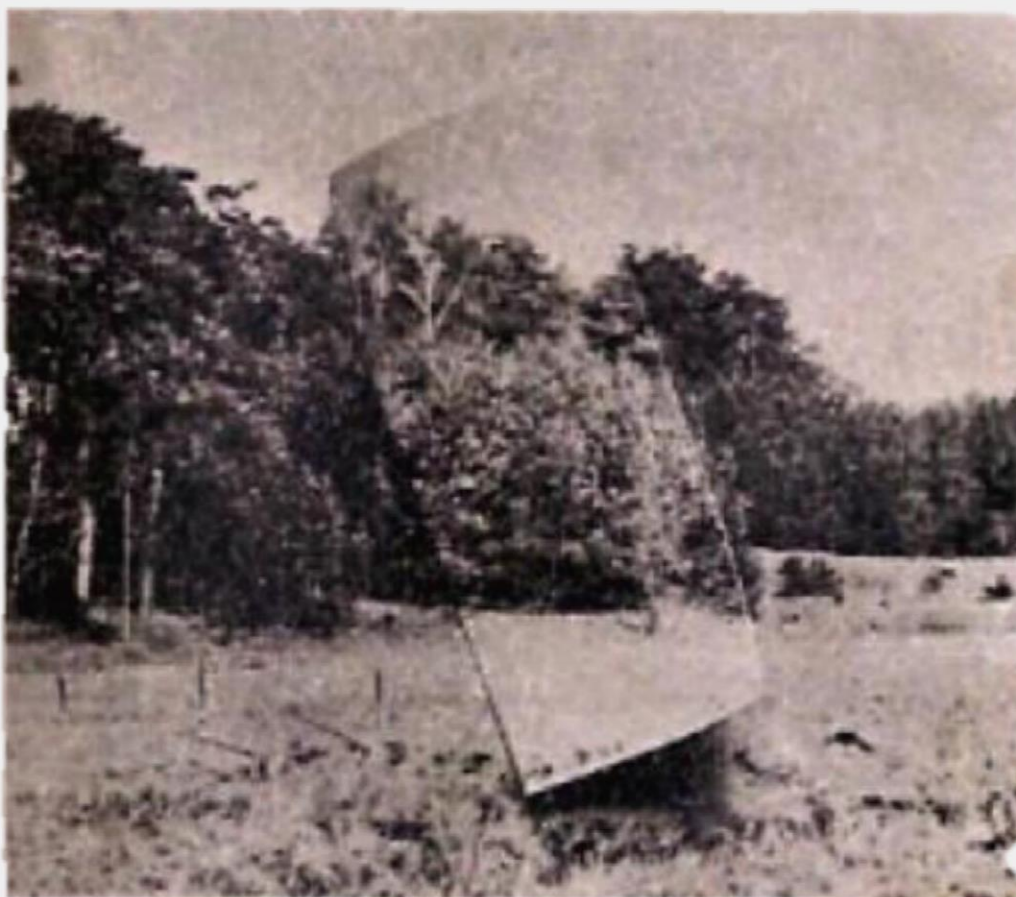


LECH BORSKI



VELVA

Część I Chłopiec

Natychmiast po uroczystości powinniśmy puścić się biegiem, każde w swoją stronę - tak właśnie zalecano uczynić, zalecano, nie było wyraźnie sformułowanego rozkazu - ale widzowie, świadkowie, nie czekali na nasz start, rozproszyli się pospiesznie, gdy tylko komandor opuścił rękę, choć przecież ich pozostanie do chwili, w której mieliśmy pobiec, też - jak wtedy sądziłem - stanowiło zwyczaj. Odeszli może dlatego, że na rynku nie było cienia i mimo wczesnej pory skwar panował taki, jak w środku lata. Ale nie należało opuszczać nas tak szybko, nie powinni zostawiać podróżników samotnych, nim ci zrobili pierwsze kroki. Pragnąłem ich jeszcze widzieć, gdyśmy stali, gotowi do biegu, lecz ciągle jeszcze nieruchomi, czując ociężałe, luźne pasy na biodrach. I kiedy oni, tłumni przed chwilą, zniknęli tak nagle, nas w upalnej ciszy -pociągnął niespodziewanie - i nieuchronnie, teras o tym wiem - most. Jednocześnie, bez słowa i porozumienia, ale wszyscy razem, popędziliśmy w jego kierunku, prawdopodobnie po to, by się pożegnać. Bo może przez cały ranek oczekiwaliśmy pożegnań mocniejszych i bardziej wyraźnych niż te, które mieściły się w porządku.

Tego dnia po wschodzie słońca zaczęło się zupełnie inaczej i mimo że nieustannie od dawna wyglądałem zmiany, uległem podnieceniu widząc na krześle obok posłania pedantycznie złożone, szare, płócienne ubranie. Nieskazitelne oczywiście, bo nowe. Widziałem, że tak ma być, wiele oznak i wiele słów pojawiało się od pewnego czasu, dostatecznie dużo, bym rozumiał, że niebawem mam szukać chłopca.

Któregoś dnia, gdy ukradkiem, zamknięty w pracowni na piętrze, przymierzałem pas, jeszcze nie tknięty nożem, przyłapał mnie ojciec, ale nie powiedział ani słowa, skinął głową, co prawie mogłem przyjąć za przyzwolenie, i cicho zamknął drzwi. Zaniepokoiła mnie jego zgoda, a on na pewno rozgniewał się naruszeniem prawideł, lecz nie odłożyłem pasa, porządnie zapiąłem, badając, czy układa się dostatecznie miękko i niedbale, i szukając lustra (w końcu wspiąłem się na umocowany na kozłach blat i - był wieczór, a pracownię oświetlono - ujrzałem się w szybie), a on czekał pod drzwiami, bo choć nie zwrócił mi uwagi, to nie potrafił posunąć się dalej w tolerancji i odejść.

Gdy wyszedłem po długiej chwili, milcząco spoglądał na mnie w mrocznym, obszernym korytarzu, łączącym wszystkie pomieszczenia piętra, może czekał na usprawiedliwienie - odrzuciłem jednak ten domysł i nie padło ani jedno słowo, jego oczy badały moją twarz tak, jak dawniej, gdy dopuściłem się któregoś z licznych wykroczeń przeciw obyczajom czy prawidłom; wiedziałem, że jeżeli zechcę się uniewinniać, ojciec ukarze mnie, bo wówczas już żaden z nas nie będzie zdolny udać, iż nic się nie stało. Patrzył na mnie spojrzeniem trochę

bolesnym i znacznie bardziej przejętym, niż mogłem oczekiwać (nie wiedziałem - a czy dzisiaj wiem? - że było w nim pytanie o stopień mojej wiary, a raczej o zasięg jej utraty, nie, wówczas nic takiego nie mogło mi przyjść do głowy: ani że ja miałbym lekceważyć nauki,

ani że on potrafiłby sobie lekceważenie wyobrazić), spostrzegłem, że musi lekko, prawie niezauważalnie wznosić ku mnie głowę, poczułem się nieswojo, konstatuując, że jestem od niego wyższy - w innych okolicznościach nie zechciałbym zauważyć tej różnicy, ojciec zresztą nigdy nie dopuszczał do zmniejszania wyznaczonego dystansu, ja nie ośmielałem się na porównania, a może po prostu ich nie czyniłem, bo nie mogły przynieść ani pożytku, ani wzruszenia, raz na zawsze wpojono mi w szkole pewność o przewadze dorosłego mężczyzny.

Gdybyśmy zaczęli mówić, musiałby mnie ukarać - i zląkłem się, że zhańbiony nie wyruszę na poszukiwania. Może zasygnalizowałem ojcu ten strach, bo jego usta drgnęły, jakby miały mi przekazać zapewnienie, że stanie się to, co zamierzano, ale pozostały nieme. Ojciec odwrócił się i odszedł cicho, zdjąłem pas, rozpamiętując jego wzrok i jego wargi, zatrzymane w pierwszym ruchu, i nie potrafiłem zinterpretować właściwie ani jednego, ani drugiego znaku. Miałem wyruszyć i wyruszyłbym na pewno bez względu na wykroczenia, ale nie mogłem tego wiedzieć. Mówiono o prawie wyboru, a jednak nie zdarzyło się, by ktoś zrezygnował. Wędrówkę nazywano dobrowolną i można było pozostać w domu. Słyszałem i o zakazie wyjścia, lecz wspomniano o nim jedynie, nie opatrując przestrogi przykładami. Nie było za mojej pamięci realizacji ani takiego prawa, ani takiego wyroku. Nawet monosylabiczne protesty matki czy raczej jej mimowolne odruchy niechęci, gdy wspomniano o czekających mnie poszukiwaniach, odruchy, które tak dobrze umiałem rozpoznawać (nigdy nie zdradziłem, że wiem, o co jej chodzi - tak jak w korytarzu na górze ojciec w istocie nie zdradził słowem czy gestem, że wie o moim przestępstwie, a ja nie ujawniłem, że wiem, iż on wie: choć w pracowni widzieliśmy się nawzajem), może więc i jej - odruchy? nie - aluzje do niechęci związanej z moim wyruszeniem, ledwie zaznaczone, należały do zwyczaju. Jak dziś należy do zwyczaju nie pytać o to, co było, i tajemnice niedawnych czasów łagodnie, nie odkrywając się, przechodzą w słuszne zapomnienie.

Pozostawiono nam jedynie pozór wolnej woli, nam, którzy mieliśmy wyjść z miasta, lecz wtedy nie mogłem tego przypuszczać ani przeczuwać, bo dni rozwijały się z bezbłędną logiką, której od dzieciństwa uczono mnie na pamięć, akceptowaną przez całą naszą historię, liczącą wówczas sporo - osiemdziesiąt dwa lata, tyle, ile żył najstarszy mieszkaniec miasta, Aleksander. Wtedy nikt jeszcze nie przechowywał w pamięci słów i uczynków zmarłych, mawiano, że zmarli nigdy nie mówili i nigdy nie działali. A więc nie tworzyli dziejów.

Miałem zrobić to, co robili osiemdziesiąt dwa lata wcześniej moi młodzi poprzednicy, a raczej to, co robił - w innym geograficznie kierunku - sześćdziesiąt lat wcześniej Aleksander, który, zagadywany przez nas, chłopców, gdy nagi wygrzewał się na nadrzecznym piasku, mamrotał, że nie może nic powiedzieć, bo czy nieżywi istnieli rzeczywiście, czy są wytworem pamięci tylko, nie jest rozstrzygnięte, a później, rozgniewany naszą natarczywością, podnosił się i niezdarnie truchtał wzdłuż rzeki, by nas schwytać i ukarać.

Dawno już nie żyje, a opowiadam o nim, choć może nie istniał. Gdybym jednak zechciał być posłuszny zasadzie milczenia o tym, co chroni się w pamięci, choć jest tylko jej wytworem, nie mógłbym opowiadać.

O niczym. I o tych, których spotkałem, bo prawie nikogo z nich nie ma.

Wydarzenia, powiedziałem, rozwijały się z bezbłędną logiką: wiadomo było, że wiosną

przychodzi się ze szkoły do domu (mówię o młodych), że powstaje stos i dla najstarszych z niedorosłych przybliża się dzień wyruszenia. Ale, gdy pierwsze pnie ściągnięto do miasta, ojciec złamał porządek, wezwał mnie do swego pokoju i wszczął rozmowę, którą przyjąłem jako odległą konsekwencję przymierzania pasa czy też wyraz niejasnej nieufności ojca do moich intencji, związanych z poszukiwaniem. Widział występki i przebaczył, ale nie mógł pozostać, gdy odchodziłem, w niepewności* bo skoro wbrew zakazom przymierzyłem pas, to potem wbrew powinnościom mogłem obrócić poszukiwanie na przykład w nieprzystojną wycieczkę. Lecz - może? - pewnie i on zarażony był niewiarą czy sceptycyzmem, ach, nie, on już po prostu wiedział o umowności i chciał mi ją - ukazać.

Pokój ojca, zajmujący narożnik domu, na parterze, odwiedzałem rzadko, nieczęsto byłem winny, nieczęsto musiał mnie karać. Nic się w nim nie zmieniło: starożytne biurko, wyrosłe w którymś z pustych domów i przyciągnięte tu przed moim urodzeniem, stało prostopadle do większego okna, ukazującego południową dzielnicę, nie zamieszkaną teraz, choć kiedyś, przypominałem sobie mętnie, żyły w niej dwie rodziny. Biurko, prawie czarne, matowe, ale lekko połyskliwe, dzieliło mnie od ojca płaszczyzną, na której spoczywał jeden arkusz i kilka pisaków. Ojciec siedział z drugiej strony i od czasu do czasu ukrywał ręce pod blatem, nigdy nie zobaczyłem, co tam robił, choć wiem już, co było z drugiej strony, bo i ja teraz siaduję przy biurku i widuję dwie kolumny zamkniętych szuflad i szufladę między nimi, ta daje się otwierać bez pomocy klucza. Krzesło ojca, o wysokim oparciu, także prawie czarnym i rzeźbionym lekko w meandryczne wzory, obramiało jego ramiona i głowę; krzesło to przysuwał do biurka tak blisko, że poręcze opierały się o szuflady po obu stronach, za nim wznosiła się szafa, równie ciemna, ale w innym stylu: błyszcząca, prosta, jakby rosnąc nie zdążyła uzyskać ostatecznego wystroju - nie zdobyło jej nic. I jeszcze: przy mniejszym oknie rozpląszczał się stolik o rachitycznych nóżkach, nie - ^Awydarzony, jakby przytopiony przy brzegach, które 'nie uzyskały kątów, a fotele, też niskie, przycupnięte .obok niego, wydawały się wręcz szkieletami, tyle 'W nich było prześwitów, pustki, jasności - lecz ojciec widocznie akceptował i stolik, i fotele. Pozostawiłem je i ja, potem, choć nie zmieniły się od tam tego czasu .ani trochę, jak były, tak i pozostały niedorośle.

Zbliżał się wieczór, matka przygotowywała kolację, :zapach pieczonego mięsa wpływał do gabinetu ojca i obaj podczas rozmowy mimo woli łowiliśmy woń, ^Aobracając się ku drzwiom. Gdy wszedłem, oczekując Aprzypomnienia występków i natychmiastowej kary, ojciec nie spojrzał na mnie, trzymał rękę nad arkuszem, dłoń ..z pisakiem, ale nie zanotował jeszcze nic, a teraz - jakbym go zaskoczył i przerwał koncentrację - tą samą ręką, dziobiąc pisakiem powietrze, wskazał mi fotel, podszedłem do stolika i przystanąłem, znów skinął, patrzyłem nie rozumiejąc, o co mu chodzi, położył ostrożnie pisak na blacie biurka i - ciągle nie odrywając wzroku od arkusza, jakby oceniał, czy ma przed sobą 'właściwą fakturę materiału i właściwy rozmiar - powiedział, żebym siadał. Stałem jeszcze przez chwilę, :musiałem oswoić się z jego słowami, jeszcze nigdy nie siedziałem w tym pokoju, a gdy zrozumiałem, o co mu chodzi, wahałem się znów przez moment, bo nie byłem pewien, czy na tych fotelach można siadać, to znaczy, czy mogą już utrzymać człowieka. Była to tylko chwila niepewności, chwila, której ojciec nie zauważył albo którą zlekceważył, bo jeszcze patrzył na arkusz, oceniając go czy

wahając się, co ma notować - siedziałem już, wtedy powoli odsunął arkusz od siebie i zwracał ku mnie głowę, siedziałem jak najlżej, nie dotykając szkieletowego oparcia, naprężywszy mięśnie nóg, gotów do natychmiastowego powstania.

- Jeszcze raz przeczytałem twoje świadectwo - powiedział.

Milczałem, wlepiając oczy w jego twarz, suchą, wąską, o długim nosie i szarych oczach.

- Nie jest złe- stwierdził, nie zdziwiłem się, bo matka już obsypała mnie pochwałami, prawdopodobnie także i w jego imieniu. - Startujesz z wysokiej pozycji.

Czekałem, gotów do odpowiedzi, lecz pytania jeszcze nie padały. Ojciec pochylił się nad biurkiem, nie garbiąc pleców, jakby i tu, we własnym gabinecie, nie mógł sobie pozwolić na swobodę, choć widział go tylko syn, który nie oceniał przecież - i teraz zbliżył pisak do arkusza i pociągnął nim od góry do dołu, kreśląc ciemną linię. Przez chwilę uzupełniał linię szczegółami, kreskami czy literami, zaczernił prawą połowę stronicy; medytował nad nią, wreszcie uderzył w arkusz i papier zaskrzypiał.

- Masz jakieś plany? - spytał.

- Nie - odpowiedziałem zgodnie z przepisami, zdziwiony pytaniem, bo pytając o moje plany, po to tylko, by uzyskać naturalną, przeczącą odpowiedź, aluzyjnie zwracał mi uwagę, że mogę je mieć.

Powtórzył pytanie jeszcze raz, znów patrząc na mnie ze zwykłym spokojem, który nie pasował do tonu, jakim przemówił, nalegającego, zbyt ciepłego, nie chciałbym powiedzieć: przymilnego.

- Nie masz planów?

- Nie - powtórzyłem, ale ponieważ spytał drugi raz a więc oczekiwał czegoś więcej niż tylko zaprzeczenia, dodałem z rosnącym niepokojem: - Mam marzenia. '

Nie powinienem tego mówić, a on nie powinien po raz drugi pytać. Oczekiwałem na jego zniecierpliwienie, na naganę, bo rozmawialiśmy w gabinecie i o ile w innych pomieszczeniach domu, podczas spacerów czy nieczęstych zabaw wolno mi było mówić więcej, niż przewidywano, ba, nawet więcej, niż spodziewano się, że będę mówił, to tu, w gabinecie, należało jedynie ściśle i dokładnie odpowiadać, nie wykraczając poza pytania ani o słowo.

- Marzenia - szepnął.

Odsunął od siebie arkusz, przypatrywał mi się przez chwilę, a potem zmiął go w kulę i przesunął na skraj biurka.

- O tym, żeby wszystko było, jak należy? - rzucił i jeszcze raz wydało mi się, że ton jego głosu, rozłożenie akcentów w pytaniu były niewłaściwe, może nawet nieco ironiczne.

Przytaknąłem.

- I żebyś był taki, jak ja - stwierdził. - Świadectwo masz dobre - powtórzył.

A jednak nie sprawdzał, czy moje umiejętności odpowiadają ocenom - pytanie o marzenia, a i sformułowania, jakie potem wygłosił, wyręczając mnie, należały do programu najniższych semestrów, przedszkolnych, słyszało się je i uczyło się ich na pamięć prawie równocześnie z nauką mówienia i chodzenia.

- Podróże też są marzeniem - powiedział nagle, wstając zza biurka, przemierzając dzielący nas dystans i razem z ostatnim słowem, nadając mu ciężar, położył rękę na moim

ramieniu. Nie przytaknałem, nie wiedziałem dotychczas o tej prawdzie.

- Wyjaśnij - powiedziałem, zadowolony, że mogę wtrącić słowo, zdradzające i moją inicjatywę. - Nie rozumiem - dodałem zachwycony, że usłyszę nową wiedzę i że będę mógł zepchnąć w niepamięć jego dziwne pytania i nieoczekiwane odpowiedzi, udzielane nie przeze mnie, lecz przez niego. Cofnął rękę, przesunął się za moimi plecami, nie poruszyłem głową, bo nie prosił, bym na niego patrzył, a nie chciałem teraz widzieć jego twarzy.

- To nie wiedza - powiedział. - Tak mi się tylko zdaje.

Znów czekałem, milczał długo, stojąc nieruchomo tuż za mną, ani jeden szelest nie dobiegał do mych uszu, słyszałem przebijające drzwi odgłosy z domu.

- Marzenia nie muszą się spełniać - powiedział.

Krzyknąłem, cicho, ale krzyknąłem, poruszył się jednocześnie z okrzykiem, okrążył stolik, ustawiając się naprzeciw mojej twarzy, wlepił w nią wzrok, oczekiwał na wzruszenie, które pozwoliłoby mu poznać, co powinienem jeszcze powiedzieć, i nie zdradził ani gestem, że zauważył, iż znów naruszyłem zasady zachowania, a ja krzyknąwszy dwa słowa: "Podróż musi!" odwracałem twarz, bo nie chciałem, żeby dostrzegł przestרח, odwracałem nieznacznie, pamiętając, że nie wolno ukrywać się przed jego wzrokiem, znów, po tym okrzyku, skrępowany, bo okrzyk wyzwolił emocję. Zresztą natychmiast zapanowałem nad sobą.

- Początek - powiedział. - Tak. Wyjście musi nastąpić. Reszta...

Uciął niepewnie i popatrzył na mnie, uśmiechnął się, natychmiast odpowiedziałem uśmiechem, bo mogłem już bronić się jedynie tak, dokładnie postępować za etykietą, wbijaną mi przez wiele lat w ciało, w pamięć, w gesty, tylko etykietą mogłem się ochronić przed wciągnięciem w pułapkę lub w błędy, wynikające z lekceważenia słów. Bo to, co on robił, było albo zastawianiem pułapki (do czego nie miał prawa: nie wolno igrać z dziećmi), albo świadomym czynieniem błędu. Pomieszał plan, marzenie i podróż w sobie tylko znanym celu i czekał na reakcję, widział, że mną poruszył, skoro dwa razy zachowałem się niewłaściwie.

I spodziewał się, że popełnię wykroczenie, które natychmiast ukarze?, w którym już sam tkwił? Nie znałem schematu, według którego postępował, nie słyszałem nigdy, by taki schemat istniał, musiałem się więc strzec, wybierając mniejsze zło, o ile mniejszym złem i gdy ojciec, ujrzawszy mój uśmiech, który mógł być - mógł przecież - akceptacją jego słów, po chwili milczenia powiedział, że od marzeń podróżnika zależy, co znajdzie, nie zażądałem wyjaśnień, wolno było ich nie żądać, nie odezwałem się, bo to, co rzekł, nie było pytaniem. Jego uśmiech, i tak niepełny, zgasł natychmiast, ojciec westchnął, przypatrywał mi się przez chwilę, ukazując tężejące rysy, i znów ruszył wokół stolika, oddalając się, na chwilę może zaokrągliwszy zawsze proste plecy, potem usiadł przy biurku, wygładził zwinięty w kulę arkusz, popatrzył z namysłem, jak przedtem, wreszcie powoli, zdecydowanie go podarł.

Nie dowiedziałem się więc, co chciał powiedzieć, co ukazać, bo po chwili, gdy arkusz z cichym szelestem darcia zamieniał się w długie paski, kazał mi odejść. Uwierzył w moją niewinność i nie chciał jej naruszać.

Nie rozmawialiśmy już więcej, nie uważam za rozmowę wymiany zdań i wrażeń wieczorami przy stole albo w południa podczas spacerów, na które mnie ciągle wyprowadzał,

albo kiedy patrzyłem, jak rośnie stos, przy którym i on pracował.

Stos przygotowywano na rynku. Codziennie wieczorem mężczyźni dźwigali ogromne szczapy, spływające żywicą, nad placem unosił się nieustanny, wibrujący zapach świeżego drewna - obserwowaliśmy to z ojcem, stojąc u wylotu uliczki, gdy zmęczony przerywał na chwilę pracę, albo od strony plaży, gdy w grupie dziewcząt i chłopców zbliżałem się po popołudniowych zabawach do zabudowań wraz z nastaniem zmroku. Wpychaliśmy się wtedy w wąską dróżkę łączącą brzeg rzeki z rynkiem, dzieci i młodzież, zatrzymywaliśmy stłoczeni między urwanymi, nie, oczywiście nie: między rosnącymi ścianami ratusza i domem rodziny Ryszarda, rozmowy ucichały, śmiech milkł, i nie przekraczaliśmy granicy rynku, a oni tam w roboczych kombinezonach, niektórzy rozebrani do pasa (od miesiąc(r) nękały nas upały trwające nawet nocą), gęsiego przynosili bierwiona, gęsiego, zwaliwszy ciężar z ramion,, oddalali się i znów wracali. Nikt nawet nie spytał, dlaczego tej ogromnej ilości drewna nie zwożą. Może tak musiało być. Kończyli po zmroku, w ciemności rozświetlanej lampami wywieszonymi z okien domów mieszkalnych okalających rynek, domów przeważnie niskich, jednopiętrowych, których następne kondygnacje dźwigały się dopiero początkującymi fragmentami,, nieregularnymi i jakby niepewnymi swego przyszłego kształtu. Gospodynie wysuwały lampy daleko w stronę placu, zaczepiały je na długich żerdziach, drewnianych lub metalowych - te ostatnie pochodziły prawdopodobnie ze złomowiska, które rozpościerało się dwa kilometry na północ od miasta, chodziłem tam z ojcem nie raz i nie dwa, od \ tego czasu, gdy po raz pierwszy przybyłem ze szkoły do domu na przerwę, i zawsze' towarzyszyła nam grupa zasępionych, ostrożnych mężczyzn ze swoimi synami, jeśli mieli synów, bo w pojedynkę nikt się w ten teren nie zapuszczał, dzikie złomowisko pochłonęło podobno niejedną ofiarę, tak wśród nas, chłopców, opowiadano: o z nagła usuwających się pod nogami płatach metalu i głębokich rozpadlinach pod nimi, z których głos nie dochodził i w które nikt się nie śmiał wsunąć, nawet po to, by ratować innych. Ale wieczorami dziadek, wygłaszając przyjęte lub obowiązujące historie, nigdy, ani razu nie potwierdził tych legend; może tworzenie grupy idącej na złomowisko to był przypadek, chociaż nauczono, mnie, że nic się przypadkiem nie dzieje.

Lampy dawały niepewne, pełgające światło, rozjaśniały tylko obrzeża placu, rosnący stos ledwie majaczył w zalegającym środek mroku - staliśmy, dopóki mężczyźni po przyniesieniu ostatniej porcji nie rozproszyli się, tym razem bezładnie, nie zawrócili, każdy w swoją uliczkę, a gdy ostatni zniknął, pękała i nasza gromada, z krzykiem rzucaliśmy się do domów na kolację.

W domu wieczory były także inne. Po kolacji, gdy jak zwykle siadywaliśmy w rodzinie, panowało milczenie, dziadek zaniechał przypominania historii, które miały mnie uczyć, znałem je zresztą na pamięć, ojciec, także milczący, badał mnie wątłym spojrzeniem, już nie oczekiwał, że powiem coś niespodziewanego, i już zrezygnował z zamiaru powiadomienia?, zasiania we mnie podejrzeń?

Zatem wiedziałem, że mamy wyruszyć, a jednak poranek, w którym odkryłem na krześle podróźny strój, przyjąłem napięciem tak gwałtownym, że wydawało się, iż nigdy nie wstanę ze spania. Ale nie było powodu do obaw - wstałem i panowałem nad ciałem.

Na dole już czekali. Nawet dziadek, który zawsze korzystał z prawa do spóźnienia. Schody zaskrzypiały, usłyszeli (a wszyscy zwrócili ku mnie twarzą), ojciec postąpił krok w moją stronę, stanął przed rodziną. Z jego bezwładnej ręki zwieszał się pas, obok klamry jaśniały świeżo wycięte litery mego imienia. Nie poznałem ich z odległości, a potem nie zdążyłem przeczytać - należało podejść do ojca z podniesioną głową, umieszczając wzrok poniżej jego oczu w wyznaniu skromności, i oczekiwać, aż zapnie pas na biodrach, i jeszcze nie mogłem spojrzeć na litery, wyuczony najdrobniejszych gestów, obowiązujących tego ranka: pierwszy siadłem przy stole, a oni stali nieco z tyłu, potem matka podała mi talerz z chlebem, dziadek i ojciec zajęli miejsca, i znów byłem pierwszy, bo czekali, aż zacznę jeść, tak jak ja czekałem zawsze, ilekroć przychodziłem wiosną ze szkoły do domu, milczeli, jak ja milczałem przez wszystkie poprzednie lata.

Ale nie umiałem zachować wewnętrznego spokoju teraz, gdy nadciągało odejście, owej bezceremonialnej obojętności, z jaką ojciec potrafił starannie pokrywać kawałki chleba tłuszczem i pieczonym mięsem, a potem przeżuwać je starannie, z niepowtarzalnym odcieniem właściwego mężczyznom dostojeństwa. Ale tym razem chyba nie wyglądali spokojnie, ojciec nie zdradził zniecierpliwienia, gdy dławiałem się pierwszymi kęsami, zwlekał chwilę, tyle tylko, by podkreślić moje pierwszeństwo, ustanowione na ten dzień, a potem i on, i oni zaczęli jeść, już było łatwiej. Ale milczeli. Musiałem opróżnić talerz, zjeść całą od dawna przepisana porcję, szło to powoli i byłem wdzięczny niedawnym przecież czasom, w których zapomniano o kolejności i już nikt nie czekał, aż skończy pierwszy, nasycony, a potem drugi i tak dalej. Bo dziś oni śledziliby każdy mój kęs, bezczynni. Z dzieciństwa pamiętam, jak siedzieliśmy - czekając - przy posilającym się dziadku, potem ojcu, czekając, aż będziemy jeść, potem porzucano ten zwyczaj, żywności robiono więcej, niż potrafiliśmy zużyć.

Już mogłem wstać, ale ciągle jeszcze nie wiedziałem, jakie imię mi wybrali, i nie mogłem spojrzeć na pas, ojciec także się podniósł i dziadek, i matka - i ojciec powiedział słowa, których oczekiwałem: że idę szukać chłopca.

Nie patrzyłem już na nich, skierowany ku wyjściu, ale dostrzegłem nikły gest matki, zdradzający pożeganie. Ojciec mocno przytulił ją, może przytrzymał. Wyszedłem.

Słońce stało dość wysoko, ale ulica była pusta i miała pozostać pusta, póki nie przejdę, a może także póki nie przejdą inni. Obejrzałem się, jeszcze widać było dom, lecz w oknach, ciemnych w jasnoszarych ścianach, nie stał nikt, a drzwi okazały się zamknięte. I w pobliskich oknach domów, oknach ciemnych lub błyszczących słońcem, przecinających wszędzie takie same szare ściany, których odcień czasem pozwalał je wyróżnić, w oknach najbliższych domów także nie było twarzy: jak okiem sięgnąć żywego człowieka, jedynie rośliny, przytulone do ścian i niskich obramowań ogródków, kołysały się leciutko w porannym wietrze, jedynie one kolorowały na tle szarości ścian i ulicy.

A jednak nadal nie mogłem spojrzeć na pas i odczytać imienia, było pewne, że mnie obserwują. Zawsze się tak robiło, pamiętałem, jak w poprzednich latach, stojąc za zasłonami koło okien, w naszym domu albo w domu stryja, położonego bliżej placu, śledziłem starszych od siebie, którzy wyruszali, i miałem nadzieję dostrzec jakikolwiek błąd, który by tamtych wyeliminował, a mnie - jak wierzyłem - pozwolił wyruszyć rok czy dwa wcześniej. Bo wtedy

jeszcze czekało się na swoją kolejkę - i co roku późną wiosną czy wczesnym latem, zależnie od wyliczeń, zawsze wychodziło czworo lub sześcioro. Dziewczęta docierały do jakiejś linii, dzielącej strefy?, i domyślałem się, że przejmowały lub znajdowały upominki od dziewcząt stamtąd, a może robiły je same?, pozostawiając własne dary, a potem wracały, wracały już wieczorem. Chłopcy wyruszali na dłużej, a bywało, że nie wracali nigdy nikt o zaginionych nie mówił, bo przyjęto, że nie dotyka nieszczęście podróżnika; tak brzmiała prawda, pamiętam: nie dotyka nieszczęście podróżnika, dotyka go własny kaprys.

Nie mogłem spojrzeć na pas, choć nie potrafiłem myśleć o niczym innym - to było pierwsze odstępstwo popełnione tego dnia, bo powinienem się radować, mijając fasady domów, szarych, białoszarych, szarozółtych, maszerowałem, nie radując się, czułem leżący na biodrach pas, miękki, ale sprężysty, pas dający mi imię, tylko pas.

Komandor już czekał na placu, także przepasany i w nakryciu głowy, podszedłem do niego, zbadał ubranie, które rankiem leżało obok spania, nieskazitelne i wygodne, mimowolnie oczekiwałem znaku, mrugnięcia, jakiegokolwiek gestu, zdradzającego, że mnie zna, ale zlustrowawszy rynsztunek i moją postać, dotknąwszy spokojnie, niezwykłym gestem czapki, utkwił spojrzenie gdzieś koło stosu, jak obcy, choć widywaliśmy się co dziennie i często odpowiadałem na jego pytania. Stos już płonął, gorąco z nieba i z palącego się drewna zaczerwieniło nasze twarze, komandor, sztywny i obcy, nie zdradzał poczucia niewygody, stał przede mną z twarzą suchą, w czystej, jakby szeleszczącej koszuli, przepasany, w czapce, a potem, mechanicznie, wyuczonymi krokami, cofnął się, sięgnął do stojaka, szerniałego ze starości i wyłuskał broń. Dał mi ją, uchwyciłem, wsuwając dłonie w wyłobienia, zdawało się, że żar ogniska i słońca ocieplał jej drewno, prawie parzyło. Byłem pierwszy i musiałem czekać, spoglądałem, starając się nie poruszać głową, w wyloty uliczek, Jeszcze; się nie pojawili, a potem przybyli jednocześnie, chłopak i dwie dziewczyny, znałem ich, ale nie znałem ich nowych imion, bo przywoływaliśmy się dotąd imionami ojców i matek.

I oni dostali broń, stojak opustoszał, białe kształty leżące w jego uchwytach przeniosły się w dłonie tamtej trójki, komandor zastygł w wymuszonej, koniecznej pozycji - i w tej chwili dopiero zmaterializowali się dorośli, nie przyszli, nie nadciągnęli, a zmaterializowali się, jakby bezcieleśnie uczestniczyli już w naszym podejściu do stosu i do pilnującego go komandora.

Zauważyłem moją rodzinę.

Kolejno podnosiliśmy broń do pozycji bojowej, wygodne kształty pieściły palce, trwaliśmy tak krótką chwilę, z policzkiem przylepionym do kolby, ze wzrokiem utkwionym w muszce smukłej lufy, wykonanej z tego samego, co całość, miękkiego, suchego drewna, lecz pociągniętej ciemną farbą, a potem, również kolejno, rzucaliśmy broń w ogień, zajmowała się natychmiast: długo, od poprzedniego lata, schła w magazynach naszych rodziców. Gdy nie zostało z niej nic, najmniejszy szczątek, podniosłem oczy i spostrzegłem, że dorośli zniknęli, jeszcze tylko nasze rodziny podniesieniem rąk dawały znaki, ale i one oddalały się, pozostaliśmy sami. Bo komandora także już nie było.

Nim puściliśmy się biegiem, każde w swoją stronę, spojrzeliśmy na most i ruszyliśmy w jego kierunku, ze strachem w głowie i suchym językiem. Łamaliśmy zwyczaj, ale jeszcze nie prawo. Tylko przedtem każde zerknęło wreszcie na swój pas i przeczytało wyryte na nim

litery, i jednocześnie każde z nas westchnęło, bo piastowaliśmy marzenia o imionach dźwięcznych, wziętych z legend, a oczywiście nazwano nas najzwyczajniej w świecie, banalnie, żeby nie powiedzieć, prostacko. Nadano mi imię Jan i to imię mi pozostało, a wtedy, oburącz odchylając przylegający do brzucha pas i odczytując odwrócone litery, przysiągłem sobie nie dociekać, czy to imię z tamtego języka wzięte, czy rzeczownik, bo - przeląknęłam się, że tłumaczenie jeszcze bardziej mnie pogiębi. Chłopak, mój towarzysz zabaw, nazywał się Tomasz. Jedną z dziewcząt - Wanda, imienia drugiej nie pamiętam, mieszkała jakiś czas później w naszym mieście, ale niedługo, przeniosła się do strefy wschodniej, bo już wówczas zaczęły się zdarzać międzystrefowe małżeństwa, a nawet w tym czasie, zaraz i w kilka lat po moim powrocie, chętnie popierano je, bo przełamywały odosobnienie. Te małżeństwa były znacznie rzadsze niż dziś i przyjmowano je z podnieceniem.

Odczytywaliśmy imiona, a oni byli równie rozczarowani, ale nikt nie ośmielił się powiedzieć ani słowa.

Minęliśmy w milczeniu ściany ratusza, zasłoniły na chwilę słońce, z głębokiego cienia popatrzyłem na ostre, porośnięte trawą kontury, rysujące się na tle spopielałego, jaskrawego nieba dramatycznym pragnieniem wzrostu.

Ulica skończyła się, bruk, przerywany pasmami asfaltu, ustąpił ścieżce, udeptanej na biały proch, który natychmiast pokrył nasze nogi. Podążyliśmy do mostu, także pamiętającego inne czasy. Wysoka, kilkudziesięciometrowa konstrukcja z metalu wkraczała daleko poza środek rzeki i tam, na razie ucięta, rozcapierzała gwałtownie żelazne belki w górę, w dół i na boki. Czasem woda podnosiła się i prawie dotykała zwisających sztab, wtedy nie pływaliśmy, wsunięci w załomy patrzyliśmy w nurt, obserwując, co niesie. Kiedyś niósł człowieka.

W dzieciństwie most mnie przytłaczał, bałem się jego urwania, które przecież było tylko chwilowe, ale wtedy wydawało się ostateczne, a więc bezsensowne. Teraz, gdy we czwórkę pieliśmy się do jego podnóża (zaczynał się na stromej kamienistej skarpie, prawie nie tkniętej roślinnością), przyjmował nas przyjaźnie - zrzuciłem ciężar etykiety, przyjęty od najwcześniejszego rana, a i oni chyba też, bo usłyszałem szept za sobą. Tomasz zagadał do dziewczyny, której imienia nie pamiętam, do bezimiennej, tej, która później wyjechała, a zaraz potem trysnął jej chichocik, zaskakująco codzienny, aż odwróciłem się i dostrzegłem jeszcze białe zęby dziewczyny między śmiejącymi się wargami. Musiałem chyba głęboko odetchnąć, przekraczaliśmy właśnie barierę dzieciństwa, a raczej zaczęliśmy ją przekraczać, a byłem taki sam, jak dawniej. Prawdopodobnie oczekiwałem, że po ceremonii komandora spadnie na mnie gwałtowna, istotna zmiana, a gdy nie nastąpiła, odczułem mocną ulgę, bo zrozumiałem, że nadal mogę być taki sam, a gdy wrócę z poszukiwań, nadal będę mógł być taki sam, nie podporządkowując się już nikomu, bo nikt nie będzie mógł ode mnie podporządkowania żądać. Tak było. Przygotowani do jedynej chwili, przeceniliśmy ją, toteż z ulgą i jednocześnie z rozczarowaniem pieliśmy się na most i gotowaliśmy do drogi, a śmiech dziewczyny był jedynie przypieczętowaniem odkrycia, że tacy sami wyruszamy, tacy, jakimi byliśmy przedtem.

Wanda prowadziła, wspinała się na skarpe, chwytając za kamienne występy, jej szary kombinezon prawie zlewał się z tłem, olśniewającym od blasku słońca, i tylko ciemne, krótkie

włosy posuwały się przede mną, wyraźne, tyle razy ich dotykałem. Przyspieszyłem, Tomasz i bezimienna pozostali w tyle, znów rozmawiając, chciałem dogonić Wandę, może po to, by się pożegnać, zanim zacznę żegnać się z tamtymi i z miastem, widocznym z mostu doskonale. Obejrzała się i uśmiechnęła, ale nie był to uśmiech, jakim obdarzała mnie wieczorami, tuż przed rozstaniem, kiedy mieliśmy za chwilę rozejść się do domów, a chcieliśmy jeszcze być ze sobą. Wtedy dotykałem jej głowy, pozwalala na to, a nawet, raz czy dwa, przysunęła się - w wieczory, nad ciepłą rzeką u początku wiosny. Albo tkwiliśmy w mroku, ukryci w pustej dzielnicy, sami, choć obok, w sąsiednich domach, na podwórzach nieczystych i nieprzytulnych, tkwili też inni, wracając widzieliśmy cichnące cienie, posuwające się równoległe z nami. Tam obiecywałem, że kiedyś (a nie wspominałem o nadchodzących poszukiwaniach) przyjdę do niej otwarcie, może nawet z ojcem. Słuchała, przysuwając twarz, jej oddech, ciepły i świeży, kazał mi powtarzać obietnicę, wzrok wydawał się dotykać moich oczu i warg. Uśmiechała się.

Weszliśmy na przęsła i balansując nad przepaścią posunęliśmy się prawie do końca, do miejsca, w którym węzły metalu utworzyły płaszczyznę dość dużą, byśmy mogli się na niej jednocześnie pomieścić. Była to platforma, którą odkryłem niegdyś z Tomaszem, bardzo dawno, w czasach, kiedy nie wychodziliśmy jeszcze z ojcami na treningowe poszukiwania w okolicach miasta. Nikt może o niej nie wiedział, lubiłem tak myśleć nawet wówczas, choć było oczywiste, że niezliczone czerechy obmacały już każde spojenie, każdy nit, każdą belkę mostu, i działo się tak na pewno od innych czasów. Most zbliżał nas do rzeki i do tamtego brzegu, porośłego wysoką, rozległą wikliną, bardzo daleko niebieszczaly chyba drzewa. Nikt nigdy nie był po drugiej stronie, choć wielu pływaków dałoby sobie radę z odległością, nikt tam nie był, bo po drugiej stronie, mówiono, nie ma czego szukać. Ale spoglądanie na wodę i tamten brzeg było dozwolone, a most dawał ponadto odosobnienie, pozorne, jak w nie zamieszkałych dzielnicach, lecz wyczuwalne. Po żelaznych szynach prze - pełzały zwykle gromady dziewcząt, by opalać się w trudno dostępnych zakamarkach, a za nimi chłopcy dyszący pragnieniem podglądania. W moście, w zagięciach szyn, belek, w załomkach konstrukcji musiało być mnóstwo kryjówek, o których nie wiedziałem, ale które powinienem już wówczas przewidzieć.

Przecież most pełnił tak ważną funkcję w życiu miasta, nie miasta, jego młodzieży. Powinniśmy przewidzieć, bo dorośli co roku znikali jak zdmuchnięci z placu, i co roku czwórka czy szóstka udawała się na most, nie wiadomo dlaczego, pchnięta tam dorocznym impulsem, i dorośli o tym wiedzieli, a może sami ten impuls stwarzali, skoro tak chętnie pozwalali nam się na moście bawić, a nawet do zabaw poniekąd przynaglali. Nie mogli więc także zrezygnować z okazji (a może z sytuacji, którą stworzyli i przewidzieli), by - nawet po ceremonii, wbrew wszelkim prawom, przeciw znanym nam nakazom zaufania - sprawdzić naszą lojalność. Bądź co bądź wypuszczali nas spod kontroli i ryzyko było duże. Ale myśmy nie wiedzieli o tym, myśleliśmy, leżąc na moście, o ich zniknięciu, sądziliśmy, że giną obyczajnie, że wypłoszył ich upał, i myśleli tak wszyscy przed nami (ale prawie już nikt po nas). Opowiadano wszystko o ceremonii, ale ukrywano ten jeden szczegół: że każdy/młody łamie zwyczaj i pędzi na most, ledwie straci dorosłych z oczu. Może dlatego nigdy w dniu ceremonii

nie dopuszczano na rynek tych, którzy mieli wyruszyć za rok, za kilka lat.

Usiedliśmy na platformie i od początku byliśmy podsłuchiwani. \

Wanda podpełzła na skraj metalowego pomostu, spojrzała w dół i krzyknęła, nie ze strachu, może z radości, a może - myślę tak teraz czasami, bo ciągle nie wiem, jak było - dawała sygnał, że już jesteście. Potem leniwie przewróciwszy się na plecy spytała:

- Czego wy szukacie?

I znów jej uśmiech wystrzelił z takiej odległości, że był przeznaczony dla nas wszystkich jednocześnie, choć patrzyła na mnie, na moją twarz, ale nie w oczy. Leżała na krawędzi i pod nią była woda, miałem ochotę zbliżyć się i przytrzymać to ciało balansujące na skraju, lecz nie potrzebowała pomocy, odepchnęła się zdecydowanie, zbliżyła do nas, do wszystkich, i czekała na odpowiedź. Spojrzałem na Tomasza, on spojrzał na mnie i nie umawiając się, powiedzieliśmy:

- Czegoś.

Roześmiała się. Podsłuchujący musiał zanotować punkty na naszą korzyść, bo i to może było zaplanowane, może ktoś jej powiedział: jeśli będzie okazja, spytaj, czego szukają, i może wypełniała polecenie, sądząc, że jest okazja, jakiej się nikt wprawdzie nie spodziewał (a spodziewali się przecież), okazja nielegalna, ale jakże szczęśliwa. Nie dowiedziałem się nigdy, bo mój powrót przekreślił nagle potrzebę pytań. Stał się, i to było najważniejsze.

- A ty powiesz, jakie dary niesiesz? - odezwał się po chwili Tomasz, ale tego na pewno mu nie polecono, nie mogli go przygotować inaczej, niż przygotowano mnie, i tym pytaniem prawdopodobnie zyskał u podsłuchującego notę za bystrość, bo Wanda znów przeturlała się na brzuch, popęzła i zapatrzyła w wodę.

Wtedy odezwała się bezimienna, płaskim, nienaturalnym głosem, było to szybkie, bezładne mówienie, „moglibyście, chłopcy, nie być tacy ważni, wielkie mi co, co wam zależy powiedzieć, a my tylko wzruszyliśmy ramionami, znów jednocześnie ramionami, bo byliśmy tacy sami, mówiliśmy to samo i to samo myśleliśmy, i poczęliśmy odsuwać się powoli w stronę brzegu, a dziewczęta zatrzymywały nas wołaniem, że nie potrafią wrócić. To była nieprawda, biegały dawniej w tę stronę i z powrotem bez niczyjej pomocy, poczekaliśmy jednak na nie, ciągle niczego nie podejrzewając (i na pytanie zadane zaraz potem: kiedy wrócimy? - także nie odpowiedzieliśmy), ujęliśmy je za ręce, jeszcze raz dłoń Wandy w mojej dłoni, napięta i sucha, i prowadziliśmy ostrożnie, a potem zaczęliśmy się spieszyć, bo minął czas uroczystości i wypuszczono młodzież z domów, z miasta poczęły wychylać się gromadki w kąpielowych strojach.

Już nie mogliśmy wyjść z konstrukcji mostu, grupy były blisko, przywarowaliśmy, tłumiąc oddechy, przy wyjściu, wpełzliśmy w czarną dziurę, za wcześniej ich wypuszczono tego roku, a może my dłużej niż poprzednicy na moście zostaliśmy. W dole leżało miasto, bielejące pośrodku równiny, jego dachy i rosnące poszarpane mury wznosiły się ponad kilka sadzików rozpostartych między domami i rzeką. Wpatrywaliśmy się: w ścieżkę, gotowi do natychmiastowego skoku w przestrzeń, gdy tylko znajdzie się szansa na to, że nas nie zauważą, czekaliśmy, spięci, i wtedy usłyszałem szelest, wzmagął się z każdą chwilą, a potem pod nami przesunął się, nie zauważywszy nas, komandor z poprzedniego roku, ten, którego

zastąpił tegoroczny. Widziałem jego kształt na tle wody. Ścisnąłem Tomasza za ramię, spojrział na mnie kątem oka, lekko skinął głową, zrozumieliśmy jednocześnie, szepnąłem dziewczętom byle co, że chmury idą i może być deszcz - ja chciałem to wszystko ratować, bez namysłu, odruchowo, jeszcze nie wiedząc, co widzę i co robię -: szepnąłem tak cicho, jak mogłem, usłyszały, i patrzyłem jednocześnie na ciemną na tle szarej wody sylwetkę. Nie dostrzegł nas i nie przeczuł, przekradał się, całą uwagę skierował na ciszę swoich ruchów, nie dostrzegł nas, pewny zresztą, że zdążyliśmy wyjść i jesteśmy daleko. Dziewczęta zwróciły głowy do góry i może go nie widziały, a może udawały, że nie widzą, najpewniej nie potrzebowały -- wiedząc - widzieć, już im nie ufałem, od tej chwili, a może nawet zrozumiałem, że ich pytania nie były przypadkowym kaprysem, lecz chyba jeszcze nie; zwróciły głowy do góry i wypatrywały chmur, a on się przesunął, jeszcze obaj widzieliśmy, jak wypełza z utworzonego przez belki tunelu, prostuje się i gwałtownie ściąga ubranie. Młodzież była blisko i udał, że przyszedł się kąpać.

Zawiodło ich planowanie czasu tego roku. A może właśnie nie tak: może miałem go zobaczyć, jak wcześniej musiałem wysłuchać ojca. To prawie wyglądało na akcję, zaplanowaną i rozpoczętą przez nich znacznie wcześniej. Może oczekiwano buntu i jego nie znanych efektów. Jak - potem - w Velvie oczekiwano i nie działano. Później, wielokrotnie, nocami i dniami, i on, chłopiec, który dorósł i starzał się wolniej ode mnie, i ja sam, obaj - podejrzewaliśmy, podejrzewałem, że stosując się do zwyczajów i prawideł ludzkie mego miasta nieznacznie, na tyle, na ile mogli się odważyć czy na ile starczało im wyobraźni, prowokowali błąd i jego konsekwencje. I tłumaczyłem sobie, że nie ma dziś zwyczaju pytać o przeszłość tylko dlatego, że pytania mogłyby złamać pewność nieuchronności wydarzeń. Jeśli świadomie czyniono odstępstwa, to ich skutki też byłyby naszym, a nie konieczności dziełem.

Tymczasem tamten, ubiegłoroczny komandor, zdjął ubranie i pobiegł w dół rzeki; zatrzymawszy się jeszcze chwilę, obrzucił spojrzeniem okolicę. Szukał naszych postaci oddalających się od miasta, ale nie zaniepokoił się, gdy ich nie znalazł: tuż przy moście rozpoczynały się gęste zarośla, w które mogliśmy wejść, choć obok prowadziły przez zieleń wygodne przesmyki. Było do nas podobne ukrycie się w gąszczu, byliśmy młodzi i pragnęliśmy trudności.

Przeczekaliśmy jeszcze, nieruchomi, odrzuciłem rękę Wandy i nie patrzyłem na Tomasza, przeczekaliśmy, aż młodzież usadowi się nad brzegiem, obserwowaliśmy grupki, tworzone już bez nas, nawet bez żalu za nami, gry i pierwsze próby pływania, a potem cicho pościągaliśmy nasze stroje i zrobiwszy z nich węzłki, już bez słów, śmignęliśmy pojedynczo do pobliskich krzaków... Nikt nas nie widział, a przynajmniej nikt na nas nie zwrócił uwagi.

Ubrałem się i ruszyłem, na skraju zarośli zatrzymał mnie Tomasz, podał rękę i ścisnął mocno, był blady i nagle spocony, szepnął coś, nie zrozumiałem, ale nie prosiłem, by powtórzył, być może nie mógłbym powiedzieć ani słowa. Przyjąłem, że Tomasz będzie milczał, choć ja milczeć nie chciałem. Były komandor, fałszywy komandor, jak nazywały takich jak on, ubiegłorocznych, dzieci, nie odkrył przede mną umowności poszukiwań, jak i nie uczynił wcześniej tego ojciec, bo nagle pojąłem, że wiedziałem o niej od dawna. Komandor objawił możliwość wyboru. Skoro nas podsłuchiowano, byłem wolny. Albo

2.

Były to krzewy, które nazywaliśmy koralowymi od niewielkich, białych, miękkich owoców, przypominających z daleka korale, jakie nosiły kobiety w mieście. Latem zbieraliśmy dojrzałe owoce, przynosiliśmy na bruk miasta, pękały pod nogami z ledwie słyszalnym trzaskiem. Rosło tu ich sporo, przemieszanych z innymi, ale te dominowały, i w nich, w gąszczu, pośpiesznie ubierając się, wymieniliśmy milczące pożegnanie. Tomasz prześliznął się na południe, ale mógł wybrać fałszywy kierunek, by nie dać nam wskazówki, dokąd idzie, dziewczęta, oddalone o parę metrów, szeptały o czymś tam dziewczęcym. Przycupnąłem na ziemi, nawet nie wahając się, siedziałem, nie myśląc, a potem, po dłuższej chwili (szepty ucichły i dziewczęta zniknęły) pomaszerowałem na wschód.

Nie patrząc na boki usuwałem lub łamałem gałęzie przecinające drogę, póki nie wyszedłem na podnoszącą się ku górze płaszczyznę, niewielkie, gołe wzniesienia przekreślały horyzont, za wzgórzami zaczynała się strefa wschodnia, podchodząca tu bardzo blisko do naszego miasta. Miałem ją przebyć i dążyć dalej na wschód, póki nie uznam, że zrobiłem wszystko, by odszukać chłopca. Kim miał być chłopiec - nie miałem pojęcia. Z nielicznych słów ojca i dziadka zrozumiałem, że oni chłopca nie znaleźli, a jednak spełnili misję, jak? - to miało wyjaśnić się po drodze. Nigdy nie opowiadali wprost o swych poszukiwaniach, były w ich słowach napomknięcia, aluzje, wahania. I ani śladu czegoś, co mogło być chłopcem (mnie wyjąwszy) w pobliżu. Nie wątpiłem, że chłopiec nie jest istotą żywą, taką jak ja czy wy, bo prostodusznie sądziłem, że skoro tego samego chłopca szukał dziadek, jest on czymś, co się nie starzeje. Na swój sposób, byłem bliski prawdy.

Droga biegła łatwo, trawa - skruszała od upału i suszy - tłumiała kroki, szedłem niezbyt szybko, ale sprężyste i równo, bo tak mnie nauczono, nie mógłbym chodzić inaczej. Nie spojrziałem już na miasto, choć po chwili wzniosłem się prawdopodobnie ponad poziom zarośli i mogłem je widzieć całe, w niewielkiej dolinie nad rzeką, obok mostu. Oglądałem je stąd nieraz, białe i szare, opalizujące blaskami dnia w pozornym cieniu otulającym wgłębienie płaszczyzny. Tu wychodziłem z ojcem na treningowe poszukiwania i tu, na tej równinie, urządzaliśmy zabawy z chłopcami ze wschodu, ich kompanie oskrzydlały miasto, my broniliśmy się w płytkich transejach, co roku naprawianych - właśnie minąłem ich linię. Były to milczące zabawy, tamci, podchodząc, nie zbliżali się bardziej niż na pół kilometra, my, broniąc, nie wychodziliśmy im naprzeciw, znaliśmy ich więc jako niejasne sylwetki na wzgórzach. I nawet nie wiem, kto ustalał terminy zabaw, kto przynosił wiadomość, że mamy się bronić, i kto dawał hasło do wymarszu. Ale corocznie latem oni atakowali, nie podchodząc, my się broniliśmy, zakopani w ziemi.

Dalej mieszkał tylko Czujka, wyznaczony przed tyloma laty, że zdążył się zestarzeć na posterunku - nie miał żony ani dzieci, później, gdy zniknął i zakopano go, stanowisko pozostało nieobsadzone i dziś nikt prawie nie pamięta, że istniało. Znałem go, zachodziliśmy po każdej zabawie do jego domu, gdy tamci, odparci czy znudzeni, odstępowali i wsączali się za wzgórze. Czujka witał nas i piliśmy mleko. Prosił półzartem o sprowadzenie kobiety, siwy, tłusty staruszek, mrugający przekrwionymi oczyma. Dziewczęta, pełniące w obronie

Nie chciałem go widzieć teraz, wbrew poprzednim planom, i szerokim łukiem ominąłem domostwo, zanim mogłem je zobaczyć. Wszedłem prostym zboczem na pierwsze wzgórze i spuściłem się do doliny, również pokrytej trawą, tu soczystszą, bardziej gęstą, szablastą, podnosiły się z niej kępy liściastych drzew. Poznałem lipy takie, jakie rosły na ulicach.

Zbliżał się największy upał, drzewa rzucały krótkie cienie, powiedziałbym - złowieszcze, gdybym chciał poddać się nastrojowi i zapomnieć, co wiedziałem o porach dnia i zależnych od nich temperaturach powietrza. Planowałem przedtem, że tego dnia przetnę strefę wschodnią i zapuszczę się na obszar, o którym nie wiedziałem nic (choć nie wiedziałem nic i o strefie wschodniej, nic poza tym, że istnieje), ale zapał przepadł, bo nieustannie pamiętałem o fałszywym komandorze, przepelzającym pod nami - i choć, maszerując, pozbyłem się przerażenia, jakim napełnił mnie jego widok, nie widok, konsekwencje jego pojawienia, to jednak wędrowałem tylko dlatego, że nie miałem co robić w mieście, nie mogłem się w nim pokazać przed upływem paru dni, bo już odrzuciłem pomysł, jaki się zrodził po drodze: że nie wrócę w ogóle. Nie mogłem tego zrobić rodzicom i dziadkowi nawet teraz, gdy wiedziałem, że przyzwolili na podsłuchiwanie, a zatem akceptowali brak zaufania i poddali w wątpliwość sens mojej wędrowki i swoich niegdysiejszych wędrowek. Wytłumaczyłem sobie, że wędruję dla siebie, nie dla nich, i dla siebie poszukuję, tak jak niegdyś czynili to dziadek i ojciec, a zatem brak zaufania czy jego istnienie nie mają wagi. Lecz zapał zniknął, chwilowo może - postanowiłem zasnąć w jednej z kęp, wybrałem najdogodniejszą, której cień, wędrując od słońca, nie mógł się ode mnie oddalić, ale nie mógł mnie też pochłonąć nazbyt głęboko. Położyłem się.

Byłem tu, w tej dolinie, znajdującej się w szerokości pasa granicy, a więc nie należącej do nikogo, z ojcem kilka lat temu, szukaliśmy królików, a potem zapuściliśmy się we wzgórze, być może już należące do strefy wschodniej, weszliśmy w nie, gdyż rankiem, rozświetlone wschodzącym słońcem, przybrały kontury budowli i ojciec postanowił sprawdzić, czy się nie przeistoczyły. Świat jest młody, powiedział, i chętnie czyni wiele. Była to jedna z pierwszych sentencji kosmologii, jaką słyszałem, potem wielokrotnie powtórzona mi w szkole i w domu. Wcześniej wstąpiliśmy do Czujki, który przywitał nas zwykłym: nikogo nie widać - potem siedzieliśmy obok jego okrągłego domu z grubego betonu, na gołej ziemi, oparci o ścianę chłodzącą plecy, a ojciec opowiadał, jak przed miesiącem wyprawił się na króliki i złapał osiem sztuk.

A wzgórze wtedy okazały się zwykłe, ziemiste i trawiaste, wpadliśmy w pas kłujących roślin, wydawało się, nieprzebytych i...

... (chłopiec), w końcu przełamał, idąc pod górę, ostatnie gąszcze chwastów, zielsk, wysuszonych krzewów, ustępujących z chrzęstem. Natknąłem się na płot, przez szczeliny między deskami zobaczyłem zaniedbany ogród, obszarpane kwietniki, fragmenty długich, czołgających się zabudowań i zarys domu nad nimi. Pojąłem, że doszedłem do pułapki, powinienem zawrócić, szmery pogoni, którą zgubiłem w paśmie strupieszalego lasu, ucichły przed dobrą chwilą, ale znów przytykałem oko do szczelin, dziur w płocie, przesuwając się krok za krokiem, aż pchniętą mocniej deska trzasnęła i mogłem wejść.

Dom był murowany, zaniedbanie dostrzegało się z dala, poszukał z przyzwyczajenia śladów kul na starym murze, ale tu ściany były gładkie, choć jakby napuchłe mechą, gęstą ropą, okna i drzwi wydawały się zdrowe, lecz i na nich podejrzewał służącą się wilgoć. Bezruch, sączenie, skoczył i szarpnął klamkę, korytarz załśnił w świetle ukrytych źródeł sterylnym błękitem. I już migawkowo dostrzegał błyski srebrzystego, rzadkiego metalu, woń nienaturalnych tworzyw, w głębi, za otwartymi drugimi drzwiami, których skrzydło sunęło powoli, pulsujący owal i w nim kobiecą głowę. Słyszał buczenie i suche, niegłośnie trzaski, jak przesypywanie piasku i uderzanie - w tle - maleńkich kamyków. Bokiem, przywieszony nienaturalnie do ściany, leciały schody, ginąc w ciemności. Zawrócił. Słuchał, lecz ciągle nie było pogoni, poszedł w lewo, mijając fasadę domu, skręcił, wkroczył po powalanej na ziemię, drewnianej ścianie do baraku, w długi korytarz, jaskrawe światło świdrowało dach, spadało snopami z dziur. Przeszedł do końca, znów skręcił w następny barak, bo tam, u końca, ujawniło się odgałęzienie, a potem jeszcze dwa, najpierw, pod kątem prostym, taki sam długi, pusty tunel i zaraz z boku wąski przesmyk do kolejnej budowli, szerszej, kwadratowej prawie, o ścianach podziurawionych wylotami dalszych kanałów, oślepiająco jasnych, pełnych kurzu i pozbawionych przedmiotów.

Szedł i gdzieś natknął się na połamany stół, na rumowisko fotela, spod którego wyskoczyła suka, skundlone zwierzę, machnął nogą, odleciała z piskiem, nachylił się, wśród sprężyn, na resztkach włosia walały się martwe szczeniaki, tylko jeden popiskując, wyraźnie ślepy, odpelzał w głąb rozprutego oparcia.

Wtedy, choć droga ciągnęła się dalej korytarzami, coraz ciemniejszymi, a w drugą stronę tunelami przesyconymi światłem i kurzem, wróciłem przed dom i z podjazdu przy frontowej bramie zobaczyłem znów miasto, a przecież przypuszczałem, że zostało w tyle, dworzec sterczał dokładnie naprzeciw, wybiegały z niego równoległe pasma leżącego na ziemi żelaza, najszersza ulica wiodła od dworca prosto aż do podnóża wzniesienia, na którym stał dom (a nie zauważyłem go z dołu). Od ulicy do domu prowadziła ścieżka, bardziej szara niż trawa na zboczu, pochyliłem się i dotknąłem jej, to nie był grunt, to było twarde.

To musi być dom jej ojca, pomyślał, ten stary dom z wyszarpanym wnętrzem.

Ścieżką szło troje, dwóch mężczyzn w białych koszulach z podwiniętymi rękawami, w szarych spodniach, wtapiających się w tło, chłopiec popatrzył na swoje spodnie, prawie nie tknięte w ucieczce chaszczami, tak samo szare, tych dwóch prowadziło dziewczynę, bosą, w lekkiej, kolorowej sukience, rozerwany materiał odkrywał lewe ramię, pokryte kurzem i krwią. Czekałem na nich u bramy, nie kryjąc się, bo szli bez wahań, miarowo przestawiając nogi i poszarpując dziewczynę za ręce, widzieli mnie i wtedy ich poznałem - to oni go gonili, wyższy tam, w studio, zadawał pytania i cieszył się hałaśliwie, lecz jakby rutyniarsko, z odpowiedzi mniejszego, który wpatrzony w inkrustowany szkłem otwór rury, monotoniem i bez zastrzeżeń, z pośpiechem rzucał dane i imiona. Rura celowała mu w twarz, i ta twarz była widoczna, jak w wodzie, w szklanym owalu, ustawionym obok, a potem wylot rury, zaskakująco szeroki, przeniósł się na twarz chłopca, gdy kazali mu uderzać w dłonie. Uderzał, czując z tyłu obecność innych rąk, gotowych znów bić. Uderzał, póki nie usłyszał krzyku dziewczyny - zatrzymali się tuż przed bramą, dzień dobry, powiedział wyższy, dotarł pan wreszcie, dyrektor wczoraj pana wyglądał. I jakby zaniepokojony, wyższy spytał, pan do dyrektora, prawda?

Twarz wyższego, o drobnych rysach, okolona krótką brodą, zatrzymała się zbyt blisko i chłopiec cofnął się odruchowo, nie chciał poznać mężczyzny. Stał naprzeciw trójki, zachowując dystans, ale widział ich ciągle zbyt dobrze, wyraźnie oświetlonych, widział zbyt dobrze i mimo wszystko starał się zapamiętać twarze mężczyzn, ale patrzył i na dziewczynę, milczenie po pytaniu przeciągało się, czekali obaj, tamci, patrzył na dziewczynę, nagle skinął głową.

Na odpoczynek, znów odezwał się wyższy, długo pan był na skraju. Drugi nie przemówił dotąd, podtrzymując dziewczynę, chłopak pomyślał, że upadłaby, gdyby drugi nagle się usunął. Znów skinął głową, znad obojczyka dziewczyny, z głębokiego zadrapania jeszcze pociekała krew, krople wahały się na zawiniętym rąbku sukienki, materiał nasycił się potem i czerwoną wilgocią, niższy puścił rękę dziewczyny, nic się nie stało.

- Co z nią zrobiliście?

- Dyrektor mówił o panu, będzie pan z nami pracował - wyższy nie patrzył już na chłopca, spoglądał ponad jego głową, na dom, chłopcu zachciało się obejrzeć i ledwie opanował odruch, a wyższy ruszył nagle, postąpił do przodu o trzy mechaniczne kroki, chłopiec znów się cofnął, ale nie tak daleko, jak pragnął. Wyższy, nie odrywając spojrzenia od czegoś, co działo się może przed domem, wyciągnął dłoń i powiedział, jak się nazywa, chłopiec nie usłyszał go, ale machinalnie przyjął jego dłoń, a gdy wyższy rozluźnił uścisk, ręka chłopca opadła swobodnie do pionu, chłopiec powtórzył, co z nią zrobiliście?, lecz wyższy jeszcze raz rzekł, że dyrektor był zaniepokojony.

- Już wczoraj dowiadywał się, czy pan już przybył.

- Co z nią zrobiliście?

Wyższy obejrzał się na dziewczynę (w skrócie głowy szyja uwydatniała ostrą grdykę, tuż pod brodą), stojącą ciągle w tym samym miejscu, spadła, powiedział, nic groźnego, ale odprowadziliśmy na wszelki wypadek, państwo się nie znacie? To jest Joanna, córka dyrektora, poznajcie się.

- Myślałem, że udało jej się uciec - powiedział chłopiec.

- Dyrektor się niepokoił - powtórzył wyższy jeszcze raz.

Wyższy myślał (chłopiec wiedział, o czym myśli), to jest dziwny chłopak, cały ranek kręcił się po mieście, wszędzie zaglądał, potem uciekł ulicą, wszedł do studia, ale znów uciekł, zniknął przed placem, przemknął przez ogrody i nie reagując na wołania oddalał się lasem od domu dyrektora, jego dziwność występuje także w postawie, prostej, lecz widocznie chwiejnej, jest w nim pozór siły i stanowczości, co nie przystoi chłopakowi, ale lada impuls z zewnątrz natknąłby się na miękka, uległa, ustępującą masę, widać ją w oczach i w pytaniach, i w bezwładzie ręki, i w rysach twarzy nadmiernie skupionych. Cięży na nim piętno braku energii, nieobecności decyzji. Nie należy do mężczyzn. Jest jedynie chłopakiem, chłopcem, który może opowiadać bajki, a więc to trzeba zmienić.

Wiedziałem, co myślał wyższy, i kontrapunktem biegły myśli niższego (stał obok dziewczyny, tłusty, na rozstawionych nogach, zbyt krótkie spodnie zwisały ponad kostkami), który dostrzegał chłopca w dole, gdy kręcili, ale nie zapamiętał go wyraźnie, pochłonięty systematyczną, sumienną pracą mózgu, wymagającą skupienia i odcięcia od świata, i tylko głos, nie, nie głos, sens, zadania zawarte w pytaniu, wchłaniane przez receptory słuchowe,

rozdrabniane, miliony impulsów, tak, biegły włóknami, włókna nerwowe nazywają się neurony, nieomylnie wyciągają informacje, uszeregowane celowo i bezbłędnie, znał swój mózg, a więc znał mózg chłopca, postrzegał fałszywe połączenia, przypadkowe przebiegi, rezonans, zwarcia, przeskoki, niższą jakość tamtego i wiedział, że nie wolno chłopca zrazić, bo stanowi nową szansę, od dawna coś takiego się nie zdarzyło, nową szansę na błędy, a więc na odtwarzanie i na dopełnienie tego, co niższy już wie - wiedziałem, co myślał niższy.

- Perwersyjny persewerant - wyszeptał z cicha grubas i pocił się spokojnie, znalazł rytm słów. - Perwersyjny persewerant - powtórzył.

- Co? - obejrzał się wysoki. Machnął ręką, wrócił do chłopca, - dyrektor się ucieszy, mówił, - jak pana zobaczy, dużo pływa nasz dyrektor, teraz jest w mieście, na plaży chyba, a pan?, widziałem, jak pan biegł uliczkami, chciałem pana zatrzymać, bo wiedziałem, że będziemy razem pracować, ale biegł pan, jakby pan uciekał, to nie wolno mi było dogonić.

Odwrócił się i słuchał przez chwilę grubasa, który przymknąwszy oczy powtarzał monotonnie dwa słowa: "perwersyjny persewerant", grubas przycisnął tłustą brodę do piersi, powtarzał coraz bardziej bezosobowo, wyższy skoczył i potrząsnął nim, niższy ocknął się, spojrział przestraszonymi oczyma, ocieżyłymi od wiszących pod nimi worków, na chłopca.

- Przecież uciekałem - powiedział chłopiec. - Pan widział.

- Widziałem, biegł pan ku lasom pod zakładami.

- Lasom?

- Tam przecież - wysoki pokazał ręką w stronę, z której przyszedł chłopiec, może nawet za dom, chłopiec nie obejrzał się, stał, oparty o filar sklezionej bramy, widząc jedynie dziewczynę.

Drugi znów mamrotał pod nosem sylaby, założywszy ręce na plecach, teraz wbił wzrok w ziemię, trój - kącik białego ciała wysunął się ze szpary nie dopiętej koszulki.

- Tam nie ma lasu - powiedział chłopiec. Nie chciał o nim pamiętać. - Coście z nią zrobili? - spytał znów.

- Spadła, zaczepiła ręką o pręt tkwiący w ścianie, pręt szarpnął sukienką i złagodził upadek. Chciała iść sama, ale jest córką dyrektora, postanowiliśmy ją odprowadzić.

- Obsmyczony obsesjonista - powiedział niższy głośniejszym głosem, wysoki znów machnął ręką w jego kierunku, co znaczy obsmyczony?, zapytał grubas.

- Nie wiem, daj mi spokój - rzucił wyższy i znów zwrócił się do chłopca. - I ją odprowadziliśmy.

- Nikt nie wie - odezwała się nagle dziewczyna, miała smutny głos, chłopiec drgnął. - Żargon.

- Nie powinno się używać wyrażen żargonowych - oświadczył grubas. - Obsesjonista - zawahał się, gasnącym szeptem powtórzył słowo kilka razy i zamilkł, patrząc rozpaczliwie na towarzysza.

- To pan się już zajmie panią - rzekł wysoki, skłonił się, skinął na drugiego, zmartwiałego z otwartymi ustami, jakby milczenie wdzierало się weń niszczącą, podstępna strugą.

Wyższy dotknął go i wprowadził w ruch, zwrócili się ku miastu i schodzili powoli ścieżką.

- Żar - powiedział wyższy, wyzwalając grubasa.

- Warunki atmosferyczne - zakomunikował z lubością niższy nie spoglądając na

towarzysza - wpływają na organizm. Dwie są drogi uwolnienia od wpływu, regulacja klimatu albo regulacja organizmu, przekonstruowanie.

Patrzyłem za nimi, chwytając zacichające strzępy zdań, niższy mówił teraz bez przerwy, wyprzedzając wysokiego o krok, pół kroku, nie odwracając głowy, mówił w przestrzeń, w miasto rozłożone w dole, wyschnięte i przyprószone kurzem, jakby opuszczone przez ludzi.

- Należy pamiętać, że synergia na skutek własnej koherencji może spowodować... szkody. Jest to mało prawdopodobne... fałszywy program... sztuczność odżywiania... napromieniowanie... globalna reorganizacja systemów walutowych...

- Ładnie tutaj - szepnęła dziewczyna, stojąc ciągle tam, gdzie zostawił ją niższy, rozpostarła powoli ręce, brudna, a jednak promienna, i tamtych już nie było, zeszli ze słońcem nad głowami. Chłopiec zasłuchał się w mamrotanie grubego i teraz drgnął, zaskoczony głosem dziewczyny, głosem nadal smutnym i głębokim. Z dołu jeszcze dobiegło: technika jest... jako funkcja, ale chłopiec już podchodził do dziewczyny szybkimi krokami, raptownie zatrzymał się tuż przed nią, podała rękę, wsuwając całą, stuloną i miękką dłoń między jego palce.

- To tylko technicy - powiedziała rzeczowo, teraz innym tonem, chłopiec cofnął się, ale dziewczyna spojrzała w dół, ładnie tutaj, powtórzyła, jak przedtem, tym miękkim szeptem, który już polubił, znów byli blisko siebie, obracała się od miasta, przez zbocze zatoczyła ręką łuk, ku domowi i dalej, przytrzymał ją, - tam nie trzeba, tam nie, - szepnął, zdziwiła się, brwi skoczyły w górę, chciała zapytać, pokręcił pospiesznie głową, nie. Tamtędy przedzierał się przez martwy las, - nie, tam nie, - powtórzył, pociągnął dziewczynę przez bramę w głąb podwórza, nie opierała się, pobiegła lekko, starannie ominęli wyłysiały klomb, z którego sterczały jeszcze czarne badyle róż, dziewczyna postąpiła do drzwi domu, znów ją zatrzymał, dotknięciem, nie, nie, i zaraz szepnął, czy cię bili?

- Czy bili?

Spojrzała na chłopca szarymi oczyma, w głębi zastygło zmęczenie, może strach, w głębi źrenic.

- Czy bili cię?

- Bili?

Był prawie śpiew w jej pytaniu.

- Po porwaniu.

- Po porwaniu?

Zniecierpliwiał się, ale powstrzymał odruch gniewu, nie powinna się bać, przeszli obok domu, znów zobaczył zwaloną ścianę, z bocznych także wyszarpnięto kilka desek.

- Czy cię bili? - spytałem łagodnie.

- Bili? - powtórzyła jak echo. - Mnie...

Urwała, czekałem na odpowiedź, to było proste pytanie, milczała, uderzyłem otwartą dłonią o udo, czekałem i teraz nie próbowała powtarzać, jak przedtem; chciała mi zajrzeć w oczy, ale utkwilem wzrok w powalanej ścianie i szepnęła wtedy, może z cieniem uśmiechu, a jeśli bili?

- Wiedziałem - wytchnął powietrze, rozluźnił mięśnie, spojrzał na nią.

- Ale dlaczego mieliby mnie bić? - zawołała i poprawiła natychmiast: - Dlaczego mnie bili?

Nie odpowiedział, ze skupieniem oglądał zadrapanie na ramieniu dziewczyny, on mówił o przecie, szepnął, o gwoździu, sprostowała, o przecie, powtórzył, co to za pręt?, spytał, czy cię bili?

- Ty chyba udajesz - powiedziała. - Ty przecież...

Uśmiechnąłem się, nie, nie udaję, a ty nie rozumiesz, to może musiało tak być, oni nie są winni, a ona równocześnie, w mych słowach, mówiła, ale przecież nic nie. było, bo spadłam - i mówili jednocześnie, zwróceni do siebie, z oczyma utkwionymi w oczach, widziałem, jak gwałtownie rozszerzają się źrenice Joanny, to imię brzmiało mi fałszywie, bała się, nie bój się, powiedziałem.

- Nie boję się. Ty opowiadasz bajki.

- Niech będzie - zgodziłem się. - Jak chcesz.

Pociągnąłem ją lekko, muśnięciem tylko, w stron baraku z przewróconą ścianą, nie poruszyła się, może nie zauważyła, jeszcze raz dotknąłem jej ramienia, poniżej rozerwania sukienki krew ciągle spływała powoli, Joanna znów nie drgnęła, chodź, powiedziałem, przecież...

Dom obok stał cichy i wilgotny mimo upału, suche deski baraków potrzaskiwały szeptem, chodź, powiedziałem znów, i wtedy dopiero poruszyła się, odchyliła lekko ode mnie, tak, powiedziała, tak, musimy iść, ale jeszcze nie ruszyła, staliśmy i może dopiero teraz przypomniała sobie, położyła rękę na zadrapaniu, przesunęła palcami, lekko, wzdłuż całego rozcięcia.

- Muszę się umyć i przebrać - powiedziała. - Wyglądam jak włóczęga.

Chciała odejść, ale chłopiec znów ją zatrzymał, wyciągnął rękę i chwycił dłoń dziewczyny.

- Nie teraz. Potem. Poczekaj. Poczekaj, mówię ci - wzmagął uchwyt, gdy próbowała się uwolnić, więc stała już spokojnie i wtedy ją puścił. Pokazał na baraki.

- Tam. Może tam jest woda.

- Tam nie ma wody.

- Chodź.

- Przecież się prawie nie znamy.

Machnął ręką lekceważąco, nie musiałem jej mówić, jakie to nieważne, wiedziała przecież, powiedziała to zdanie z potrzeby utrzymania konwencji, zachowania pozorów, skinąłem głową w kierunku upadłej ściany, ale w Joannie (czułem fałsz tego imienia) było coś jeszcze, niepokój prawdziwy, niemal mogłem słyszeć jej myśli.

- A może się ciebie boję - zażartowała.

- Mnie? - zdziwił się na serio.

Zgodziła się nagle.

- No dobrze, chodźmy, ale tylko na chwilę. Naprawdę nie powinnam z nieznanym zapuszczać się w baraki.

- Znasz je? - wykrzyknął.

Milczała bardzo krótko.

- Nie - potrząsnęła głową. Patrzyła na chłopca. - Nie powinnam iść - powtórzyła.

- Dlaczego? Przecież cię bili.

- A tak. Bili mnie. Dlatego że mnie bili - powtórzyła. - I cóż z tego! - zawołała cicho. -

Nawet jeśli mnie bili?

- Tam ci powiem.

Poszła za nim, z niepewnym uśmiechem, ciekawa i czujna, wsunęli się w baraki - deski zaskrzypiały - zatrzymali się na chwilę w większym pomieszczeniu, tam gdzie już był przedtem, dziewczyna chętnie zaglądała w dalsze korytarze, chłopiec wahał się przez chwilę i znów poprowadził, oddalając się ciągle od wejścia, obliczał, że znaleźli się w pobliżu płotu, zaraz korytarze się skończą, ale stracił już orientację, szli może w innym kierunku, mijając ciągle nowe odgałęzienia, skręcali, krążyli, natknęli się na połamane meble, dalej, w innym pomieszczeniu, leżały pod pokrywą kurzu w porządnym szeregu mechanizmy czy urządzenia od dawna bezużyteczne i zepsute, jednakowe na oko, różniły się jednak brakiem czy nadmiarem detali, które może zresztą wałały się obok, jeszcze dalej, w jednym z tuneli, przedarli się, brodząc po kostki, przez stosy zetłanych szmat, dostrzegli rozsypujące się drewniane opakowania, z których wyciekała przez szczeliny sucha, szarobrązowa ziemia, drobny pył, gdzieś tkwiło zeschnięte drzewo bez liści, nierozpoznawalne już, szli, strop, tutaj szklany, wzmocniony metalową siatką, wisiał coraz niżej, gdzieś przedostawał się powiew z zewnątrz, siatka nad głowami opadała, porzewiała i naga, szkło zgrzytało pod nogami - aż weszli w ślepy korytarz, utknęli przy ostatniej ścianie.

- Koniec - powiedziała dziewczyna.

- Koniec jednego z wariantów.

- Powiesz mi teraz? Za co mnie bili?

- Za pamięć - szepnął z wahaniem, chwytając jej uchylone spojrzenie.

Zachnęła się.

- Za pamięć się nie bije.

Była pewna tego zdania, ale bała się go.

- Za pamięć się torturuje. Widziałem.

Potrząsnęła głową, w zbliżeniu, tuż przed jego twarzą, westchnęła z rozczarowaniem lub niechęcią, przymknął na chwilę oczy.

- Więc za co? - ponagliła, poważnie, bez cienia dawnego uśmiechu i niechęci, jakby gotowa przyjąć wreszcie czy przypomnieć sobie, że bili, jeśli tylko chłopiec przekona ją o istnieniu przyczyn.

- Bo wróciłaś.

- Nie wracałam! - krzyknęła przestraszona, głos, zbyt silny, przeniknął korytarze, coś tam upadło, słuchali przez chwilę, ale dźwięk nie powtórzył się.

- Skąd mogłam wracać? - zaszeptała dziewczyna. - Nie miałam skąd wracać. Nigdzie nie byłam. Nigdzie nie byłam - powtórzyła żarliwie, znów prawie krzykiem, ale pamiętając daleki hałas pilnowała głosu, krzyk był tylko w tonie, szeptała, przytulając prawie usta do twarzy chłopca.

- Więc za co? - spytała, gdy po chwili wahania zgodził się z nią.

- Może ty wiesz? - spytał. - Widziałem cię rano. Płynęłaś.

- Płynęłam?

Szeptali, w korytarzach czyhała cisza, szmery umarły, nawet myszy nie było, pomyślał, że myszy już tu nie znajdują pożywienia, a ptaki, jeśli tu były ptaki, pod stropem, uciekły od martwoty. Zastanowił się, skąd przyszło mu do głowy przypuszczenie, że kiedyś żyły tu zwierzęta, przypomniał sobie tę starą, skundloną sukę i jej martwe dzieci, które nie mogły wyżyć.

- Płynęłam?

Odsunął się, usiadł naprzeciw i w ślepych korytarzu, w gorącym, rozdygotanym od słońca kurzu, w niebywalej ciszy, twarzą w twarz z dziewczyną, zmęczoną, brudną, dyszącą ciężko od upału, i sam przerażony, z pamięcią ucieczki i pogoni, i bicia, opowiedział jej ranek, od świtu do spotkania przy bramie.

Z chłodnego dworca, ktoś mi może powiedział, że to jest dworzec, wyszedłem na białą ulicę. Jeszcze nie było upału, ale wyczuwałem wielodniowy żar, kładący się na płyty chodników, na lepki asfalt ulicy, żar wymieszany z odorem wyziewów, wyziewów?, spytała, skąd?, żar przylegał do ziemi paromilimetrową warstwą i trzeba było brodzić, opanowując wstręt. Domy ustawiono w równoległe ściany i one ogołocone z zieleni wyznaczały trasę, przed sobą dostrzegał dziewczynę, płynącą w miejskiej zawieszynie, pragnął ją dogonić, zniknęła w wejściu do jednego z budynków, zatrzymał się. Z wnętrza biegły nieokreślone dźwięki, zabrzmiał krzyk, chłopiec wpadł do środka, w obszernej hali dziesiątki oczu, i grubas przed rurą, a obok jego twarz w owalu, wyższy odczytywał pytania, rura skierowała się ku chłopcu, prostokątna, uderzał w dłonie, uderzał, zobaczył dziewczynę i ruszył ku niej. Zatrzymany, bronił się bezskutecznie i zaraz grubas znów mówił płynnie, chłopiec nie rozumiał zdań, pojmując słowa, znów uderzał, a z tyłu czaiły się ręce gotowe bić, dziewczyna zniknęła, grubas mówił i wtedy - bo oczy wpatrywały się w grubasa, zapomniawszy o chłopcu - uciekłem, cicho wyśliznąłem się, zobaczyłem dziewczynę, biegła, a za nią biegło kilkoro, uciekałem. Uciekał przez dłuższy czas, zrozpaczony losem dziewczyny.

Przebiegał miasto w ucieczce, przyznając, że uciekać nie musi, już dawno zgubił pogoń, jeśli w ogóle była jakaś pogoń, i piął się pod górę, bloki wyglądały dziwacznie, pozbywając się paru pięter u drugiego końca, posłuszne zboczu ulicy, a potem zabudowania skończyły się i stok wpełzł w las. Biegł wolniej. Jeszcze długo.

Aż w końcu przełamał, idąc wciąż pod górę, ostatnie gąszcze chwastów, zielsk, ustępujących z chrzęstem, wysuszonych krzewów. Natknął się na płot, przez szczeliny między deskami widział zaniedbany ogród, obszarpane kwietniki, fragmenty długich, czołgających się zabudowań i zarys domu nad nimi, pojął, że doszedł do pułapki i że powinien zawrócić, bo szmery pogoni, jeśli były, pogoni, którą zgubił w paśmie strupieszalego lasu, ucichły przed dobrą chwilą, ale znów przytykał oko do szczelin i dziur w płocie, przesuwał się krok za krokiem, aż pchnięta mocniej deska trzasnęła - i mógł wejść.

Dom był murowany, zaniedbanie dostrzegało się z dala, poszukał śladów rozpadu na starym murze, ale tu ściany były gładkie, choć jakby już napuchłe mechą, gęstą ropą, a okna i drzwi wydały się zdrowe, lecz i na nich z daleka podejrzewał służącą się wilgoć. Bezruch, sączenie, skoczył i szarpnął klamkę, korytarz załśnił sterylnym błękitem. Znów owal, słyszał szmer i własny oddech. Bokiem, przywieszzone dziwnie do ściany, leciały schody, ginąc w

ciemności. Zawrócił. Słuchał, lecz ciągle nie było pogoni, poszedł w lewo mijając fasadę domu, skręcił, po powalonej, drewnianej ścianie dostał się do baraku, w długi korytarz, jaskrawe światło świdrowało dach, spadało snopami z dziur. Przeszedł do końca, skręcił w następny barak, dostrzegł tam ruch, nie, było martwo, potknął się o ułamek belki, padł i powstał...

...i (ja) panowałem nad ciałem.

Dziewczyna leżała w skąym cieniu, oddychając miarowo i płytko, tu też był upał, a słońce posunęło się niewiele. Przyjrzałem się jej dopiero teraz, była taka, jaka powinna być, ale to wiedziałem już wcześniej, teraz - w zarysie warg, w linii policzków, może nawet w pozycji ciała czaiło się coś, co kazało się mieć na baczności, coś obcego. Myliłem się oczywiście, bo przecież objawiła się taka, jaką mógłbym wymyślić, była nią tak dokładnie, że nawet hipoteza zmian natychmiast wydała się monstualnym nonsensem. Pochyliłem się i badałem centymetr po centymetrze skórę jej twarzy, gładką i zaróżowioną od gorąca, a może od spania, nie miałem doświadczenia w obserwowaniu śpiących ludzi, co innego ze zwierzętami, które w szkole demonstrowano często, a nawet natrętnie, każąc ich stany transponować na ludzkie, lecz były to transpozycje żalosne. Czego zresztą przed nami nie ukrywano: badanie zwierząt stanowiło jednak konieczność. Nie miałem więc doświadczenia i nie wiedziałem, kim jest Joanna w tej chwili.

Podniosła powieki i przestałem się niepokoić, była szczera.

Zobaczyłem znów jej szare oczy i zbadałem je raz jeszcze, znów na dnie źrenic czaiło się coś, strach?, zmęczenie?, nie wiem, a wokół oczu nieruchome, długie, ciemne rzęsy przydawały im stanowczego spokoju. Patrzyłem, poznając - łuk brwi, w tej chwili lekko zniekształcony, nie od razu zrozumiałem, dlaczego, czoło z pionową, nieuchwytną zmarszczką, nie było jej przedtem, zarejestrowałem więc zmarszczkę jako znak, włosy ciemne, takie same, włosy teraz nic nie mówiły, gdy leżała nieruchomo, z czymś w oczach, marszcząc czoło, spojrzałem niżej, zamknięte milczące usta, i podbródek, zbyt twardy. Ale gałęzie drzew nie kołysały się, wypisywały na jej twarzy trwałe, głębsze cienie, które, gdy Joanna leżała nieruchomo, mogły wprowadzać w błąd.

Dziewczyna patrzyła na mnie uważnie, czekając, a potem zamknęła oczy. Teraz zrozumiałem, wyprostowałem się i odszedłem o kilka kroków - dolina, w której się znajdowaliśmy, miała kształt regularnego kielicha. Zbocze zachodnie, to, które przebyłem idąc od miasta, wydawało się bardziej strome niż to, którym miałem wyjść. Patrzyłem tam, posłuszny Joannie, nie wiem, co robiła. Z tyłu, na trasie już pokonanej, w koronie minionej kępy drzew i u jej podnóża białaly niejasne kształty, ruszyłem, by się im przyjrzeć, bo przedtem ich nie było, i wtedy mnie zawołała, moim imieniem.

- Janie!

Zawróciłem i znów stanąłem nad dziewczyną, siedziała, spoglądając na mnie z dołu czystymi oczyma (ale wydawało mi się, że coś nie jest w porządku, może w okrzyku zabrzmiał akcent, który nie powinien się w nim znaleźć), spytała:

- Dokąd idziesz?

- Na wschód - odpowiedziałem, mogłem to zrobić, bo była obca.

3.

Teraz szliśmy razem, droga była łatwa. Joanna spięła sukienkę, a raczej to, co za sukienkę uważałem, w rodzaj kombinezonu o krótkich nogawkach, w ubiór nie znany mi; nie okazałem jednak zdziwienia, ponieważ Joanna nie pochodziła z miasta (w każdym razie nigdy jej nie widziałem) ani z nielicznych samotnych domów, których mieszkańcy należeli do naszej strefy - mówiła o tym nie tylko zawodna pamięć, ale i akcent dziewczyny. Nie rodziła się tutaj.

Nie pytałem, mogła nie pamiętać i sprawiłbym jej krzywdę nagabywaniem o startą przeszłość, a ona też nie dowiadywała się, dokąd idziemy, gdy zawróciłem od drzew i powiedziałem: na wschód.

Wstała szybko, ruchem, który umknął mojemu spojrzeniu, i oświadczyła, że jest gotowa. Może musiała iść ze mną. Ruszyliśmy pod górę.

Na szczycie wzniesienia odwróciła się i chyba spojrzała na białą konstrukcję, wrytą w korony drzew: musiała należeć do dziewczyny, tak przypuszczałem. Staliśmy na grzbiecie gołym, zamykającym kielich za nami, na krańcu, na początku rozleglejszej doliny, w której połyskiwały, falowały - bo tu był wiatr, lekki, równy powiew - korony różnych odcieni, a za doliną zieleniały nowe wzniesienia, coraz niższe, soczyste, nie tak suche. Zresztą niedługo potem znaleźliśmy źródło, napiliśmy się.

Szedłem milcząc, zwykłym krokiem, który dziewczyna wkrótce przejęła - jak mi się wydawało - z przyjemnością czy może ze zrozumieniem, że jest najbardziej skuteczny. I ona nie mówiła nic, chwytałem nieliczne spojrzenia jej szarych oczu, pozbawione jednak pytania, choć chyba zaciekawione, nie odpowiadałem na nie, idąc.

Postanowiłem jednak zagłębić się tego dnia w przestrzeń jak najdalej, więc szedłem skupionym, wyuczonym krokiem - prawdopodobnie wtedy zrozumiałem, że będę tak szedł długo, a potem wrócę do miasta, nie szukając chłopca. To było dawno jednak, owo poranne podsłuchiwanie, ceremonia, wyjście z miasta, ale i nadal tak krzywdzące, że prawie nie wierzyłem we wzgórze i drzewa, nawet w upał, choć i Joanna, atakowana przezeń, oddychała zbyt głośno i sucho.

Za wzniesieniami, po godzinie może, wgłębiliśmy się w szpilkowy las, słyszałem, że są takie lasy w strefie zachodniej, tam gdzie złomowisko odchodzi od rzeki spływającej z północy. Lasy zaczynają się w przesmyku między wodą i metalem, w przesmyku rozszerzającym się w kraj tych borów. Ale nie wiedziałem, że zobaczę je i na wschodzie, ojciec nie wspominał o nich, a inni nie mogli ich widzieć, bo z miasta jedynie dziadek i ojciec szli kiedyś, opasani, na wschód, prawdopodobnie też szukać chłopca - i szukali, skoro chyba nie wiedzieli, że ich podsłuchiowano - inni wędrowali na zachód, w ów przesmyk, i głośno szepty chłopaków, z którymi się bawiłem, że ich starsi bracia, ojcowie brodzili w szpilkowych lasach, przebywali w pustych, nie dorośniętych osiedlach, całych z drewna albo ceglanych, zabierali z nich to, czego szukali, wracali po trzech, pięciu dniach; w tamtą stronę wędrówki były krótsze. Ktoś opisał mi taką sadybę, kilkanaście budynków, które nie uzyskały dachów

lub wyposażyły się w ich szczątki, były tam dzikie jeszcze drzewa owocowe, a może na zawsze dzikie.

Na wschód chodzili tylko członkowie naszej rodziny, a na południe tylko ludzie rodziny Tomasza. Widziałem, jak mężczyźni wracali z zachodu, dźwigając szczelnie opakowane przedmioty. I mówiono mi, szeptano, że ludzie z mojej rodziny wracali zawsze z pustymi rękoma.

W lesie było duszno i pachniało tak, jakby na świeże szczapy pod gorącym słońcem położono pęki schnących ziół, był to zapach podobny, lecz świeższy - gdy tamte schły, tu jakby odbywało się napełnianie wilgocią, choć nie widziałem prawie jej śladów na ziemi i pniach. Schyliłem się, przerywając na mgnienie oka marsz, i oburącz rozgrzebałem brunatne igliwie, pod nim rozpostarło się mokre butwienie, a więc miałem rację. Szliśmy na sprężynującym podłożu, Marta, nie, Joanna przecież, ale ciągle nie godziłem się z jej imieniem, ruszyła o sekundę później, bo przyglądała się temu, co zrobiłem, a potem powtórzyła mój gest: rozgarnięcie, nie pojmując go na pewno, bo nie patrzyła na glebę, lecz na mnie.

Szło się łatwo, można było czasami dostrzec niebo nad głową, zdawało mi się, dwa razy, że widzę także przemykające nad nami białe kształty, wielkie i szybkie, prawie bezgłośnie, otoczone wysokim szelestem rozdieranego powietrza. Nigdy wcześniej nie widziałem takich ptaków. Jeśli nie były złudzeniem, należały do strefy wschodniej tylko, nie do centrum. I raz jeszcze, w chwilę później, dobiegł nas z nieba ostry, przeciągły krzyk, może właściwy tym ptakom. Joanna przystanęła gwałtownie, zadzierając głowę, ale tu nie dało się dostrzec nic, gałęzie puszyste od szpilek przesłaniały niebo, a jego mizerne skrawki, jakie przebłyskiwały w dół, były puste. Stała długo, wpatrzona w górę, strwożona może, zatrzymałem się i czekałem nie opodal, potem wróciłem i dotknąłem jej ramienia, pokazałem las, musimy iść, niedługo zapadnie ciemność. Teraz ruszyła przodem.

- Co to było? - spytała, choć to ja powinienem pytać, skoro pochodziła stąd. Nie mylił mnie biały cień na koronach drzew w kielichowatej dolinie. Był tam i stanowił jej własność.

- Nie wiem. U nas tego nie ma - odpowiedziałem.

Obejrzała się i zmierzyła mnie spojrzeniem.

- Nigdy?

- Nigdy.

Zaciekawiła się i myślałem, że coś wyjaśni, ale i ona oczekiwała na wiedzę.

- Z daleka jesteś - stwierdziła.

Zaprzeczyłem, to parę godzin drogi. Musi być u was spokojnie, powiedziała, przytaknąłem, tak, spokojnie, a u was nie?, odparowałem, już i ja mogłem pytać.

- Nie ma spokojniejszego miejsca niż u nas - odpowiedziała.

Chciałbym widzieć jej twarz, ale teraz trzymała się przede mną, po raz pierwszy od chwili, w której wyruszyliśmy razem.

- U nas też jest spokojnie.

Uśmiechnęła się chyba.

- Później mi opowiesz.

I znów szliśmy, bałem się, że las nie będzie miał końca. Nie lubiłem go, las nie jest

swojski.

- Las zaraz się skończy - powiedziała nagle. Widocznie chciała rozmawiać.
- Skąd wiesz?
- Widziałam, gdy leciałam.
- Mówiłem, że leciałaś - potwierdziłem, jej kark, tuż przede mną, nieco z boku, stwardniał

nagle.

- Żartuję - rzuciła przez ramię, prawie nie obracając głowy.

Przyspieszyłem kroku i zrównałem się z nią.

- Joanno!
- Nie nazywam się Joanna.

Nie zdradziłem się. Spytałem niedbale:

- Nie nazywasz się Joanna?
- Marta - powiedziała. - Stażysta.

Milczałem.

- Co chciałeś powiedzieć?
- Nieważne - rzuciłem, choć chciałem przypominać latanie. Wydało mi się, że mogłem to uczynić bez obawy o jej spokój, sama wypowiedziała to słowo. - Co to jest Marta?

- Imię - zdziwiła się.
- Co to jest stażysta?

Znów mi się przyjrzała, trochę kpiąco, lekko skinęła głową.

- Ty nie jesteś stażystą?

Jestem mężczyzną - wskazałem na mój pas.

Nic macie obowiązku - mruknęła.

Nic rozumiałem jej, ale nie pytałem już, o strefach poza centrum chodziły różne relacje i wiedziałem, że zwyczajnie ludzi w nich mieszkających pozbawione są godności. Nie zawsze, ale przeważnie. Dziadek twierdził, że inni więcej wiedzą i pamiętają, wydawało mi się, że kpi tak mówiąc, ojciec zaprzeczał mu, powiadał, że może wiedzą co innego, a może mniej właśnie - wybuchały spory przy kolacji, zapominano nawet o kolejnościach i przesuwaniu naczyń, prawie krzyczeli, kłócąc się, matka uspokajała ich. Nie wiedziałem, kto ma rację, i wolałem nie pytać, jak wolałem i teraz nie pytać, co ona, Joanna, Marta, wie, i o znaczenie słów także, bo ich słowa są takie same, ale inne, może: lecieć - oznacza: biec szybko, czymże jest latanie, jeśli nie biegiem nad ziemią? Zapomniałem natychmiast jej uwagę o braku obowiązku, przypuszczając, że i tu sens wyrazu może być inny, a więc nie powinienem się obruszać, i nie chciałem jej mówić, że moim obowiązkiem jest szukanie chłopca (obowiązkiem, który odrzuciłem właśnie), miałem go szukać, ale nie musiałem go znaleźć, może nie zrozumiałaby starań, które nie muszą być zakończone wymiernym rezultatem. Mogłem mieć tylko nadzieję, że z czasem - a więc już liczyłem się z dłuższym przebywaniem z Martą - nauczę ją wszystkiego i sprawdzę, na jaki poziom abstrakcji zdolna jest się wspiąć. Więc tylko szedłem obok niej, nie umiałem rozmawiać bez powodu: wtedy jeszcze przekazywało się informacje jedynie, a nie poglądy i uprzedzenia, i wiary (te dostawało się w szkole), tak było i to się miało zmienić, lecz ktoś zdolny był przeczuć?

Nagle wyszliśmy z lasu, na bujnej łące chmara ludzi miotła się we wszystkich

kierunkach, a w górze, wyżej i niżej, łyskając odbitym słońcem, krążyły wielkie, białe stwory o skrzydłach sztywnych, wąskich i długich, przelatywały bezgłośnie nad pędzącymi gromadami, rzucając rozmyte cienie, prześlizgiwały się tuż nad głowami i wzbijały pionowo i wysoko, Marta krzyknęła i popędziła na łąkę, biegiem, najszybszym rzutem, już o mnie zapomniała, puściłem się za nią. Na skraju łąki trawa smagała kolana, tamowała ruchy, dalej była niższa i między coraz rzadszymi kępkami prześwitywał piasek, do gromad pozostało kilkaset metrów, ale nie doganiałem Marty, była szybsza, może umiała biegać wśród roślinności, jak tamci, oddaleni od nas, a może bardziej chciała dobiec, pędziłem bez nadziei, że do niej dotrę, i już tylko starałem się nie stracić jej z oczu, do porannej rozpaczy dołączyła nagle nowa, że mi Marta zginie, a potem zobaczyłem, że nie muszę się lękać, bo jej strój (w biegu gwałtownymi ruchami rozpiniała kombinezon i znów znalazła się w sukience z naderwanym ramiączkiem) był inny, srebrzysty, i tamci, ubrani w jednakowe, błękitne kurtki nie mogli jej wchłonąć tak, bym jej nie znalazł. A więc nie była i stąd, ubranie ją zdradzało. Zwolniłem kroku. Dopiero teraz dostrzegłem w rękach błękitnych kurtek ażurowe konstrukcje różnej wielkości, przypominające jakoś latające stwory, ale pozbawione ich skrzydeł, a także i inne, prostokątne, kwadratowe, owalne, i jeszcze inne, podobne geometrycznym rozwinięciom algebraicznych funkcji, rozpięte na listewkach i żerdkach, drewnianych czy może metalowych, nie rozpoznawałem z odległości.

Stwory krążyły jeszcze jakiś czas, ogromne, gdy tamci biegali pod nimi, a później spiralnie, jeden po drugim, wzbity się w górę i popłynęły dwoma rzędami na wschód i południe, zniknęły w okamgnieniu, jeszcze czasem zabłyśły, zaśniły, ale po chwili niebo było puste - wtedy z gromady wystrzeliły niebieskie podobizny tego ptactwa, popłynęły, coraz wyżej, zaroilo się owalami, trójkątami, figurami, poleciały karykaturalnie, a ludzkie gromady dążyły przed nimi, jakby wyznaczając drogę, pędem, z zadartymi głowami. Biegli w rozproszeniu, ale w jedną stronę, nieco na ukos ode mnie, pod wiatr. Mogłem nie spiesząc się mieszać z tłumem, zrobiłem to. Parłem wśród ciał nie całkiem zgodnie z ich kierunkiem, ktoś potknął się, uderzywszy o mnie, ktoś chwycił moje ramię i zwrócił tam, gdzie dążyła gromada, musiałem biec z nimi, zadzierałem głowę, konstrukcje śmigały w górze, widziałem teraz, że przywiązane są do sznurków, które trzymali ci ludzie, to tu, to tam szarpały się, sznurki szarpały trzymających i ciągnęły ich w jednym, ciągle tym samym kierunku, goniliśmy pod wiatr, który łagodnym, silnym ciągiem bił w twarz, opuściłem wzrok i biegnąc wypatrywałem Marty, spostrzegłem ją, w rytmie tłumu, zgodna, o zamkniętej, obcej twarzy sunęła niedaleko, z innymi, ze mną, chciałem się zbliżyć, ale nie dano mi, oni nas w ogóle nie dostrzegli, Marty i mnie, ostrymi uderzeniami odpędzali tych, którzy przeszkadzali, zboczywszy z trasy. Musiałem przeciąć drogę innym, by dotrzeć do Marty, przeszkadzili, nie dali mi, Marta oddalała się, biegnąc ze swą grupą nieco wolniej, pędziliśmy, pędziliśmy długo, las pozostał w oddali i ogarnęła nas już bez reszty ogromna łąka z rzadkimi krzewami.

A potem chmara z krzykiem i śmiechem, zaskakującymi po niedawnej ciszy, w której tylko tupot nóg i coraz głośniejsze oddechy, i wiatr w linkach czy płaszczyznach dawały znać, że istniejemy, z krzykiem i śmiechem, nie porozumiewając się, padła na trawę i leżała ziejąc pospiesznie, zaniebieszczyla się łąka, bo i konstrukcje powoli spływały, ściągnięte sznurkami czy bezruchem w dół, przykrywając swym błękitem nowe połacie piasku i zieleni.

Padłem i ja, poczołgałem się, bo nie miałem siły wstać (i nie chciałem zwracać na siebie uwagi), w stronę Marty, ale nie dostrzegłem jej od razu, dziewczynę okrążyły niebieskie postacie, utworzyło się wokół niej koło, gęste i cisnące, przez które niepodobna było się przebić, i wokół mnie też się nieznacznie zbierali.

Wstałem więc, dźwigałem się powoli, patrząc na nich, na twarze pierwszych ludzi ze strefy wschodniej, podobne do mojej, a oni też podnosili się takimi samymi ruchami, jakby nie chcieli mnie ani wyprzedzić we wstawaniu, ani się z nim spóźnić. Prostowali się jednocześnie i niezależnie ode mnie, jakby unikając jakichkolwiek sugestii co do swych zamiarów i co do postępowania, jakiego oczekiwali ode mnie. Mogłem na razie wstać, nie wiedziałem, czy za chwilę będzie mi wolno pójść. Powiedziałbym, że naśladując mnie, a raczej godząc się przez chwilę na powielanie moich czynności, obojętnie nade mną czuwali, a nie czuwali przeciw (przynajmniej nie zdradzali się z tym) i nie mogli być obojętni (ale i zainteresowania nie ukazali).

Stałem już i oni stali, oglądałem ich twarze, a w prześwitach między głowami widziałem takie samo koło otaczające Martę. Ich niebieskie kurtki, przylegające jedna do drugiej, tworzyły krąg idealny. Nie zauważyłem, kiedy znalazł się wewnątrz niego, naprzeciw mnie, wysoki chłopak (musiałem lekko zadrzeć głowę) o twardszej od innych twarzy, bardziej zdecydowanej czy nieco starszej (dopiero teraz zauważyłem, jak są młodzi oni wszyscy), oczy jak grudki ciepła wpił we mnie (a Marta w swoim kręgu, przypuszczam, obracała się powoli i bezradnie, ale tam nikt nie wystąpił), przychodzisz zza lasu, powiedział, zza lasu, tak?

- Z centrum - przytaknąłem. - Stamtąd - wskazałem smużkę drzew, daleką już, skinąłem głową.

- Zza lasu - powtórzył. - Pewnie walczyliśmy. Witaj. Atakowałem w środkowej kompanii. Byłeś tam?

Przymknąłem oczy, potwierdzając, uścisnęliśmy sobie dłonie, on pierwszy wyciągnął rękę. Ocenilem, że nie spytał, czego szukam. Wskazał koło otaczające Martę.

- Z nią idziesz?

Znów przytaknąłem, bo tak było. Spojrzał na otaczających mnie, dajcie mu odpocząć, powiedział, padli wokół na ziemię. I on też legł. Nazywał się Długi, powiedział, Jan, odrzekłem, i znów, leżąc, uścisnęliśmy sobie dłonie, a więc przyjął mnie czy może już wszyscy mnie przyjęli, wiedziałem, bo drugi uścisk nie mógł być wrogi, Długi potwierdził to natychmiast, jakby zgadując, co myślę, możecie u mnie nocować, rzucił, dom duży, miejsca aż nadto, podziękowałem, potrzebny nam nocleg.

Wtedy krzyknął, chmara obróciła ku niemu twarze, mamy gości, powiedział, zbliżali się nowi i jednocześnie krąg rozpękł się, powstała wolna przestrzeń między mną i Martą, Długi gościnnie pomógł mi wstać i podprowadził kilka kroków, pochyliłem się nad dziewczyną, siedziała, patrząc na mnie, pójdziemy z nimi, powiedziałem, znów leżeliśmy w trawie.

- Nie jedliście - stwierdził Długi, dał znak i podali nam chleb z mięsem i naczynia z wodą, nie wiem, skąd je wzięli, może były tu, w tym miejscu, wcześniej przygotowane. Przypatrywali się, jak jemy.

Wypoczywaliśmy bez ruchu, Długi nie pytał o nic, a reszta odpęzła powoli, potworzyły się małe grupki, dobiegał nas śmiech i strzępy słów, łowiłem w nich tę samą melodię, która

niosła się w zdaniach Długiego, przedłużanie sylab, miękkość, prawie przyśpiew. Patrzyliśmy w niebo, zaczęły powoli przesuwać się kłębiaste chmury, jaskrawe u szczytów, rozplomienione zastygłą zapowiedzią czerwieni, niżej bure i masywne, zbierało się ku nocy, słońce niemal dotykało horyzontu.

- Zaraz zmieni się wiatr - powiedział Długi. - Trzeba się spieszyć.

Przez chwilę ze skupieniem wahał powietrze, a potem podniósł rękę i na ten znak niebieskie postacie zerwały się, załopotaly płaszczyzny ich zabawek czy maszyn i wszyscy ruszyli, znów biegiem, w tym samym kierunku, na południe, ale zaraz skęcili, zgodni z wiatrem czy planem tylko im znanym, zawahałem się.

Ale (przewidywała Marta) pobiegłbym z nimi, nie oglądając się na Martę, która (już opuściwszy tłum - już poza nim - z pogardą i przerażeniem, bo zrozumiała, dokąd ją przyprowadziłem, zrozumiała dopiero teraz: z góry i z miasta, z jej miasta, wszystko wyglądało inaczej; dlatego musiała mieć te chwile, bieg i kilka minut rozmowy, by pojąć, kim jest Długi i niebiescy, i natychmiast zaplanowała odwrót udając spokój - postanowiła czekać na drugi ich start, na kolejną część biegu, i dopiero potem odejść, uciekać od nich, wyłuskawszy mnie z tłumy i pociągnawszy za sobą, ale zaskoczyli ją nagłością zrywu i już opuściwszy gromadę, już poza nią, patrzyła, jak zagarnia mnie potok ciał i oplątują ich linki) nie mogła zawołać - i tak bym jej nie słyszał - przystanęła, a potem z obrzydzeniem i strachem znów wmieszałyby się w biegnących, by mnie dogonić, ale niebiescy nie widząc jej, nie dostrzegając, jak nie dostrzegali mnie przedtem, dygocącymi rękoma ciągnąc sznurki, przeszkadzałyby w dotarciu, wchłaniali ją i musiałyby biec.

Opowiedziała mi to.

Opowiedziała, że tak by mogło być, ale przecież tam, na łące, nie pobiegłem z nimi, bo Marta, zewnątrznie spokojna, czekała tylko na chwilę, w której znów ruszą, a potem, jednocześnie z ich powstaniem, z cichym łopotem czy szelestem ich latawców, z wiatrem, który przeciągnął chłodną dłonią tuż nad nami, dotknęła mnie i skierowała poza strumień ciał, poza nich, nie pytałem dlaczego, choć bieg też wydał mi się marzeniem, jak przedtem marzeniem wydała się Marta, i pragnąłem biec, ale dłoń Marty, muskająca ręką w mojej kurtki, gdy oni już biegli, kazała mi pozostać, a potem powlec się za nią, kiedy ostatni, już nieobecni dla nas, z uniesionymi ku błękitom płacht i nieba twarzami, przemknęli.

- Latawce - powiedziała sucho, ze wstrętem. - Naśladowcy. Musimy uciekać.

I pobiegła, a ja pogońiłem za nią, może dlatego tylko, że chciałem biec, bo zachwycił mnie pęd, sam pęd pod niebem, lecz już po chwili zapomniałem o czarze łopotu i latania, a potem znów posuwałem się po prostu za Martą, na południe, gdy tamci natychmiast skęcili i oddalali się, teraz we wrzawie. Biegliśmy sami przez łąkę ku kolejnemu lasowi, przecinającemu nam drogę gęstym pasmem. Było już późno, słońce pozostało nisko z boku i za nami, nie patrzyłem w jego czerwieniejącą okolicę, Marta przeszła w marsz, którego nauczyła się ode mnie w ciągu niewielu godzin, a który może umiała już dawniej, i tak weszliśmy między pierwsze drzewa,

posuwaliśmy się wśród nich krótko, gdyż ich pasmo okazało się zaledwie tak szerokie, by przykryć dalszą przestrzeń przed nami. Zmieniłem więc wyznaczony mi kierunek szukania, zmieniłem go ostatecznie, nie wiedząc kiedy, idąc za Martą, bo teraz musiałem za nią iść choćby po to, by Marty nie stracić.

Potem leżeliśmy, odpoczywając. Marta uspokoiła oddech i zaczęła opowiadać, słuchałem, gdy zapadał zmierzch, a ciemność lasu i nieba zetknęły się nad nami.

Tak by było (przewidywała), tak by było, chłopak dotknąłby cię, pokazał ręką, ruszył i pospieszyłbyś za nim. Wysoko, wirując i łopocąc, posuwałyby się hipnotycznie konstrukcje o niebieskości intensywniejszej niż ciemniejące niebo, bieglibyśmy znów po łące, migocącej kroplami kwiatów, nie mógłbyś pozostać w tyle, choć znów, jeszcze bardziej, zbaczałbyś ze wschodniej trasy, chłopak wyprzedzałby cię ciągle, trzymając w ręku napiętą nić, ginącą w górze, ale dogoniłbyś go na chwilę, wrzeszcząc: dokąd?, a on by nie odpowiedział, w pędzie, nie zważałby na ciebie, na trawę, niebo, dla niego istniały tylko wiatr i nić; nie pytałbyś już i starałbyś się jedynie nie zgubić go i nie stracić z oczu mnie, Marty, która ukazałaby się tuż, niedaleko.

Powiedziała, że byłoby jeszcze tak:

Wiatr dał nam w twarze, a potem nagle ucichł i z góry swobodnie spłynęły leniwie płaty, a my już staliśmy, dysząc.

- Koniec - powiedział chłopak. - Szkoda - dodał bezradnie, oddychał gwałtownie, na zaczerwienionej twarzy tajałyby resztki biegu.

- To już wszystko - szepnąłby jeszcze tak cicho, że ledwo usłyszałem, może w szepcie brzmiało pytanie. Spojrzał na mnie: - Tyle przygotowań - wyjaśnił, ale nie rozumiałem nic. - Miałem szczęście, że mogłem drugi raz...

- Drugi raz?

Spytałbym, choć nie powinienem pytać.

(To też opowiedziała o mnie Marta).

- Latać - wyjaśnił i dopiero po chwili pojął, że nie wiem, o czym mówił. - Wy nie latacie? Zaprzeczyłem.

Marta przepychałaby się ku nam, latający leniwie ustępowali z drogi, drżeli z wysiłku, ale stali, czekając na znak, zwróceni w stronę chłopaka, znów podniósłby rękę, padli na ziemię.

Długi zdjął niebieską kurtkę i rzucił na trawę, wskazując Marcie miejsce, usiadła z lękiem, przycupnęliśmy obok.

- Nie latacie - powtórzył. - A kiedy przestajecie być dziećmi?

Zwracałby się do mnie, Marta, wyciągnięta z pozorną wygodą na jego kurtce, także czekała na odpowiedź, znieruchomiała, odwróciwszy od nas twarz, zdradzało ją zatajone napięcie, wysiłek, z jakim odcinała się od gwaru spoczywającej w grupach gromady. Nie odpowiadałem przez chwilę, ponieważ jeszcze ciągle dławilo mnie zalecenie milczenia. Pamiętałbym, że nie obowiązuje mnie już. Ale cóż jeszcze mogłem uczynić, zmieniwszy trasę i cel wędrówki: przyznać, że szukamy, skoro nie szukałem?, powiedzieć, że nie szukam, choć powinienem szukać?

- Wyruszamy na poszukiwania - powiedziałem jednak.

Czekał na odpowiedź nie okazując zniecierpliwienia, ale usłyszawszy ją, uśmiechnął się, skinął lekko głową, jakby doceniając moje wahanie i rozumiejąc ofiarę, jaką uczyniłem, ofiarę, która przecież nie istniała.

- Czego? Czego szukacie?

- Nie mogę powiedzieć - odparłem, bo półprawda (półprawda w moim przypadku), jaką mu rzuciłem, zobowiązywała do konsekwencji. I nie kłamałem, po prostu nie brałem pod uwagę indywidualnego wybryku, którego się dopuściłem. - Każdy szuka swojego.

Chłopak znów skinął głową. Może to, co usłyszał, wystarczyło mu, a może uznał, że powiedziałem tyle, ile wolno. Zwrócił się ku Marcie, popatrzyłyby na nią, dziewczyna okręciła się powoli i pokazała swą twarz.

- Macie jedną drogę - powiedział, stwierdził raczej, niż spytał.
- Tak - szepnęła Marta patrząc na mnie.

Nie zaprzeczyłem.

(- Już cię okłamano rankiem - powiedziała potem Marta - już i ty znalazłeś się obok prawdy).

Opowiedziała mi, że nie zaprzeczyłbym, ale w tej samej chwili postanowiłbym wydusić z niej informację, kim jest, zdobyć ją później, gdy będziemy sami: nie znałem dostatecznie chłopaka i nie byłem mu winien nic, w każdym razie nie byłem mu winien szczerości w sprawie Marty.

- My budujemy latawce - powiedział, wskazując na zbłękitniałe pole. Tu i tam już chodzili, zbierając konstrukcje. W ciepłym, jaskrawym prawie zmierzchu wyglądali jak zmaterializowane cienie, pochylające się nad swymi z kolei cieniami. - Wiosną przylatują zza ściany stada wielkich stworów, wybiegamy im naprzeciw. Przylatują pewnego dnia po południu, starzy umieją obliczyć, kiedy nadciągną, my, młodzi, rankiem wychodzimy z latawcami w pole i czekamy. Najlepszy prowadzi w następnym roku. Rok temu byłem najlepszy.

Spostrzegłem, że nie mówi swoim językiem. Mówił wyuczone.

Potwierdził:

- Uczą nas.

Powiedziałyby:

- Nazywam się Celes. Najlepszy otrzymuje to imię.
- A Długi? - spytałem.

Machnął ręką.

- Przewisko na co dzień.

Kazał nam wstać, podnieśliśmy się i poderwała się gromada, zwinęli sznurki, trzymali konstrukcje za cienkie listewki. Wyciągnęliśmy się w długi rząd, powoli poszliśmy, było coraz ciemniej i z ciemności po krótkim czasie wystąpiły światelka mia sta, nie tak mocne jak wieczorne oświetlenie naszych domów i ulic. Przypuszczałem dotąd, że miasto strefy wschodniej leży dokładnie na wschód od naszego, ale tak nie było. Minęliśmy, w ciemności ciągle, ledwie widoczne ogrody, chyba podobne do naszych, w każdym razie tchnęły ku nam znajomym zapachem żywej i obnażonej ziemi, przestrzeń między nimi niepostrzeżenie

zmieniła się w szeroką ulicę, wysadzoną topolami, domy po obu jej stronach miały płaskie dachy, szerokie, obramione balustradami. Celes szepnął, że mijamy dzielnicę urzędową, wypatrywałem ciekawie, bo u nas takiej nie było, ale zbyt rzadkie światła raczej zacierały, niż uwydatniały szczegóły. Celes objaśniał, przeszliśmy obok ratusza i szkoły. Rozczarowałem się, ratusz był zakończony, nie stanowił silnie rosnących ścian, jak u nas, a szkoła, zdławiona obramiającymi ją ulicami, nie zapewniała przestrzeni właściwej do skutecznego wychowywania i sumiennej nauki. Nagle znaleźliśmy się na rynku, jego prostokąt przypominał rynek naszego centrum, stanęliśmy w dość regularnym ludzkim kole, utworzonym przez czekający tłum.

Zrobiło się tłoczno, gęsto, Marta rozglądała się trwożliwie, chwyciłaby moją dłoń, co z nami zrobimy?, szepnęła tuż przy uchu, pewnie pójdziemy na kolację, parsknąłem, zdziwiła się, obcy?, na kolację? Wyswobodziłem dłoń, dlaczego obcy mają nie jeść? - spytałem sucho; szeptałem tak cicho, że Celes nie mógł nas słyszeć, a jednak szturchnął mnie w bok, nakazując milczenie: ktoś śpiewnie mówił, głośno i czule. Kobieta. Nie rozróżniałem słów, nie rozumiałem, mogła mówić tamtym języku, niektórzy podobno i u nas tak mówią, ale wsłuchałem się, nie, nie, mówiła jak wszyscy, lecz znów - niby na łące - intonacja, zlewające się słowa, przyspiew cudzy, nie znany mi, tworzyły z mowy niepojętą pieśń.

Celes szepnął:

- Wita nas - pomilczał chwilę i poprawił: - Sławi nas.

I wtedy śpiew umilkł, plac zaległa cisza, nikłe światełka z domów - bo rynku nie oświetlono - nie pozwalały odróżnić sylwetek, widziałem tylko ciemny tłum młodzieży i wianek dorosłych, przedzielone niewielkim, pustym pasmem. Znów mówiła. Nie widziałem jej, nie widziałem twarzy wokół, nie patrzyłem i pozwalałem łzom płynąć spokojnie, bo mnie nie będzie witał nikt, a raczej nie przyjdę na powitanie. Nie powinni nas podsłuchiwać i nie powinno zdarzyć się nic takiego, co się potem zdarzyło: nie trzeba było mijać z daleka Czujki, nie wolno było zbaczać z drogi, nie należało odpoczywać w największym skwarze, a skoro postąpiłem inaczej, gdyż byłem podsłuchiwany, to i musiałem wyjść na wschodnią grupę latających, zobaczyć białe stwory, zboczyć na południe i dostać się do wschodniego miasta, w którym śpiewała w ciemności kobieta witająca swoje dzieci. Gdybym nie widział fałszywego komandora, wędrowałbym, nie spotykając nikogo może i nie znajdując nic, a potem z lekkim sercem wróciłbym, zdrożony, i na rynku witałaby mnie matka wobec świadków z całego centrum, a ojciec, który wyszedłby mi na spotkanie i wprowadził do miasta, stałby obok, przyjmując także powitanie.

(- Skąd wiesz? - spytałem, przerywając opowiadanie.

- Nie wiem - powiedziała, wsłuchana w opowieść. - Dowiaduję się, właśnie się dowiaduję. Tak by było, gdybyś... Słuchaj - szepnęła i przytuliwszy twarz do mojego karku, opowiadała.)

Kobieta śpiewałaby o lataniu, teraz naprawdę śpiewała: starą pieśń, którą i ja pamiętałem, pieśń wyuczoną w szkole, ale my, ja znałem inne słowa. Śpiewała o obszarze, który należy do człowieka, ale do człowieka należy również próba wyrwania się z obszaru, więc człowiek chce latać. Śpiewała o ścianie i o wodzie, i o lesie, które ograniczają obszar, na którym żyje człowiek. I obszar ten jest dobry i bogaty, ale ma granice, toteż człowiek chce je przekroczyć,

więc człowiek chce latać. I jeszcze śpiewała o tym, że obszar jest w innych obszarach i że wszędzie żyją ludzie, rozłączeni granicami, wodą, lasem i ścianą, a człowiek chce się połączyć z tymi ludźmi, więc człowiek chce latać.

Śpiew umilkł, opadła z góry cisza, jak ich lekkie latawce, ale pomruk tłumu rozpędziłby ją, ktoś - Celes? - pociągnął mnie przez ciemność, obejrzałem się, Marta szła obok, przytrzymując lekko mój rękaw, a i teraz byłoby to dotknięcie nie dla mnie przeznaczone, a dla niej - nie chciała się zgubić. Skręciliśmy w boczną uliczkę i tu wreszcie zobaczyłem nie dokończone ściany, a więc i to miasto rosło jeszcze, choć już chyba zamykało wzrost, zastygało, skrzypnęła furka, potem drzwi, buchnęło światło, staliśmy w obszernej sieni, sklepionej wysoko, rozjarzonej lampami o kształtach szklanych prostopadłościanów, w nich dopiero pełgał płomień. W sieni czekał stary mężczyzna, wysoki jak Celes, o podobnej, dużej i twardej głowie, i kobieta, leż zdradzająca rodzinne podobieństwo, znacznie od starca młodsza.

Celes zatrzymał się przed nimi, wyciągnął ręce i niezręcznym ruchem położył je na naszych ramionach, Marty i moim.

- To goście - powiedziałby, a tamci skłonili głowy.

Po kamiennej posadzce, jakby w niecodziennym, ale ściśle określonym orszaku, przeszliśmy do następnego pomieszczenia, ogromnego, prawie kwadratowego pokoju, zastawionego niskimi, miękkimi meblami, tu były takie same lampy, ale krańce izby opanował nieprzyjemny półmrok - w moim mieście dbało się o to, by światło w pomieszczeniu docierało wszędzie. Kobieta gestem pozwoliła usiąść, meble przyjęły nas uginając się lekko, były - lecz to złudzenie - ciepłe. Celes pozostał przy mężczyźnie, nie rozmawiali, ale trwaliby obok siebie w nieuchwytnym prawie porozumieniu, Marta patrzyła na nich jakby z lękiem, przestachem, jak ktoś, kto nie może uwierzyć w scenę rozgrywającą się właśnie tuż obok.

(- Nie mogłabym - powtórzyła i opowiadała.)

Po prostu staliby, mężczyzna lekko wsparty na ramieniu Celesa, nie dlatego, że potrzebował pomocy, nie - dla kontaktu prawdopodobnie, z radości, że ma i Celesa przy sobie, a może z radości, że Celes tak się \

* udał: on był dziadkiem Celesa, kobieta była Celesa \ matką. Siedzieliśmy, Marta i ja, w ciepłych fotelach, popatrując na stojących nad nami gospodarzy, siedzieliśmy, bo nam kazano (ale ja na ich miejscu dawno też bym usiadł, nie chcąc niepokoić gości), gdy oni ^A dotykając się (co, zdaje się, wydawałoby mi się mniej . niesłychane niż Marcie), popatrywali na nas z uśmiechami, które coraz bardziej wydawałyby się nie ku nam skierowane, a wypuszczone nad nami, ku jednemu celowi - jeszcze chwila i kierujące się przeciw nam.

Marta lekkim ruchem obracała głowę, omiatając wzrokiem tę część pokoju, która była przed nią, usiłowała nie spoglądać - jako ufny gość - do tyłu. Ni uduwał się jej spokój, zaciśnięte na włóchatym materiale obicie dłonie zdradzały niepewność, oczu nie ukazywała nawet mnie, a może przede mną szczególnie je kryła: gdy jej spojrzenie zbliżało się ku stojącym gospodarzom albo w moją stronę, skakało w górę lub w dół, penetrując wnętrza, nie ludzi. Jak wyglądałem ja?

Nie powinni stać tak długo nad nami, prawie objęci, starzec i młodzik, nie powinni, skoro chcieliby od nas ufności i skoro zamierzali okazać nam szczerość - byłbym im nadal wdzięczny za gościnę, ale wolałbym nocować w lesie lub na łące.

Kobieta wyszła, do tej pory trzymała się za mężczyznami. Szepnęła coś, a może mi się wydawało, i oni obaj usiedli wreszcie na fotelach podobnych do naszydzi, ale o wyższych nieco nóżkach. Na pewno to mógłby być przypadek, bo przecież, gdy kobieta dała do zrozumienia, że powinniśmy usiąść, sami wybraliśmy miejsca. To jasne, fotele nam najbliższe. To mógłby być przypadek, ale teraz stał starzec i Celes - nie tylko z powodu wzrostu - górowali nad nami, a i można było dostrzec, że wstać jest im łatwiej niż nam. Dostrzegłbym to - choć czegoż mogłem się obawiać?

Starzec przykrył oczy brązowymi powiekami, dopiero one, pokryte zmarszczkami niby łuską, ujawniały jego wiek, namyślał się, a wtedy Celes znów by się uśmiechnął, już nie nad nami, nie przeciw nam, a do nas, wyraźnie i ze szczerością niby tak otwartą, że oboje, Marta i ja, poruszyliśmy się zbyt gwałtownie, zdumieni nową zmianą, skokiem sytuacji.

- Wędrownicy - powiedział starzec.

Nie drgnąłem. Marta popatrzyła na mnie ostrożnie.

Wyciągnął rękę na zachód:

- Stamtąd?

Przytaknąłem. Jego wzrok lśnił między powiekami.

- Wędrownicy - powtórzyłyby. - My jesteśmy Latawce.

- Nazywamy was strefą wschodnią.

- Co to jest: wschodnia?

Wyjaśniłem mu.

- Wędrownicy - powtórzył. - Znacie się na kierunkach. Ale rzadko do nas przychodzicie. Ostatni raz... ostatni raz to było wtedy, gdy miałem latać.

- To był mój ojciec, może raczej dziadek.

Nie dosłyszał, może nie zwrócił uwagi na moje słowa.

- Ktoś go spotkał na łąkach, nie zajrzał do miasta. Jesteście pierwsi, odkąd pamiętam, odkąd świat jest może. Dlaczego? I jest was dwoje.

- Nie wiem - szepnąłbym. Wpatrywałem się, by uniknąć jego spojrzenia i nieruchomego uśmiechu Celesa, w wąskie przejście, w którym zniknęła kobieta. Nie było tam drzwi, zwisła kotara z miękkiego materiału. Marta nie pomagała mi, podciągnęła nogi, dzięki czemu mogła wyprostować tułów, nie zważając na nieznaną im przepisów, może je właśnie łamała w tej chwili, i nie dotykała teraz ziemi, patrzyła na mnie, jakby i dla niej moje wyjaśnienia były nowością. Były nią, oczywiście, lecz ponieważ przyznała się im do tego, co moje, pochodzenia, oni nie powinni się jej ciekawości domyślać.

Starzec lekko poruszyłby ramieniem i teraz zobaczyłem, że znów się dotykali, Celes i on, przedramionami, ułożonymi na poręczach foteli - uśmiech Celesa skierował się do Marty, a starzec badał mnie nadal.

- Wędrujecie, a tu macie blisko. Dlaczego nie przychodzicie? Tylko nasi chłopcy wiedzą, jakie jest wasze miasto, bo chodzą pod nie na zabawę w walkę. Ale nie umieją - spojrzał na Celesa - albo może nie chcą o nim opowiedzieć. Ja widziałem je sześćdziesiąt lat temu. Sześćdziesiąt lat, przez ten czas zmieniło się pewno, niezależnie od człowieka i jego zachowawczych wysiłków.

Skinąłem. Chyba miał rację.

- Dlaczego nie przychodzicie?

Opanowałem wzruszenie ramion.

- Nie wiem.

Marta patrzyłaby na mnie z niepotrzebnym napięciem. Wiedziałem doskonale, że moja odpowiedź brzmi źle, lecz nie mogłem udzielić innej, nie miałem innej odpowiedzi.

- Nie wiem - powtórzyłem znów, zbyt głośno.

Starzec poruszył się. Teraz wiedziałbym już na pewno, że w niepojęty sposób kieruje Celesem, i zrozumiałem też nagle, że Celes zbuntował się, odmówił współpracy albo może odzegnał się od tej swoście pojętej gościnności, nagle, szorstkim gestem zdjął rękę z poręczy fotela, odchylił się w drugą stronę, spojrział na mnie bez uśmiechu. To też mogła być gra, ale uwierzyłem mu. Widziałem ich dobrze, lecz oni nie podejrzewali, że widzę - skąd mogli wiedzieć, że nas, Wędrowników, jak mówił starzec, uczą gestów, spojrzeń, dotyków, gdyż są prawie stałe, a ceremonie mogą się zmieniać i w czasie, i w przestrzeni.

Pojawiła się kobieta, pchając przed sobą spory stolik umieszczony na kółkach, na stoliku leżały talerze, sztućce i półmiski pełne jedzenia. Dotoczyła go do nas i usiadła. Dopiero teraz zwróciłbym uwagę na to, że takich foteli, takich i nieco innych, stało w pomieszczeniu jeszcze kilka, ale tylko pięć umieszczono w kręgu, dokładnie tak dużym, by mógł między nimi stanąć stolik. Starzec zachęcił do jedzenia, jako gość przysunąłem talerz nie zważając na kolejność, Marta uważnie oglądała zawartość półmisek, potem ostrożnie spróbowała.

Gdy - milcząc - nasyciliśmy się i gdy kobieta przytoczyła na mniejszym stolczku filiżanki z gorącym napojem, cierpkim i aromatycznym (Celes podawał cukier najpierw kobiecie, potem Marcie, wreszcie mnie i starcowi - była to kolejność niezwykła), starzec sięgnął do półeczki pod blatem, wychwycił z niej butelkę i kieliszki, nalał do nich zielonego alkoholu i podał nam (znów w podobnej kolejności), wypiliśmy, napój przemknął gładko przez przełyk, a potem oparzył, i starzec znów się odezwał:

- Dużo wiecie o świecie.

Zaprzeczyłem. Nie uwierzyłby. Celes uśmiechnął się w filiżankę i spojrział na mnie jakby z aprobatą, może nadzieją, twarz kobiety stężała.

- Szanuję tajemnice obcych - powiedział starzec głosem zbyt obojętnym i znów nalał alkoholu. Chciałem odmówić, znając działanie napoju, ale nie wiedziałem, czy wolno. Marta także - z wahaniem - podsunęła swoje naczynie. Obmyślała coś, przygryzła wargę.

- Nie mamy tajemnic - powiedziała, a ja nie zrobiłem nic, gdy się odezwała. W tej chwili już akceptowałbym jej kłamstwo, chyba po to, by później więcej się od niej dowiedzieć.

- Wędrujemy raz - powiedziałem. - Raz w życiu. I nikt nie opowiada o tym, co widział. Nie wiemy, jaki jest świat.

- Dlaczego? - spytał starzec.

- Nie wiem! - wykrzyknąłem. Cóż mógłbym mu jeszcze powiedzieć? Że latem, po zbiorach, mężczyźni wychodzą co roku na wędrowkę i znikają z miasta, by powrócić następnego dnia nad ranem, przyczołgać się do domu w zbrukanych ubraniach, a czasami bez ubrań, otoczeni bełkotliwymi monologami o sile, tyle słyszałem, gdy wracał ojciec, gdy wracał dziadek, mówiący o sile, która kruszy, co?, nie wiadomo, i pólżąc, z przykłęku na stopniach dawali się wciągać matce do domu, a po południu, zbudziwszy się, pozwalali - znów matce -

poić się domowym alkoholem przechowywanym prawie wyłącznie na te okazje? O zimowych wyprawach, z bronią, na nartach, z bronią nie tak doskonałą jak płonąca na stosie, o wyprawach, z których powracali bez broni, równie bezsilni i równie marzący o mocy? O chłopięcych wypadach za miasto? O poszukiwaniach treningowych, w moim przypadku kończących się na wzgórzach, dzielących centrum od wschodu?

(- Skąd wiesz? - spytałem, jeszcze raz przerywając opowiadanie.

- Nie wiem - powtórzyła. - Dowiaduję się, kiedy mówię. O przyszłości, która nie zrealizuje się prawie, a może nie ziści się wcale. Ten wieczór właśnie się zbliża. I ta noc. Słuchaj - powiedziała po krótkiej pauzie i jej policzek znów przylgnął do mego ramienia, chłodno i bezcieleśnie.

- Ale przecież nie pobiegliśmy za nimi.

- Mogliśmy pobiec - szepnęła. - Mogło się tak zdarzyć.

- Nie zdarzyło się.

- Kto wie - mruknęła. - Kto wie, co się nam wydaje, a co jest. Słuchasz? - spytała po sekundzie, w której próbowałem odrzucić jej słowa.

- Tak.

- Starzec pytałby - powiedziała. - Dlaczego nie wiecie, jaki jest świat. Słuchaj.

Opowiadała.)

- Moglibyście być mądrzy - mruknął starzec, a Celes, i kobieta tym razem także, jakby z Celesem sprzymierzona, przeniknęłyby mnie znów spojrzeniem ostrożnym, ale dodającym otuchy. Bym mówił.

- A wy? - zawołałem, bo alkohol już działał. -- Czy wy nie możecie wędrować? Któż wam zabroni?

- Przecież to wy wędrujecie - przerwał mi starzec.

- Dlaczego nie wędrujecie? Świat stoi otworem. Dla nas jest to zadanie, dla was może być praca. Każdy was przyjmie, na zachodzie, u nas, na wschodzie, na południu, na północy...

- My latamy - przypomniał mi Celes. - Latawce nie przejdą lasów.

Starzec uciszył go spojrzeniem: - Mój wnuk jest młody - powiedział. - Tak, my latamy - dodał z nieuchwytnym prawie odcieniem ironii. - Mamy tyle sznurków.

Urwał i na chwilę ukrył twarz. Celes opuścił głowę, ale jeszcze zdążył rzucić mu spojrzenie nie tyle niechętne, co nienawistne, my latamy, powtórzył, starzec przytaknął z uśmiechem, kobieta szybko przygarnęła Celesa tak mocno, że Marta i teraz również ja odwróciliśmy wzrok. Przesunąłem kieliszek, jawnie, starzec musiał mi nalać, patrzyłby, jak piję, i nie mówiąc nic nalał znów, gdy tylko puste naczynie dotknęło blatu. Marta naśladowała mnie, z solidarności czy z przypuszczenia, że lepiej znam zwyczaje, a więc postępuję właściwie, czy też - jak ja - z potrzeby. Bo i tutaj, w mieście o płaskich dachach i ciemnym świetle, spotkałem to znów: starzec i Celes, obaj wiedzieli to samo, ale starzec inaczej (jak mój ojciec wiedział inaczej to, co wiedziałem ja), okrzyki Celesa, jego powtórzenie, my latamy, były oznaką wiary, której ja już od kilku godzin mieć nie mogłem, a ledwie ukrywany sceptycyzm starca był zwątpieniem mojego ojca, a może nawet podsłuchiwanym fałszywego komandora. Starzec uśmiechał się, może i było w jego uśmiechu zrozumienie, ale brakowało litości, potrząsałem głową, spojrzałem na Martę, która wymieniała identyczne uśmiechy z

kobietą. Jedyne Celes, niepewny albo zaniepokojony, nie patrzył na nikogo.

- To nie możecie wiedzieć - powiedziałbym.

- Ależ wiemy! - zawołał Celes, a starzec, prawie równocześnie szeptem dodał: - Chyba.

Popijaliśmy z filiżanek w milczeniu już, starzec nie dolewał alkoholu, może posłuszny nieznacznemu znakowi kobiety, od czasu do czasu rozlegały się grzecznościowe uwagi o klimacie i wietrze, starzec spytał Celesa, było to pierwsze jego zdanie skierowane nie do nas, czy nadleciało dużo stworów, tak je nazwał, stwory.

- Dwa stada.

- Dwie eskadry! - wykrzyknęła Marta.

Starzec skierował na nią nieruchome spojrzenie.

- To stare słowo - powiedział powoli, a jego twarda głowa przybliżyła się do dziewczyny.

- Słyszałem je kiedyś. Skąd je znasz?

- Nie wiem - wyjąkała bezradnie. - Od zawsze. Prawdę? - zwróciła się do mnie i przytaknąłem natychmiast.

- Co to jest eskadra? - spytał mnie starzec ostro.

- Stado - powiedziałem bez namysłu. - Rodzaj stada... Musi być zorganizowane - dodałem.

Marta szybko przymknęła powieki, trafiłem.

Twarz starca ożyła.

- Myślałem... - szepnął, urwał i machnął ręką.

Celes roześmiał się i sądzę, że ja też bym się roześmiał na jego miejscu, bo wygraliśmy, ratując to, w co wierzył.

Potem skończyliśmy pić, starzec podniósł się, złożył ręce i pochylił głowę, kobieta i Celes pospieszyli za nim, a my przyłączyliśmy się do nich - z wahaniem, z grzeczności - i trwaliśmy tak niedługo, a potem znów patrzyli na nas, teraz pójdziecie spać, jesteście zmęczeni, powiedział starzec, jutro obejrzyście miasto i uzyskacie wszelkie wiadomości, jakie my mamy, i dacie nam wiadomości takie, jakie zechcecie dać, jutro, jutro rano, odszedł, kobieta skinęła, wyszliśmy za zasłonę, odprowadzani pożegnaniem Celesa, były tam schody, wspięliśmy się na nie, z wąskiego korytarza prowadziły wejścia do kilku pokojów, kobieta otworzyła dwoje drzwi, to wasze pokoje, powiedziałyby, śpijcie spokojnie, i odeszła, Marta ruszyła, chciała się schronić u siebie, powstrzymałem ją i nasłuchując kroków kobiety, coraz dalszych, spytałem:

- Co to znaczy?

- Puść - powiedziała spokojnie.

- Dlaczego kłamiesz?

- Puść!

Uciszyłem ją. Uparcie wyswobadzała się z uchwytu.

- Wyjaśnij.

- Puść! - prawie krzyknęła i znów dałbym jej znak, ale - teraz zrozumiałem - nie pojmowała znaków albo pojmowała je niewłaściwie.

- Nie puszczę.

- Puść!

Trzymałem ją i wtedy poprosiła:

- Jutro. Jutro ci powiem.

Rozluźniłem uchwyt, wysliznęła się, skoczyła do drzwi, zatrzasnęła je z hukiem, musieli usłyszeć na dole i zauważyć, że zamykamy się dopiero po dobrej chwili, uchyliła zaraz i wytknęła głowę:

- Jutro powiem. Naprawdę.

Uwierzyłbym.

Mój pokój, oświetlony jedną szklaną lampą, taką, jakie wisiały w sieni i w pomieszczeniu na dole (kto ją zdążył zapalić i kiedy?), byłyby niewielki. Przy oknie, sięgającym podłogi, stała ława, przy sąsiedniej ścianie, pokrytej od sufitu do podłogi konturowym malowidłem, chyba wpuszczonym w tynk, zobaczyłem dość szerokie spanie, niskie i, jak się zaraz przekonałem, wygodne. Powoli zdjąłem bluzę i spodnie (pas położyłem na spaniu), rzuciłem je na ławę, rozejrzałem się, w kącie czekała miska z wodą i dzban wody, widocznie nie mieli tu wodociągów, jak i u nas w niektórych samotnych domach - umyłem się. Teraz dopiero złożyłem uniform, jak nakazywał porządek, położyłem się na spaniu, okryłem ułożoną w nogach, prostokątną tkaniną, i dygocąc nagle ze zdenerwowania, zamknąłem oczy, bałem się znów, zrozumiałem, że bałem się od rana, od chwili, w której chcieliśmy opuścić most i musieliśmy się kryć, i do tego strachu, i do tamtej wściekłości dołączały ciągle nowe przerażenia, głębiej już nie mogłem się lękać. Wstałem i zgasilem lampę, okazało się, że wystarczy dmuchnąć, wróciłem do spania i rzuciłem się na nie całym ciałem, skrzypnęło, zamknąłem oczy, czekałem, ciemność podchodziła coraz bliżej, otulałaby mnie...

(- Nie zniósłbyś tego - powiedziała Marta.

- Czego?

- Nie wiem. Nie zniósłbyś. Słuchaj.)

... i (chłopiec) zerwałby się i tupocąc bosymi nogami, jedynie w przepasce na biodrach, zbiegł na dół, wypadłem na zewnątrz, pod gołe niebo, znów ciepła, gorąca ciemność otulała mnie, spojrzełbym w górę i zobaczyłem gwiazdy, jaskrawe i nieruchome, takie jak zawsze. Potykając się na miękkiej ziemi - a tu powinien być bruk przecież, pamiętam - podbiegłbym - tyle biegu od rana - pobiegłbym, tam było światło, przyłgnął do przeraźliwie, białe oświetlonych okien, grupa dziewcząt i młodych kobiet spoczywała w kłębach dymu, pary - wtedy przypomniałbym sobie, patrząc w głąb - może to była łaźnia, ale skąd w łaźni, po co, okna?, kobiety były nagie, poruszały się spokojnie, krople potu i wody snuły się po ich ciałach, któraś mnie zobaczyła, gdy przykucnął przy oknie, z twarzą przylepioną do szyby, i pokazała innym. Z tłumu wyłoniła się Marta i podbiegła do drzwi. Pojawiła się obok mnie, chodź, powiedziałałaby i poszedłbym za nią w ciemność, znów zdumiony i zły za jej kłamstwa, które to już?, nie kłamałam, powiedziałałaby, jakby odgadła moje myśli, chodź, stanęliśmy po chwili, światło okien dobiegało i tu i kładło się niespokojnie na jej ciele, nie, to ona, stojąc, poruszała się przed chłopcem w nieuchwytnym [rytmie.

- Skąd jesteś? - szepnąłby.

- Potem - powiedziała, również szeptem. - Powiem ci wszystko.

- Teraz?

Zabrział głos, ktoś, kobieta?, zawołał Martę, poczekaj, powiedziałem, nie mogę, mruknęła, później, zobaczymy się później, i pomknęła biała w ciemność, puścił się za nią ukradkiem, zbiegła na brzeg, skoczyła do łodzi, w której na nią czekali, spóźniasz się, zabrzmiał ten sam głos, prezydent czeka, powiedziała: przepraszam, łódź odbiła i popłynęła z prądem albo o wiosłach, nie wiem, zobaczyłem kilka sylwetek, jeszcze nagich, odziewały się.

I wtedy przypomniałbym sobie znów. Marta ostrożnie o kulach spełzła w dół, ześlizgiwała się, a obok -on, chłopiec, z samozaparciem i poświęceniem podtrzymywał ją, tak, mówił, tak, już lepiej, jeszcze kilka tygodni i będziesz chodzić. Na dole czekali wuj Marty, jej ojciec i jej matka...

(Marta umilkła.

- Nie rozumiem - powiedziała.

- Mów.

- Nie widzę. To... Boję się.

Poruszyła się.

- Nie umiem. Nie rozumiem. Powiem, co potem. *Co jest następne. Ale nie rozumiem.

Opuszczam.

- Dobrze. Mów.

- Musielibyśmy uciekać, skoczyłbyś i panowałbyś nad ciałem - powiedziała ze zdziwieniem.)

Marta (przewidywała znów) podawałaby mi ubranie, nie zapaliła lampy, ale był księżyc, w uchylonych drzwiach tkwiłby Celes i nasłuchiwał, dawał nam ręką znaki, szybciej, szybciej, nie pytałem, wciągnąłem strój i zapiałem pas, byłem gotowy, szybciej, ponaglił znowu, Marta w głębi pokoju robiła coś, zapaliłaby lampę i jej płomień wydobył konturowy rysunek nad moim spaniem, dopiero teraz, w bocznym oświetleniu zobaczyłem, że było to coś w rodzaju miasta, z wysokimi domami, ogromnymi, na którego ulicach tkwiły, wśród maleńkich ludzkich sylwetek, kolorowe kwadraty, pudełka, niektóre, nie wszystkie, z okienkami, zgaś to, syknął Celes, Marta dmuchnęła i znów zapadła ciemność, na chwilę gęstsza, tylko cicho, dobiegł nas szept, schodziliśmy ostrożnie w dół, przemknęliśmy przez ogromny pokój, zaraz tu będą, mruknąłby złowieszczo Celes, wyszliśmy przed dom, stanęliśmy, wymacałem bruk pod nogami, były gwiazdy nad nami i pełny księżyc, Celes nasłuchiwał.

- Dziadek poszedł po innych. Domyślił się - szepnął. - Idźcie do końca, tą uliczką, wyjdziecie w pole, za nim jest las. Czekaćcie w lesie i ja przyjdę.

Już szliśmy, nie pytając.

- Czekaćcie na mnie - dobiegło jeszcze. - Muszę Iść z wami. Czego się domyślił? Dziadek - dodał szybko.

Przebiegliśmy uliczkę i pola, natknęliśmy się na pierwsze drzewa, padliśmy w suche igliwie. Wiedziałem, że Marta leży obok mnie, ale nie słyszałem jej.

- Gdzie jesteś? - spytałbym.

- Tu - odpowiedziała, głośno i gniewnie.

Nad nami załopotał zbudzony ptak, przez linię drzew spojrzałem na wschód, zbliżał się

świt. Długo jednak przebywaliśmy w domu Celesa. Byłem rześki.

- Co się stało? Czy wiesz?

Chyba poruszyła się w pobliżu, usłyszałem szelest gałęzi, ale to mógł też być przypadkowy powiew. Jej głos brzmiał rzeczowo.

- Dziadek Celesa domyślił się, że nie jestem od was, z zachodu.

- I dlatego?... - chciałem spytać, czy dlatego Celes nas zbudził, ale nie pozwoliła mi dokończyć.

- Zdradził mnie kostium, nigdy nie wierzyłam w te kostiumy. I to słowo: eskadra. Nie uwierzył ci.

- Ale dlaczego uciekaliśmy?

- Celes się zorientował - szepnęłyby. - Przyszedł i obudził mnie. Kazał uciekać, ale nie chciałam iść bez ciebie. Mogłeś zostać, jeszcze teraz możesz wrócić.

- Dlaczego?

- Interesuję ich ja, nie ty. On przeczuwa ekspansję. Nie chciałam iść bez ciebie. Nie mogę cię opuścić.

Szept dobiegał z pustki, wyciągnąłem rękę, ale nie dotknąłbym Marty, leżała lub siedziała za daleko, posunąłem się, szukałem, ciągle jej nie było, dłoń zawisła.

- Nie szukaj mnie - powiedziała sucho.

Teraz szeptałaby obok, o krok ode mnie, dążyłem do jej ręki, znalazłem wreszcie, cofnęła dłoń bardzo prędko.

- To wszystko - powiedziała, jakby zaskoczona.

- Dlaczego nas ostrzegł? - spytałem, pogodziłem się z tym, że wiedziała więcej ode mnie.

Zaśmiała się, cichy, ale pełny śmiech natarł na mnie tak nagle, że znów przez chwilę jakby ją widział w blasku, w półprofilu, z całych sił opanowywałem tętniący od ręki ku udom dygot.

- To mnie ostrzegł - mruknęła. - Nie nas.

Znów się zaśmiała, głośniejsz i drażniący.

- Nie - krzyknąłem. - Nie, to nie było to.

- Skąd wiesz? - szepnęłyby drwiąco. - Skąd wiesz, co to było?

Przesunęła się, przez sekundę widziałem ją na tle nieba między drzewami, powolną, zdecydowaną sylwetkę.

- Co ty możesz wiedzieć o mnie?... I o nim? - dodała po chwili.

Teraz była bliżej, jej oczy zaciemniały przy moich.

- Tak cię to niepokoi?

- Mylisz się, nie chodzi o to, co on czuł - ledwie wypowiedziałbym to słowo - do ciebie. Nic nie czuł - tchnąłem w jej oczy, zniknęły, ale tylko na chwilę. - On nie powinien nas ostrzegać.

Przez moment czekałem, ale nie odezwała się, zastygła tak stanowczo, jakby już nigdy nie miała zaprzestać oczekiwania na to, co powiem, oczekiwania znużonego i pozbawionego ciekawości.

- Nie powinien - powiedziała niepewnie. - Chyba że... Nie zrozumiesz.

Ucieczka ręki i ciała Celesa z zasięgu starca, to było wtedy, przy kolacji, w tej samej

chwili uśmiechał się do nas, do mnie, do niej, nie zastanawiałbym się wówczas, zadowolony, że wymykamy się z pułapek starego mężczyzny. Nie chciał, by tamten zwyciężył. Może nie chciał, by tamten się dowiedział. Ale wobec tego sam musiał przypuszczać już, że można się dowiedzieć czegoś ponad to, co mówiono w szkole. Ze może być inaczej.

- No tak - powiedziałem cicho. - On przecież już drugi raz biegał z latawcami.

- To co? - spytałaby natychmiast.

- Mógł już być po drugiej stronie. Może już jest po drugiej stronie.

- Dlaczego? - zniecierpliwiała się Marta.

- Nie wiem. Bo jeśli wiedza to tylko dogmat dawany młodym, a potem już nie obowiązujący, to po co? To przecież - chwyciłem jej ramiona i przyciągnąłem do siebie - tak, jakby oni buntowali się, sprzeciwiali temu, co jest, ale kazali nam w to samo wierzyć. Oni może nie wierzą w nic.

Mówiłem, szeptałem, bo chciałem jej wszystko wytłumaczyć, ale szepcząc tak, wyjaśniając, musiałem chyba milczeć chwilami nie uświadamiając sobie tego, więc docierały do niej strzępy, ułamki mojej sprawy, z której nie pojęłaby nic, a nie reagowałbym już na jej pytania, nie słyszałem ich, choć wiedziałem, że padały. Wyruszamy na wędrowkę, mówiłem, szeptałbym czy myślałem, a oni, tacy jak Celes, latają, a to wszystko po to, by poznać, co jest już poznane, ale poznać na nowo, bo każde poznanie jest inne. Więc to, co jest poznane przez innych i przekazane nam, stanowi zaledwie zewnętrzny opis, który odczuć można szukając czy latając, jeśli u nich latanie ma to samo znaczenie, szukając lub latając samodzielnie. I dopiero gdy ktoś przez to przejdzie, nie tylko ma wiedzę, ale i ją czuje, i świat się przed nim odkrywa do końca. Ale przecież podsłuchiwali nas na moście, a starzec pytał tak, że Celes nie mógł tego znieść, a mój ojciec poddawał w wątpliwość sens poszukiwań, nie myliłem się, poddawał je krytyce na pewno (przestrzeń, szepnęłaby Marta), a więc dopiero po tym, po wędrowce czy lataniu, dopuszcza się ludzi do wiedzy. Nie, i to nieprawda, bo oni nie mogliby tak długo udawać, że to, co mówią nam, jest prawdą, gdyby wiedzieli, że prawdą nie jest (przestań, proszę, przestań), o cóż więc chodzi? Mają prawdę, ale w nią wątpią, każą szukać, ale nie znajdować, latać, ale nie wrywać się z określonej przestrzeni, bo podobno latawce nie przejdą lasów. Lecz muszą wiedzieć, wiedzą, skoro wypuszczają dzieci na zabawy w bitwę, że wędrować można nie latając, i my wiemy, że wędrować można znajdując, bo przecież niektórzy znajdują, i wiemy, że można to robić stale, ale poszukiwania, bezowocne, odbywają się raz w życiu, a potem jest to tylko markowanie, udawanie, oszukiwanie, po co?, po co mówić, że się szuka czy lata, jeśli się nie szuka i nie lata?

Musiałem to zdanie zawołać, bo Marta odpowiedziała natychmiast, znieruchomiała, przestałaby mnie szarpać i powtarzać zdyszane: przestań, przestań, odpowiedziała, prawdopodobnie pierwszą myślą, jaka się jej nasunęła, ale uderzyła mnie nią, umilkłem na długo:

- Bo wy może chcecie, żeby to trwało - powiedziałyby.

4.

- Bo wy chcecie może, żeby trwało, skończyła opowieść tak nagle, jak ją zaczęła. Leżałem na igliwiu, zamknąwszy oczy, i nie wiem, co działo się wokół mnie i czy przez ten czas działo się cokolwiek, a potem wykrztusiłem:

- Co trwało?

- To, co jest - zawołała cicho, jakby tylko czekała na pytanie. - Tak mi się zdaje, nie wiem. My chcemy, żeby się zmieniło. My chcemy - urwała nagle i zaczerpnąwszy tchu, zakończyła: - ekspansji. My naprawdę latamy!

Dopiero po sekundzie dotarło to do mnie: my latamy!, zwycięskie i przekonywające, chciałem pytać, szykowałem się do pytań, ale wtedy, właśnie, jakby prawdziwość ich latania przypomniała mi nieprawidłowość moich poszukiwań, poraziła mnie myśl: a co, jeśli my mieliśmy spostrzec fałszywego komandora, jeśli on przepełzał pod nami, czyniąc lekki szelest i wiedząc, że widzimy go, że musimy widzieć?, co - jeśli mieliśmy wyruszyć ze świadomością, iż jesteśmy podsłuchiwani, a ceremonia komandora, wyjście, poszukiwania są fałszem, co wtedy? Z czym mamy więc wrócić? Co mamy znaleźć? Dlaczego mamy szukać? Czego się po nas spodziewają? Dopiero wtedy zadałem sobie te pytania tak jawnie i wyraźnie, ja sam, nie ów Jan przewidywany czy stwarzany przez Martę w jej opowieści.

I choć dzisiaj, kiedy wspominam lub opowiadam, te pytania brzmią w zdaniach początkowych, w skostniałych niemal sformułowaniach o wyjściu i ceremonii, to jednak wtedy pojawiły się pierwszy raz.

Ale chyba nie powiedziałem ich głośno, chyba milczałem, bo Marta trąciła mnie, otworzyłem oczy i zobaczyłem jeszcze raz jej spojrzenie tuż obok mojego, księżyc rozszarzył jej głowę, widziałem wyraźnie, śledziła mnie, a potem nakłoniła się, dotknęła mojego policzka, jej wargi badawcze i znienacka gorące spadły na moje, poddałem się, przechylając niezręcznie głowę, i obróciwszy ciało, ułożyłem je na wznak. Marta wsunęła się na mnie i nogami, biodrami wcisnęła w ziemię, przez moje i jej ubranie wchłaniałem jej skórę, jakby wlewała się we mnie, jednoczyła po tym, co opowiedziała czy wymyśliła, i tak trwaliśmy, chwilę; *nie*, szepnęła, patrząc na mnie z góry, *nie teraz*, i ześliznęła się na ziemię, czekałem na nią, przywarła w takiej pozycji, jaką przybrała leżąc na mnie, do ściółki. Zapomniałem już, przez te sekundy, gdy leżała na mnie, dzięki jej nieomylnemu odruchowi, o krzyku, jaki chciałem wydać, o wrzasku z powodu podwójnego fałszu sprzed połowy doby, tam na moście, fałszu, w który zagłębiałem się potem minuta po mi nucie, w kielichowatej dolinie, w pierwszych zdaniach wymienionych z Martą, w gonitwie po polu za latawcami, w jej opowieści o rozmowie ze starcem, o ucieczce wreszcie, zapomniałem o fałszu, bo odszedł, gdy Marta bezwstydnie wpełzła na mnie i przycisnęła swe biodra do moich. Wiedziała, co robi.

- Skąd jesteś? - spytałem.

- Spij.

- Nie chcę. Powiedz, skąd?

- Ja chcę spać - szepnęła miękko. Może mnie dotknęła.

- Obiecałaś.

- Jeszcze nie jest jutro.

Wstałem i oddaliłem się o kilka kroków, na sam skraj pasma drzew. Nie zamierzałem jej straszyć, choć jej niepokój sprawiłby mi przyjemność. I zawołała mnie, prawie przerażona.

- Myślałam, że odszedłeś - powiedziała, gdy wróciłem.

- Tak ci na mnie zależy?

Nie odpowiedziała. Leżała cicho, oddychając regularnie, i raz tylko, gdy znów wróciłem do jej opowieści, do sprawy Celesa, do jego motywów, wymyślonych przez nią, szepnęła, że ja przecież lepiej od niej powinienem to wiedzieć. Utknąłem znów na jej uwadze, choć zaraz dodała, powinieneś to wiedzieć, bo mieszkacie obok siebie: a więc nadal rozumiała niewiele. Zastanowiłem się, może i Celes, jeśli istniał naprawdę, podejrzewałby już fałsze w prawdach, ale broniłby się przed podejrzeniami, drugi raz latał, a więc przeszedł próg, lecz broniłby się - dlaczego? A ty się nie bronisz? - szepnąłem do siebie. Marta leżała bezwładnie, tak mi się zdawało, w ciemności, i prawie jej nie widząc, domyśliłem się snu, który ją oddalił, leżałem więc obok, oddychając miarowo, coś poruszyło się, zbliżało, pod-pełzało, nie zniosłem tego...

... (chłopiec) nie zniósł tego, zerwałem się, tupiąc bosymi nogami wybiegłem z miękkiego lasu poza skraj, na kolejną łąkę, łąkę?, na przestrzeń pod gołe niebo, znów ciepła, gorąca ciemność otuliła mnie, spojrzał w górę i zobaczył gwiazdy wokół księżyca, jaskrawe i nieruchawe, jak zawsze. Potykając się na gołej ziemi, pobiegł - tyle biegu od rana - pobiegłem, tam było światło, przylgnął do przeraźliwie biało oświetlonych okien, grupa dziewcząt i kobiet spoczywała w kłębach dymu, pary, może to była łaźnia, ale skąd w łaźni, po co?, okna?, pamiętał, co powiedziała Marta, i wiedziałem, co będzie zaraz, kobiety, nagie, poruszały się spokojnymi ciałami, krople wody i potu snuły się po ich skórach, któraś go zobaczy, któraś go zobaczy, któraś mnie zobaczyła, gdy przycupnąłem przy oknie, z twarzą przylepioną do szyby, i pokazała innym. Z tłumu wyłoniła się Marta i naga podbiegła do drzwi, przycisnąłem płaskie dłonie do ciepłej szyby - i tego nie było w jej opowieści - widziałem Martę w półprofilu, skoncentrowany teraz na gładkim wychyleniu biodra i spłaszczeniu brzucha, spadającego w słabo widoczny w perspektywnym skrócie ciemny trójkąt łonowy. Pojawiła się obok mnie, *chodź*, powiedziała, poszedłem za nią w ciemność, znów zdumiony i niechętny, niechętny jej kłamstwom, którym to już?, i starając się nie dostrzegać łyskających śmiało w ciemności, tuż obok, przy jego ramieniu, pełnych, prawie nie dziewczęcych piersi, *nie kłamalam*, powiedziała, jakby odgadła moje myśli, *chodź*, stanęliśmy po chwili, światło z okien dobiegało i tu i kładło się niespokojnie na jej nagim ciele, nie, to ona, stojąc, poruszała się w niepojętym rytmie, starałem się nie patrzeć, ale widziałem drżący płas ciemniejszych sutków, twardych teraz i bezwstydnym, widziałem i nie oglądałem, choć nie mógł zapomnieć, że Marta, Joanna, jest kobietą.

- Skąd jesteś? - szepnął.

- Z Velvy - powiedziała również szeptem. - Powiem ci wszystko. Nie wolno dopuścić do pogrzebu.

- Z Velvy?

- Z lotniska. Muszę uciekać. Nie wolno dopuścić, pamiętaj. Bo prezydent to zrobi.

- Skąd? Skąd jesteś? Co zrobi?

Zabrzmiął głos, ktoś, kobieta?, zawołał Martę, poczekaj, powiedziałem. Nie mogę, szepnęła, później, może zobaczymy się później, i pomknęła w ciemność, puścił się za nią ukradkiem, zbiegła na brzeg i zatrzymała się, ciemna sylwetka łodzi nieruchomo spoczywała obok spływających na wodę zarośli.

- Pamiętaj - szepnęła znów. - Pamiętaj. Nie dopuść. Jeśli pozwolisz na pogrzeb, wrócisz z widmami. Do siebie. Oni to zrobią.

Spieszyła się, nie patrzyła na chłopca, spoglądała w głąb łodzi, obszernej, płaskodennej, siedziało w niej kilka cieni.

- Nieważne - rzuciła szybko - kto dojdzie, żywi czy pogrzebani. Ale dojdą. Pamiętaj.

Z łodzi znów zabrzmiał głos, spóźnisz się, wszyscy czekają, nie ma czasu. Powiedziała: przepraszam, skoczyła do łodzi, która natychmiast odbiła od brzegu i popłynęła o wiosłach, jeszcze raz kilka sylwetek, ciągle nagich, odziewały się, i słowa Marty:

- Pamiętaj.

Pochylił się nad wodą i szepnął wyraźnie:

- Dlaczego?

- Chcesz zmian? - przyniosła woda.

- Nie wiem - wyznał.

- Ekspansji?

Wyprostowałem się i krzyknąłem w ciemność:

- Nie.

I wtedy przypomniał sobie: Marta ostrożnie o kulach spelzała w dół po schodach, wiedziałem, co będzie, ześlizgiwała się, a obok on, chłopiec, z samozaparciem i poświęceniem podtrzymywał ją, tak, mówił, tak, już lepiej, jeszcze kilka stopni, jeszcze kilka tygodni i będziesz chodzić. Na dole czekali, zwrócenie ku nim twarzami, ojciec Marty, Joanny, jej matka i wuj chłopca. Siedli do stołu i rozłożyli serwetki, chłopiec przy sąsiednim, niższym stole.

Po obiedzie prowadził, niósł Joannę w górę, objęła go rękami za szyję i szeptała mi w ucho, spoglądając na zebranych jeszcze w jadalni, szeptała: zawsze jestem Martą, pamiętaj, zawsze jestem Martą, pamiętaj...

Pamiętałem mieszkanie wuja, u którego miałem pokój, przebywałem tam długo, bo Marta poruszała się coraz lepiej i mówiono, że Joanna niedługo zacznie chodzić i wreszcie można będzie oficjalnie ją zaadoptować, wtedy wuj, ów wysoki technik, mroczył, gdyż w tej samej chwili miał znów wrócić do dawnych zajęć; ale na razie ciągle jeszcze uczył mnie, nie twoja wina, mówił, że rodzice zginęli w awarii, najlepsi byli, najlepsi.

Za dużo awarii - mówił. Chłopiec przytakiwał.

Wieczorem siedzieliśmy przy kolacji, wuj i chłopiec, zapukano, weszła Marta, ubieraj się, powiedziała prawie spokojnie, musimy iść...

... (ja) wstałem i panowałem nad ciałem. Marta, gdzieś niedaleko, ale nie widziałem jej, znów manipulowała przy swej sukience-kombinezonie, zgodnie z nakazami, których nie rozumiem, choć był w nich chyba jakiś nieuchwytny i prawdopodobnie poddający się logice sens. Jeszcze raz wschodziło słońce i jeszcze raz niewidoczna z lasu tarcza pustoszyła

przezeń przed nami nie tyle blaskiem, co zapowiedzią spiekoty. Bo przed nami była przestrzeń, jeśli to właściwe słowo na określenie płaskiego pustkowia o bujnych, suchych trawach, przestrzeń odpychająca od siebie, gdzieś w od' dali zwały kotłującego się powietrza, jego wysokie strumienie przyciągały wzrok przez cały dzień, póki szliśmy, bo szliśmy przez cały dzień, nie odważając się na postoje. Mówię: nie odważając się - bo ani Marta, ani ja przez te godziny, w których słońce wznosiło się wyprzedzając nas i potem opadało podstępnie niemal za naszymi plecami, by ukazać w ukośnym świetle tłuste dymy, w jakie mieliśmy wejść, nie wspomnieliśmy o postojach, jakby postój był nie tylko niepotrzebny, ale stanowił niebezpieczeństwo. Zresztą Marta oglądała się ciągle, wydawało się, że przemierzony dystans krył pułapki jeszcze zdolne nas dosięgnąć.

Szliśmy przez cały dzień. Marta prowadziła, choć nie wysuwała się ani na milimetr do przodu - od czasu do czasu, kiedy nieuchwytne fałdy terenu zdawały się zapraszać w inną stronę, spoglądałem na nią, kiwała głową i nie zmieniając kierunku stąpała po suchych łądkach, wtedy znów sprawdzałem położenie słońca: szliśmy aż do południa po wielkim łuku, pilnując, by słońce raz było oczy, może omijaliśmy znaną Marcie przeszkodę, potem dopiero pozwoliliśmy mu zejść nas od prawej i spływać za plecy.

Koło południa drogę zastąpił szary, opalizujący słabo pył, każdy krok podnosił go z ziemi i pył wisiał niską, długą, nie rozpraszającą się w cichym powietrzu smugą. Marta przystanąła na chwilę, a potem weszła weń zdecydowanie, wyprzedzając mnie wreszcie, poczekalem, aż zanurzy się w obłok po pas, i dopiero wtedy zawołałem ją. Przystanąła, jakby idąc nadal - zwrócona ku mnie, wydawała się oddalać, w płynącym powoli paśmie, szarobiałym, nie widziałem jej nóg. Strumyczek potu, jedyny, przecinał jej czoło, omijając oko niósł się wzdłuż prostego nosa i ciekł do brody. Nie zauważała go, a może przestała z nim walczyć, przystanąła czy też zwolniła kroku, spoglądając w moją stronę, ręce zwiesiła i pył ucinał jej dłonie przy nadgarstkach.

- Co to jest? - spytałem.

- Pogorzelska - powiedziała, jej głos dobiegał z daleka, jakby pył dzielił nas przegrodą, w której liczą się nie tylko metry.

- Poczekaj - powiedziałem, bo zaczęła znów iść, tym razem iść naprawdę, to nie było tylko złudzenie, szczelne ubranie Marty rozpychało kurz, wznosząc go coraz wyżej, zdawało się, że wchodzi w suchą ciecz, która chętnie przylega do człowieka.

- Jakie pogorzelska? Dokąd idziemy?

Nie odpowiedziała, wahałem się, ale dogoniłem ją. Kilkoma krokami, których nie widziałem, pokonałem to, co nas oddzielało, i sam już nurzałem się w pyle, dotknąłem jej, nie widząc tego gestu, ukrytego w szarości, powiedz dokąd, powtórzyłem, musimy się spieszyć, odpowiedziała, on może iść za nami.

- Kto?

- Celes - wzruszyła ramionami. Profil Marty, widziany z góry na tle srebrnego obłoku, zaostrzył się i ściemniał, skinęła głową, co wyglądało jak ruch cienia, niespójny z gestem człowieka: - Mówiłam ci, co mogło być.

- Opowiadałaś - potwierdziłem. - Ale tak nie było. Przyznałaś, że tak mogło być, tylko mogło. Przecież nie wierzysz, że...

- Przewidywałam - powiedziała. Nawet nie zauważyłem, że znów idę obok niej, przyjąwszy narzucone szybkie tempo, że obłok, pył jest już wokół nas i nie można dostrzec miejsca, w którym się zaczął. - To się zawsze musi spełniać.

- Ale tak nie było! - zawołałem.

- Mogło być. Instrukcja przewidywań mówi, że ich konsekwencje zwykle występują w rzeczywistości, a to znaczy, że on idzie za nami. Albo czeka - dodała po chwili, zastanawiając się. - Czeka, a jeśli czeka, to my przyjdziemy do niego.

- Oddaliśmy się.

- Nie wiem. Może on idzie za nami. A może czeka, a wtedy my przyjdziemy do niego, bo coś się stanie.

Milczałem.

- To, co przewidziałam, można włożyć w życie albo nie. Ale czy włożymy, czy nie, ciąg dalszy będzie taki sam. Idzie za nami albo czeka. Nie wiem tylko, czy go spotkamy. Jeszcze za wcześnie.

- To znaczy, że wszystko jedno, co zrobimy? - zadrwiłem.

- Nie. Gdybyśmy nie wyszli ku nim z lasu wtedy, kiedy - zawahała się - latali, nie byłoby Celesa. Nie byłoby go dla nas.

- On się nazywał Długi.

- Celes. To powiedział, zresztą nie musiał mówić.

- Co to jest instrukcja przewidywań? - spytałem.

- Instrukcja postępowania nie przewiduje takich pytań - zaśmiała się.

Jeszcze wtedy mogłem zawrócić, przebyć tę drogę w przeciwną stronę i minawszy wąski las wrócić na wschodnią trasę, ale ona, Marta, musiała wiedzieć, przewidywać, przecież przewidywaniami już mnie objęła, że będę szedł za nią czy też z nią, a i ja wiedziałem, że jeśli on, chłopiec, ją spotkał, to pewnie i ja kiedyś z Martą będę, więc nie zawracałem, bo skoro miałem ją spotykać, to nie na wschodnim, sprecyzowanym przez pokolenia przede mną, kierunku. To było równanie zwalniające mnie od medytacji nad tym, co robię, a nawet nad tym, dlaczego - pozornie przewodząc - postępuję potulnie za Martą, jedynie rzadkimi pytaniami maskując swe poddaństwo. Ojciec wspominał coś o marzeniach, a może to ja wspominałem, w każdym razie marzenia, wędrówka i plany pomieszały się w dawnej rozmowie w sposób niedopuszczalny, a teraz w spójni, której nie mogłem nawet przeczuć, realizowały się, dodawszy do siebie przewidywania Marty i przeżycia chłopca, a więc nie musiałem niczego uzasadnić i nie uzasadniam do dzisiaj. Pytania, dlaczego postępowalem tak, jak postępowalem, są dzisiaj pytaniami na miejscu, ale bezsensownymi, bo nie mogą się odnosić do przeszłości, w której nie tylko nie można ich było zadać, ale nawet pomyśleć.

Gdy niedawno w szkole położonej w okolicy odbudowanego ratusza, w tej nowej szkole, ciasnej ze względu na sąsiedztwo domów i ludzi, opowiadałem młodzieży o pewnych detalach przejścia i powrotu, detalach, które służą jako egzemplifikacja teorii rozwoju, pytano mnie, czym się kierowałem. Wspominałem o podsłuchiwanii, bo wspominam o nim zawsze, zgodnie z nowym obyczajem, gdyż szczerłość, jak się powiada, jest dziś podstawą naszego postępowego bytu, ale przecież nie wiem już, jak to było. Wszak według przewidywań Marty, opowiedzianych mi kiedyś, w Velvie, jeszcze przed pogrzebem i wyjściem, to nie ja

zdradziłem kierunek, a Tomasz, ten mój kolega, który równocześnie ze mną wychodził, to nie ja odrzuciłem plan poszukiwań i ich cel, a on, skłamał mi, bo po kilku krokach za ledwie, gdy tylko stracił mnie z oczu, zatrzymał się i zwrócił na północ, ku rzece, i usiłował ją przebyć, by zapuścić się w nieprzebytą okolicę, to on został zatrzymany, gdy ja, złamany podслуchiwaniem, powlokłem się zgodnie z nakazami na wschód i miałem dostąpić tego, czego dostąpiłem.

Potem --w moim mieście - stwierdziłem, że Tomasz rzeczywiście został zatrzymany, choć mógł także iść dalej, zwiódł mnie zatem, a ja nie zwodziłem nikogo, bo miałem wyruszyć na wschód i wyruszyłem, a dalszego planu wędrówki, na wschód, południe czy północ nikt mi nigdy nie sugerował. Mam więc wierzyć, iż pozostawiono to losowi, także to, co przyniosłem do miasta? I nikt nie przewidywał? I nikt nie wiedział, co sprowadzę z drugiej, przewidywanej rzeczywistości?

I w Velvie też nikt nie przewidywał? A może wiedzano i przewidywano, lecz wyzwało los? A przecież w los nie wierzyliśmy. Mówią dziś: Tomasz zdradził szansę. Szansę zmian i uzupełnienia. Tak, lecz co spotkałby w niepotrzebnym terenie, w który zamierzamy za rok, dwa zapuścić się dysponując nagle, od paru lat, nadmiarem siły i żywotności? Może wróciłby z podobną do mojej zdradą? Dość o Tomaszu. To inna historia, to nie moja historia.

Nie kierowałem się niczym, zdradziłem, zdałem się na przypadek. Na Martę, na marzenie, bo Marta była taką, jaką on, chłopiec, ją widział, i potem próbowałem odwrócić to, co nadchodzi, próbowałem odwrócić, ale nie liczą się - i to do dziś pozostało u nas z mej młodości - zamiary, a skutki. Ja zamierałem zdradzić, lecz poszedłem na wschód i nikt mnie nie zatrzymał, w ukryciu liczone na mą zdradę i prowokowano ją, a Tomasz zdradził od razu ze szczerością dobrze wychowanego młodzieńca i nie pozwolono mu iść. I fałszywy komandor ukrywając się miał nadzieję, że go dostrzeżemy, na pewno. To wiem dziś, ale nie wiedziałem tego wtedy, choć przeczuwałem już prawie i Marta mi wiele powiedziała. Czym się kierowałem? Niczym. Widzeniami chłopca i przewidywaniem Marty, złożyłem je razem, bo nie znalazłem powodu, by ich nie składać. I nie musiałem już postanawiać, bo wszystko postanowiono beze mnie. Zresztą oni prowokując mnie, też nie wiedzieli, czego oczekują.

Musiałem iść za Martą przez pył, a szliśmy przezeń długo, ku pogorzeliom.

Marta krocząc obok mnie, nieustannie przewidywała i opowiedziała mi o tym później. Gdy brnęliśmy przez szary obłok trawiastego popiołu, widziała nas jednocześnie, jak uciekamy z miasta Celesa, zostawiając za sobą jego ulice ciągle przemierzane przez ludzi szukających nas, jak oddalamy się razem z Celeşem, który powiedział, że poza miastem szukać nie będą, bo poza miastem nie interesujemy Latawców (nigdy nikt im nie odkrył, że jeśli są zbiegowie, można ich szukać także poza murami miasta, powiedziała pogardliwie Marta). Marta przewidywała, stosując nie znaną mi instrukcję, co robilibyśmy, idąc z Celeşem w innym nieco kierunku (a okazało się, że nie goni nas jednak, lecz może czeka, ale to okazało się znacznie później), przewidywała, jak podszedłby do nas rankiem, na skraj lasu, i opowiedziała mi, co robiłby on, co robiłaby ona i co robiłbym ja. Były to przewidywania, które, raz jeszcze powtórzę, mogły się sprawdzać lub nie, wpływając na późniejsze skutki istniejących (lub nie) wydarzeń, bo wszystko sprowadza się, powiedziała, do pewnej konieczności, której granice wyznacza tylko dalekosiężność czasowa przewidywań.

A więc (przewidywała Marta) spytałbym: po ucieczce z miasta Latawców, na skraju lasu, leżąc:

- Skąd jesteś?
- Spij.
- Nie chcę. Powiedz, skąd?
- Ja chcę spać - szepnęłyby miękko.
- Obiecałaś.
- Jeszcze nie jest jutro.

Wstałbym i odszedłem kilka kroków. Udawałem tylko, tak było mi radośnie (jednak!, mimo pragnienia wydania wrzasku przed chwilą), zawołała mnie przestraszona.

- Myślałam, że odszedłeś - powiedziałyby, gdy wróciłem.
- Tak ci na mnie zależy?

Leżała cicho, gdy mówiłem jeszcze raz o sprawie Celesa, o jego motywach, szepnęła, że ja przecież wiem, i wiedziałem wszak, szepnęła, że powinienem to wiedzieć, utknąłem znów na jej uwadze, dodała, powinieneś to wiedzieć, bo mieszkacie obok siebie, a więc nadal rozumiała niewiele.

Było cicho, ale w mieście błyskały długie światła. Ku nam. Celes mógł wskazać kryjówkę, bo może on podejrzewając już (ale bronił się przed przyjęciem podejrzeń, drugi raz latał, a więc przeszedł próg, lecz bronił się, dlaczego?), podejrzewając względność prawd, postanowił się im podporządkować, prawdom Latawców, i zdecydował się - ulec. Ale bronił się. Ale mógł wskazać. A ty się nie bronisz?, szepnąłem. Marta leżała zamknięszy oczy. Nie martwiłem się teraz o nic. Jak chłopiec, byłem lekki. I nie musieliśmy już przechodzić przez miasto. Wybiegliśmy na południowy zachód i stąd łatwo znajdę swój kierunek, myślałbym, trzeba zawrócić, ominąć zabudowania i posuwając się lasem dotrzeć do łąki, z której startowały, pod niebem pełnym latających stworów, latawce. I prosto na wschód. A więc gotów byłbym jednak do powrotu na wyznaczony kierunek, może gotów nawet do poszukiwań.

Patrzyłem na miasto czujnie, by gdy tylko ktoś stamtąd skieruje się w naszą stronę, poderwać Martę i uciekać. Ale może nie szukano nas za murami? I dlaczego mieliśmy uciekać? Co oni mogli z nami, nam zrobić, złapawszy? Nie wiedziałem nic.

Na wschodzie ukazały się rąbek słońca i jednocześnie postyszałem szelest, spięty do obrony nasłuchiwałem, szelest wzrastał się, minął linię drzew i z ziemi powstał Celes, gwizdnął cicho, uniosłem się i wyciągnąłem rękę, nie od razu dostrzegł, a potem zobaczywszy, skoczył ku nam.

- Szukają was ciągle - powiedział. Nie przywitał się. Jakby wychudł przez tę godzinę, może dwie, jakieś- my tu spędzili, jakby wysechł, patrzyłem uważnie w jego twarz szukając odpowiedzi, ale zadając też jedynie naturalne, powiedziałbym codzienne, gdyby sytuacja była codzienna, pytania:

- Tu nie przyjdą?
- Nie, tu ich nie obchodziecie.
- A ty?
- Muszę iść. Jeśli pozwolicie, z wami. Ostrzegłem was i nie mogę wrócić.
- Ją - powiedziałem.

Zgodził się:

- Ją.
- Musisz wrócić. To twoje miasto.

Pokręcił głową, zwracał się nie do mnie i nie do Marty, która leżała na wznak, teraz na wznak, zamknąwszy oczy i chyba nie słuchając nas. Łudziłem się przez chwilę, że Marta jeszcze jest ze mną.

Wstałem.

- Chodź - powiedziałem. - Wrócę z tobą.
- Im nie chodzi o ciebie.
- Ona też.

Marta nie poruszyła się, ale słaby wstrząs, drgnięcie powiek, zmarszczenie ust, zaświadczyły, że już słucha. Nie protestowała w każdym razie.

- Nie, nie chcę.

Jego głos był prawie obojętny, pozbawiony wdzięczności za odruch czy też wzruszenie, jakby wychodząc z miasta zatrzasnął za sobą wszelkie wejścia i jakby moje gesty, bo to chyba były tylko gesty, nie mogły go już dotyczyć.

- Co oni z nami robią, jeśli złapią? - spytałem.

Jak widać, nie upierałbym się nawet.

- Nie wiem. Nigdy tak nie było. Coś złego. Tobie nic. Ty możesz tam iść. Przyjmą cię. I wypuszczą.

I teraz naprawdę poprosiłem:

- Wrócimy.
- Ty możesz wrócić - powiedział, patrząc na Martę, która ciągle leżała pod nami w sztucznym, nieruchomym napięciu. - Możesz wrócić - powtórzył, skłaniając lekko głowę i patrząc na nią ciepłym wzrokiem, z namysłem czy z nadzieją, i przez chwilę przypuszczałem, że po to poddał projekt powrotu, by zostać tylko z Martą. - Ona nie może - szepnęła, bardziej do Marty niż do mnie, jakby chciał jeszcze przez chwilę przytrzymać ją w tej pozycji: tylko pozornie obojętnej, ale świadomie obojętnej, zdradzającej, że rozmowa toczy się ponad nią i Marta nie robi nic, by na nią wpłynąć. - Nie wolno jej pokazać się w mieście.

Ale może nie chciał, bym wrócił. Ukazał mi, po prostu patrząc na Martę, konsekwencje mego powrotu, ich pozostania we dwoje, i znów skierowałby oczy na mnie, pytająco i zwycięsko, pragnął jednak, bym pozostał z Martą i z nim, i bym przewodził w wędrówce czy ucieczce, bo zaraz stanąwszy tuż obok, półgłosem zbyt pewnym siebie, spytał, w którą stronę idziemy, spytał cicho, ale tak, by Marta słyszała.

- Obejdziemy miasto i na wschód - powiedziałem.
- Na południe - odezwała się Marta, leżąc jeszcze na ziemi z zamkniętymi oczyma, w tej samej wciąż pozycji, na plecach, i teraz jakby wyczekująco.

Nie wahalem się.

- Na południe - powiedziałem, bo nie musiałem iść sam i kierunek nie był już tak ważny.

Celes przesunął na biodro brezentową torbę, którą - uciekając - przewiesił przez ramię, otworzył ją i wyjął zawiniątka z jedzeniem. Posilaliśmy się krótko, Chlebem i mięsem pieczonym na aromatycznych ziołach, a tymczasem słońce podniosło się i ostro świeciło

wzdłuż lasu, który, ciągle ciemny, chronił nas przed oczyma miasta. Potem gęsiego, a prowadziła Marta, skoro podała kierunek, weszliśmy w głąb drzew, prosto na południe.

Z trudnością ustalała drogę i kilkakrotnie musiałem jej pomóc. Stwierdziłem, że źle się orientuje w przysłoniętej drzewami przestrzeni, przystawaliśmy więc, usiłowałem wydobyć z Marty informacje o celu, do jakiego zdążamy, ale nie potrafiła czy nie chciała odpowiadać, ustalałem dalszy odcinek na chybił trafił, w stronę południa, i znów brodziliśmy między drzewami coraz mniej swojskimi w nadmiernym, zbyt długotrwałym nagromadzeniu - las nie przypominał tamtego, z wczorajszego dnia, który przecięliśmy suchą stopą na ściółce ukrywającej nieznaczne zawilgocenie, tam gdzieś był nawet piasek, jak na plaży nad rzeką, choć bardziej szary, zmieszany z igliwiami i płytko leżącymi łąkami, i chłodniejszy. Tu szliśmy w gęstym poszyciu, które ustępowało jedynie sprężynującym mchom o wstrętnej, śliskiej zieleni, drzewa, przede wszystkim stare dęby, których kolumny omijałem starannie, z prawie zabobonnym lękiem, i inne: ponure mimo wiosny i nie kwitnące kasztanowce, klony, potężne, lecz wyraźnie chore, jesiony, których nie lubiłem za ich nazwę, drzewa nie stałyby gęsto, lecz ich ogrom wypierał powietrze z płuc, wdzierał się z drewnianą mocą w każdy nasz oddech i iść było coraz trudniej.

Celes, gdy pytałem go od czasu do czasu o radę, wzruszał ramionami, nie odróżniał kierunków, a nasze narady nad dalszą drogą przyjmował, słuchając ich wtłoczywszy podejrzliwą głowę między nasze twarze, z pełnym niewiary wściekłym zdumieniem. Na nielicznych polankach, które nie dawały odpoczynku pełzając gąszczem wyrudziały paproci wokół naszych ud, Marta bez wahania korygowała kierunek, wskazując południe, z niewielkim odchyleniem na zachód, orientowała się według położenia słońca, a może nawet pobijała mnie we współzawodnictwie, choć w mieście uchodziłem za najlepszego. Po dwóch czy trzech godzinach skręciliśmy nagle prawie dokładnie na zachód. Marta powiedziała, że niedaleko, kilometr czy dwa od nas, jest nieprzebyta zona, musimy do niej dojść, lecz trzeba ominąć skalne rumowiska. Nie wiedziałem, co to jest zona, ale Celes nagle skinął głową. Nie pytałem o nic, zresztą Marta, przystanąwszy na chwilę, już szła przed nami, przyjmując nowy kierunek, nie odwracając głowy, a Celes postępował za nią z posłuszeństwem teraz już świadomym. Zbyt szybko ruszyli, bym nie domyślił się, że spodziewali się pytań i nie chcieli - odpowiadać, ona - z uporu, który zdążyłem już poznać, z niechęci do wyjaśnień może, on - z pośpiechu, bo skoro szedł, a nie latał, chciał dojść jak najszybciej. Nie pytałbym, a jednak nie ruszyłem za nimi, stojąc przy zwałonym drzewie, prawie zbutwiałym. W miejscu, w którym Celes dotknął nogą pnia, ziała teraz śmierdząca, czarna dziura. Nie odwracali się, wyczuli moją nieobecność za plecami, bo zatrzymali się nagle i równocześnie, jakby pustka z tyłu dotarła do ich świadomości w tej samej chwili i podziała jak wsysająca próżnia.

- Chodź - powiedziała Marta, ciągle odwrócona [ode mnie, prawie przysłonięta przez plecy Celesa.

Przysiadłem na piętach i gnijący pień zasłonił mnie. Słyszałem, że poruszyli się i znów przystanęli, może szeptała teraz razem i przeciwko mnie, potem znów szli, zaszeleściły gałęzie, mlaszcząco odezwał się pień a głowa Marty zawisła nade mną przesłaniając wysoką, czarną zielenią.

- Chodź - powtórzyła.

- Nieprzebyta - powiedziałem.

Nie zrozumiała, jej głowa cofnęła się, a potem naga ręka pewnie objęła śliską korę i zwarła się na niej, Marta pólżąc na pniu okraczyła go i zsunęła się po •mojej stronie, Celes, ciągle niewidoczny, zaskrobał nagle w drewno, natarczywie i przynaglająco.

- Musimy szukać przejścia - powiedziała.

- Nieprzebyta - powtórzyłem. - Tak mówiłaś.

- Tam nie ma drogi - przytaknęłyby, dotknęła ubrudzoną ręką sukienki, przyglądziła, brud nie przylgnął do materiału. - Nie można przejść, ale... - zawahała się na mgnienie oka tylko i spojrzała mi z bliska w oczy, w szarzyźnie jej spojrzenia migotało cierpliwe zmęczenie, nie, to była zgoda na wszystko, co nas spotyka i spotka, jakby wiedziała, że wszystko, co nas otacza i spotyka, jest przewidziane i musi się spełnić, trwaliśmy tak chwilę porozumiewając się, bo, i w moim wzroku musiało być to samo wyznaczenie, zatrzymane od wczoraj.

- ... Ale musimy szukać przejścia - szepnąłem. - Kim jesteś?

- Musimy szukać - przytaknęła, ciągle odnajdując moje oczy, śledząc je natarczywie, czekając na potwierdzenie, znak zrozumienia, akceptację. Zbliżyła się jeszcze bardziej, jej tęczyówki zbladły nagle, zobaczyłem w nich drobne włókienka i jednocześnie jej oddech musnął moje usta, odskoczyłem.

- Nie! - krzyknąłem. Celes stał za pnem nie usiłując dojrzeć, co robimy.

- Dobrze - powiedziałbym. Przeskoczyłem przez pień, nie dotykając go, odwróciłem się, podałem Marcie rękę. Stanęła obok mnie, niezdecydowana, kto ma prowadzić, ale nie wyraziła ani podziękowania, ani rozczarowania, stała, gotowa iść zaraz czy za chwilę, z nami, ale chyba i sama, jeśli zostaniemy. I spieszyła się, bo stojąc, a nawet ustępując mi pierwszeństwa, posuwała się już jakby w las, ku kolejnym drzewom, idź, powiedziałem i ruszyła w tej samej sekundzie, zanim przebrzmiałoby słowo, przepuściłem Celesa, który zmęczył się już dawno i od dawna zaczął tracić tempo, my tylko biegamy, wyjaśnił przedtem, na krótkie dystanse.

Teraz też zaczął się spóźniać, przystanku nie wykorzystał na odpoczynek, bo tak bardzo czekał, aż ruszę, i teraz ciągle odstawał od Marty o krok, dwa, natykał się na moje wyciągnięte ramię i znów przyspieszał, na chwilę tylko. Wołałem do Marty, by zwalniała, ale Celes popędzał ją natychmiast wściekłymi okrzykami, nie uznając swego zmęczenia, spieszył się, może bardziej niż ona, choć na pewno nikt nas nie gonił i choć na pewno wiedział niewiele więcej niż ja. Marta zmniejszyła na kilka sekund tempo marszu, a potem znów parła do przodu, zapominając o nas, przecież pewna, że idziemy. Las gęstniał tutaj, ogromny, wysoki, dziki i niehumaniczny, zniknęły nisko przykucnięte zarośla, sunęliśmy po ziemi usianej liśćmi zeszłych lat, nie wierzyłem, by ktokolwiek tędy kiedykolwiek przechodził, spotkaliśmy stado saren z młodymi, uciekły, ale leniwie. Omijaliśmy rozległe mokradła, i na nich też stały drzewa, na rzadkich wyspach twardej ziemi, a wiele leżało w mokrej trawie jak zapomniane pomosty. Las powoli zsuwał się w dół, bagna napierały teraz z obu stron, Marta szła pewnie, nagle natrafiliśmy na wznoszący się, stromy stok, suchy, porośnięty sosnami.

- Za grzbietem zona - powiedziała Marta. - Przed nami skraj lasu.

Istotnie, doszliśmy do skraju, zobaczyłem znów słońce, było południe.

Odpoczywaliśmy, leżąc na ziemi, dość długo. Być może spałem i oni spali, był to sen

płytki, na granicy jawy. Gdy chłopiec szedł osamotnioną równiną, wiedziałem, że leżę u stóp sosny, obok Marty, której ciepło docierało do mnie i której milczenie nie było już tajemnicze: nie miała nic do powiedzenia. Potem jedliśmy, Celes znów sięgnął po swoją torbę i wyjął żywność, to resztki, zakomunikował. Zaglądał do torby, odchylając jedną ręką jej pokrywę, w drugiej trzymał trzy płaskie, dość duże paczki, zwisały z palców na krótkich, zakończonych uchwytnymi sznurkach: sam lub przy czyjejś pomocy znalazł przed ucieczką czas na przygotowanie sześciu (licząc i śniadanie) pedantycznie podzielonych porcji.

- Musimy zdobyć żywność.
- Nie. Już nie - powiedziała Marta. - Potem nam dadzą.
- Kto? - spytałem.

Zawahała się i uśmiechnęła po chwili, ten uśmiech wydawał się być zbyt trudny do utrzymania na bladej, zakurzonej twarzy, obejmował tylko usta.

- Dobrzy ludzie - powiedziała. - Spotkamy dobrych ludzi - spojrzała na mnie i uprzedzając kolejne pytanie, dorzuciła: - Chyba spotkamy.

Kiwnąłem głową, zdjąłem porcje z palców Celesa, rozwinąłem, obserwowany przez nich w milczeniu, trzy paczki: kryły się w nich jednakowe zestawy, chleb, tym razem razowy, ciemny i wilgotny, wędzone, delikatne mięso o przydymionej żółtości i - w osobnych sztywnych pudełkach - garście ogromnych truskawek; wszystkie te racje wyglądały jednakowo, standardowo, jak produkt wyjęty z długiej serii identycznych. Przyglądałem się im zbyt długo, aż Marta - znów z mechanicznym, ostrożnym uśmiechem - sięgnęła po swoją porcję płynnym, ukrywanym ruchem, jakbym mógł za chwilę bezczelnie zawładnąć całą żywnością albo jakby nie chciała zaniepokoić zwierzęcia, na pół oswojonego, ale jeszcze nieufnego. Pozwoliłem jej jeść i porównywałem pozostałe porcje: chleb i mięso, przycięte idealnie równo, wyglądały prawie sztucznie, jakby ten, kto przygotowywał żywność, dokładał starań, by zerwać jej związek z mąką czy z mięsem, z rośliną czy zwierzęciem.

Celes czekał, stojąc obok mnie z pewnością siebie, bo znów - sądziłem przez chwilę - nie docenił mnie.

- Kto to przygotował? - spytałem.
- Oni - rzucił natychmiast odpowiedź, tak szybko i naturalnie, że pożałowałem podejrzeń.
- Matka i dziadek. Przecież musiałem uciekać.
- Bo twój dziadek podniósł alarm.
- I uciekliście - powiedział, jakby to wyjaśniało wszystko.
- A potem oni przygotowali porcje dla ciebie i dla nas?
- Tak - wzruszył ramionami. - Przecież musimy coś jeść. Zresztą po prostu wzięli.

Jeszcze badałem żywność, ale nie mogła powiedzieć nic więcej. Celes przykucnęła i też - sięgając po swoją porcję - porównywał poszczególne kawałki.

- Suchy prowiant - powiedział. - Z zapasów.
- To jest świeże.
- Zapasy zawsze są świeże - jego ramiona znów drgnęły, ale powstrzymał odruch i wreszcie spojrzał na mnie, zobaczyłem nagle, ukryte zaraz zdumienie na jego twarzy, i jakby błysk radości, powstałej w wyniku skojarzenia, którego nie mógłbym się domyślić, i

powiedział szybko (pauza między poprzednim zdaniem a pierwszym słowem następnego trwała tak krótko, że mogła być czasem na oddech tylko, ale to nie było tak, w ułamku sekundy Celes podjął decyzję, której jeszcze nie znałem, dowiedział się czegoś i postanowił mówić): - Cóż byśmy jedli następnego dnia?

Czekałby na moją reakcję, trzymał oburącz, rozpostartą na rozwiniętym opakowaniu swoją porcję, ale nie zabierał się do jedzenia, śledził mnie, niewrogo, z zaciekawieniem, a nawet delikatnie potrząsał głową, gdy Marta, z pełnymi ustami, mruknęła niewyraźne zdanie. Nie rozumiałem go.

- Wczorajsza kolacja nie była z zapasów - powiedziałem widząc, że czyha na moje słowa.

- Byliście gośćmi - rzucił i znów urwał, jakby sprawdzając, czy to przypomnienie powie mi coś, wyjaśni, ale zwlekał już tylko przez sekundę, na wszelki wypadek, bo kiedy zacząłem się zastanawiać nad tą kolejną informacją, która nie układała się z poprzednimi w zrozumiały schemat, położył nagle jedzenie na ziemi, uważając, by nie ześliznęło się z opakowania, usiadł przy mnie i rzuciwszy krótkie pytanie, stwierdzenie raczej, ty chyba nic nie rozumiesz?, zabrał się do długiego wywodu, zabrał się do niego z gorliwością tak nieoczekiwaną po dotychczasowym milczeniu, że prawie nie pojmowałem, co mówi, wsłuchany w gładkość jego głosu. Opowiedziałby, że jedzenie przygotowuje się zawsze na dzień następny, przygotowuje się dla całego miasta, jednakowe porcje, jednakowe zestawy, a potem, po południu, przenosi się je z wytwórni, w której pracują młode dziewczęta, do domów, i następnego dnia wyjmuje się z domowych spiżarni gotowe dania. Kiedy więc uciekaliśmy, dziadek udał się do wytwórni i zabrał kilka paczek z dodatkowych zapasów, przechowywanych zawsze na wszelki wypadek, i dał mu je, Celesowi, gdy wnuk wyruszył.

Umilkł na chwilę, Marta przysłuchiwała mu się bez zaciekawienia, skończyła już jeść i gniotła opakowanie w ciasną kulę.

- A u was? - rzucił z tak zachłanną ciekawością, że ujawnił jedno przynajmniej: opowiedział o systemie żywienia nie po to, bym zrozumiał, a po to, by mógł pytać.

Milczałem, więc dodał jeszcze, jakby podwyższał licytacyjną stawkę, że ponieważ wczoraj zjawiliśmy się jako niespodziewani goście, a goście przychodzą niezmiernie rzadko, a właściwie nie przychodzą nigdy, matce Celesa wydano z wytwórni zapasy nie zbrykietowane, by kolacja była szczególnie uroczysta. Zaśmiałby się.

- Matka dziwiła się waszemu opanowaniu. Przypuszczała, że okażecie zdumienie nie widząc gotowych porcji. Bo gotowe porcje...

- Przestań! - wrzasnąłem.

Zastygł na chwilę, gotów jeszcze do mówienia, jeśli zażądam dodatkowych uściśleń, bo spodziewał się żądań, a nie urwania potoku informacji, jakimi nas zasypał. Marta przysunęła się do mnie i spoglądała na niego obojętnymi oczyma - znów, nie wiedziałem, na jak długo i dlaczego, sprzymierzyła się ze mną, choć moja reakcja poniekąd opóźniła coś, co nazwałbym wzajemnym porozumieniem, gdyśmy go szukali. Byliśmy przecież, wszyscy troje, uciekinierami czy rozbitkami i to nas łączyło dostatecznie mocno, a marudne wyjaśnienia Celesa wprowadzały nie obcość nawet, a znudzoną obojętność, skoro dotyczyły spraw odrzuconych i pozostałych za nami.

- Dlaczego twój dziadek? - to znów byłby krzyk, może jeszcze mocniejszy niż przed

chwila, bo wkładałem weń całe niezrozumienie, nie, żal, że ucieczka Celesa nie okazała się prosta, prostsza niż moja, że nie była jedynie gestem sympatii czy solidarności z gośćmi, których przyjął, że i w niej tkwił fałsz, drugi sens, jak w mojej ucieczce, spowodowanej odkryciem podsłuchiwania, odkryciem wzmocnianym nieustannie przewidywaniami Marty, a teraz i wyjaśnieniami Celesa, i koniecznością ucieczki ze wschodniego miasta, odkryciem, które skarykaturowało wszystkie zdarzenia i sugerowało po prostu ich fałsz - fałsz widziałem już wszędzie, w sobie, w nich, w skłonie, który ciągnął nas pod górę, a za którym miała być tylko zona, nieprzebyta, a jednak wabiąca Martę, szukającą przejścia, dokąd i po co?, przejścia nie istniejącego, sama o tym zapewniała.

- Dziadek wiedział, że będę uciekał z wami - powiedział Celes nie dowierającym tonem, jakby jeszcze nie w pełni uznał, że mój krzyk jest realny. - Nie wolno mu było dać tylko dwóch porcji.

- Przestań mówić o jedzeniu - zagroziłem. - Skąd twój dziadek wiedział, że będziesz uciekał?

- Przecież pomogłem wam w ucieczce.

- Powinien cię ukarać, a nie pomagać.

- Dlaczego?

- Może zmusił cię do ucieczki i to była kara? - poddałaby Marta. Przysunęła się do mnie jeszcze bliżej i siedziała teraz, opierając się o moje ramię.

- Nie. Nie musiałem uciekać. Mogłem tylko...

- A gdybyś został? Jak by cię ukarali?

- Nie ukaraliby mnie - patrzył na nas cierpliwie, ale i z namysłem, jakby spodziewał się, że seria zdziwień skończy się, i czekał oczywiście na swój czas, ale to zrozumiałem potem, gdy wyczerpani jego wyjaśnieniami leżeliśmy na ciepłej ziemi, a on, przysiadłszy między nami i zaglądając nam w twarze, zadawał serie metodycznych pytań, nie pozwalających na szersze objaśnienia, a tylko na monotonne odpowiedzi: tak albo nie. Ale na razie my jeszcze nie rezygnowaliśmy, ja jeszcze nie rezygnowałem, i przerwałem mu, a Marta odzywała się z rzadka, śledząc jedynie kwestie Celesa i czasem, ruchem, drgnięciem, aprobując moje dociekania.

- To dlaczego uciekłeś?

- Zawiodłem ich zaufanie.

- A dlaczego nas ostrzegłeś?

- Byliście moimi gośćmi. Ja was przyprowadziłem.

To przynajmniej zrozumiałem.

- Co oni by nam zrobili, gdybyśmy nie uciekli?

- Nic. Powiedzieliby jej, że kłamie.

- Mówiłeś, że coś złego.

- Gdyby was złapali podczas ucieczki.

- Co?

- Nie wiem. Może by was badali.

- Badali?

- Tak słyszałem, ale nie wiem, co to znaczy. Może już dosyć? - poprosił nagle.

- Dlaczego nas nie gonią?
- Wyszliście z miasta, a więc ucieczka udała się.
- Może nie chcieli nas złapać? - zadrwiłbym.

Zerwał się nagle i krzyknął, że chcieli, a potem, nie słuchając pytań i nie dając sobie przerwać, niespodziewanie, bez powodu, zaczął nienaturalnymi frazami, zbyt gładkimi i zbyt skomplikowanymi, sławić dzielność miasta i jego mieszkańców. Mówił długo, znów akcentując słowa i zdania w cudaczny, nie znany mi sposób: zrozumiałem, że mówił wyuczone, pojąłem znów, że jego poprzednie wypowiedzi też musiały pochodzić z wiedzy, jak i jego uczynki. A więc i on, Celes, poddany był takiemu jak ja lub podobnemu wychowaniu, a więc i to jeszcze: mogłem pytać, a on będzie odpowiadał, ale nie dowiem się niczego.

Marta ciągle nie dawała za wygraną, teraz, gdy Celes umilkłby, wyczerpawszy wszystkie zdania sławienia, a ja nie podjąłem wyciągania z niego informacji, odczekała chwilę i odsunawszy się ode mnie z rozczarowaniem, sama zaczęła pytać, posypały się niechętnie, opóźnione odpowiedzi, bo Celes gotów był już przejąć inicjatywę, pociurkały słowa, których nie słuchałem, a potem i Marta zrezygnowała, bo nic nie uzyskiwała, a może dowiedziała się jednak czegoś - nie prosiłem jej o wyjaśnienia, bo nie pojąłbym ich, i wtedy Celes, wtłoczywszy się między nasze ciała, oddałby się temu, na co czekał: uzyskiwaniu wiedzy. Marta prawie nie próbowała odpowiadać, ja - niechętnie wprawdzie - mówiłem, obserwując z satysfakcją powoli wykwitające na jego twarzy zmieszanie, mówiłem to, czego mnie nauczono, tak, jak mnie nauczono, jakby nie było ucieczki i podsłuchiwanie, fałszu. Wreszcie i on dał za wygraną i położył się obok nas.

Ale to nie byłby koniec, bo jeszcze tego samego popołudnia czekały na nas pytania i odpowiedzi. Trzeba było ruszać, powiedziałem to, Marta zaprotestowała nagle, twierdząc, że jest za późno, by zbliżyć się do zony, urwała moje protesty, skoczywszy między drzewa (bo trzeba zbadać teren, powiedziała, wyszła z nich po godzinie, podczas której leżałem, bezmyślnie obserwując obłoki i przesuwające się powoli cienie, nie czekałem ani na Martę, ani na wędrownkę, wróciła z torbą Celesa napełnioną dziką jarzyną. Znów zaproponowałem marsz i znów odmówiła, krzyknąłem na nią, bo rankiem spieszyła się przecież, a więc kolejny raz, tempem marszu, okłamywała nas, dlaczego kłamałaś? - krzyknąłem histerycznie i zawstydziłem się krzyku. Celes zaśmiał się, może drwiąco.

- Ona jest z południa - wyjaśnił.
- To co?

Pokręcił głową, zdziwienie ściągnęło na jego chudą twarz.

- Wy nie chodźcie na południe?
- Mówiłem przecież.
- Nie kłamałaś?

I on mnie podejrzewał o fałsz, bo wszak milczałem, gdy Marta kłamała w jego domu, mogłem więc, przypuścić, i ja nie mówić, co wiem. Nie kłamałem, powiedziałem, u nas się nie kłamie. Przytaknął, jak u nas, potwierdził, cóż on wiedział o kłamstwie? Południe jest groźne, dodał.

- Dlaczego? - zawołała Marta. - Dlaczego? - powtórzyła. - Co ty możesz wiedzieć o południu, przecież - naśladowała jego wczorajszy ton - latawce nie przejdą lasów. Co wy

możecie wiedzieć o południu?

- Niewiele - przyznał dobrodusznie Celes.

- Wy nic nie wiecie - zaśmiała się, czy brzmiał niepokój w tym śmiechu?, dziewczęcym i jednocześnie starym, znużonym. - Nie możecie nic wiedzieć, oglądając świat z ziemi, nie wiecie nic. Na wszystko macie gotowe odpowiedzi! Naśladowcy? - krzyknęłyby.

- Wiem wszystko, co wie dorosły - zaprzeczył Celes głosem swego dziadka, pozbawionym jednak obojętności.

- Ja też tak myślałem - powiedziałem.

- A teraz już wiesz? - Marta spytała ze złością. - Że nie jest tak?

- Wiem wszystko - powtórzył Celes uparcie. - Wiem wszystko, co wie miasto.

- Południe nie jest groźne - stwierdziła Marta. Stanęła nad nami i zobaczyłem, że jej sukienka znów jest spięta ukrytymi haczykami w wojowniczy kombinezon. - Południe jest dobre.

Milczeliśmy.

- Nie ruszymy dzisiaj j- powiedziała by zwycięskim głosem. - Pożary przed zmrokiem nie wygasną - zwróciła się do mnie.

- Jesteś z lotniska? - spytałem nagle.

Drgnęła, pochyliła się nade mną tak szybko, że uprzytomniłem sobie, jak bezbronną leżę, na wznak, z rękoma pod głową. - Co ty wiesz? - tchnęła. - Skąd wiesz? - szept spadł cicho i szybko, z dala mógł wyglądać jak pieszczota, dostrzegłem Celesa przesuwającego się powolnym ruchem za Martą. Nie poruszyłem się, napięte dłonie pozostały pod głową, oczy Marty, przymrużone obok moich, odsunęły się nagle, ale jeszcze nie zmieniałbym pozycji. Marta, wyprostowana teraz, badała mnie nadal pobitym spojrzeniem: zdradziłem się wiedzą, której przecież nie miałem, zdradziłem się nie przypuszczając, że Marta może aż tak bać się moich domysłów. Po chwili odeszła szybko, ale to był pozór, bo prawie natychmiast, odczekawszy parę sekund, które wyliczyła może według jakiejś znanej sobie reguły (spędziła je z boku - i nawet nie spojrzałem na nią, usiłując rozważyć wstrząs, jaki przeżyła i którego nie potrafiła ukryć), rzuciłaby mnie Celesowi, czyhającemu tuż obok.

Jak przedtem, przez godzinę jej nieobecności, gdy wyglądał jakiegokolwiek zachęty, znaku, że nie śpię i gotów jestem odpowiadać, tak i teraz czyhał, toteż najpierw jej gest, zdumienie i przerażenie (jeśli to było przerażenie), a potem słowa, jedyne, jakie wymyśliła w ciągu tych paru mgnień, a przecież skuteczne (on wszystko wie, powiedziała, on ci może dać dużo wiedzy, a rzuciła Celesowi tę szansę, stojąc ciągle z boku o kilka metrów od nas, i musiała teraz podnieść głos; ciągle jej nie widziałem, stała w oddali prawdopodobnie dlatego, by i Celes, jak ja, nie mógł widzieć jej twarzy) - jej słowa zmusiły Celesa do natychmiastowej reakcji, wpojonej mu przez szkolne wychowanie, kierujące prawdopodobnie człowieka ku zdobywaniu wiedzy lub ku jej naśladowaniu: czułem, jak jego ciekawość oblepia mnie zachłannie, ciągle naiwnie świeża, choć przedtem nieustannie przybijałem ją wyuczonymi w szkole, ezoterycznymi dla niego odpowiedziami. Teraz pytał inaczej (a zaczął pytać, gdy tylko Marta umilkła), pozwalał czy raczej chciał pozwalać na odpowiedzi obszerne, a ja gapiłem się na niego bez słowa.

Zrezygnował, choć nie od razu, ale Marta czuwała. Chyba nadal jeszcze przetrawiała moją

nieoczekiwaną wiedzę o jej pochodzeniu i nie mogła się z nią pogodzić, podejrzewała, że mogą mieć informacje pełniejsze i groźniejsze od tych, które tak niespodziewanie podałem, ale nie chciała zdradzić swego lęku, choć pragnęła poznać zasięg niebezpieczeństwa. Dziś wiem, że wówczas uważała to za niebezpieczeństwo. Sądono u niej, w Velvie, iż informacje o mieście i ludziach nie mogą przenikać na zewnątrz i nie powinny przenikać, by zbyt wcześnie nie ujawniła się istota idei. Rzuciła mnie Celesowi, byśmy zapomnieli o lotnisku, a jednak spodziewałaby się, że moje odpowiedzi na pytania Celesa dadzą jej pojęcie o rozmiarze zagrożenia. Stała obok nas, rozdarta między koniecznością dowiedzenia się i nakazem oddalenia tematu, a kiedy milczałem, postanowiłaby spróbować poróżnić nas, Celesa i mnie, z lęku przed naszym czysto hipotetycznym sprzymierzeniem. Przeciwno niej, a może przeciwko Velvie.

Rozebrała się nagle i legła w wygrzanym przez słońce miejscu, Celes przypatrywał mi się jeszcze, a potem zrezygnowany rozciągnął się przy niej. Zobaczyłem, że są nadzy. Ciało Marty nie było białe, jak to chłopiec widział w nocy - pokryte brunatną opalenizną, mocniejszą niż opalenizna Celesa i moja, budziłoby zazdrość dziewcząt z mojego miasta. Celes także się zachwycił, gwizdnął z cicha przez zęby, uśmiechnęła się do niego, prawie bez wysiłku.

- Nie powinnaś się ubierać - powiedział, popatrując na jej nagość tak jawnie, że powinienem zwrócić mu uwagę. Marta odwróciła się, prysnęła mu piaskiem w oczy. Uchylił się: - Zamknąłbym cię w domu, gdybym miał jeszcze dom.

- Dom znajdziesz wszędzie - odpowiedziała szybko, jakby posłużyła się gotową formułą.

- Tylko ja ją mogę zamknąć - powiedziałem cicho i stanąłem nad nimi, w przepasce na biodrach. - Ubieraj się.

Marta zaniósł się zalotnym śmiechem, znanym mi dobrze z mego miasta, ale nie spodziewałem się takiego śmiechu tutaj, nie przypuszczałem, że można go usłyszeć na pustkowiu, w pobliżu tego, co ona nazywała zoną, musiałem się skrzywić, dostrzegła to.

- Minę masz jak mnich.

- Ubierz się - powiedziałem.

- Nie masz do mnie prawa.

Celes podnosił się, gotów jej bronić, jej czy swojej nadziei. Stanąłby przede mną, a wtedy Marta popełniła błąd.

- Mnich - powtórzyła i Celes, gotów do sporu, natychmiast włączył swą nieustanną ciekawość, wieloletnia nauka dała rezultaty.

- Co to jest mnich? - spytał.

- Taki, co żyje sam - wyjaśniła.

- Sam? - powtórzyłyby, popatrując na mnie już bez wrogości, zapomniał o rywalizacji, prosił o wyjaśnienie.

- Czujka - podpowiedziałbym i aż uderzyłem pięścią w biodro, zaskoczony swym głosem.

Marta westchnęła, ale poddała się, nie próbowała przypomnieć, że on ma walczyć ze mną. O nią.

- Co to jest czujka? - spytał Celes.

- Oddalony posterunek - powiedziała gasnącym głosem.
- Co to jest posterunek? - spytał znów.

Zawahała się, wzruszyła ramionami i odwróciła głowę.

- Co to jest czujka?

Zaśmiałem się, tyle było pragnienia w jego głosie. Nawet do niej tak się nie zwracał.

- Żyje u nas taki jeden, pod miastem - powiedziałem.

- Po co?

- Nie wiem... Może go nie lubią. Ale chodzą do niego. Może chciał?

Odpowiadałem machinalnie, myślałem o Marcie, która teraz ukradkiem, pokonana czy zrezygnowana, ubierała się. Nie osiągnęła nic, a my znów rozmawialiśmy, i znów mogliśmy za chwilę rozmawiać o lotnisku.

- U nas nie ma takich - szepnął Celes. - Dziwne. Ty wiesz? - zwrócił się do Marty.

- Nic nie wiem - mruknęła. - Pytaj go. Uśmiechnąłem się. Ubrana, stała obok nas, lekko oparta ręką o moje ramię. Mogłem więc mówić, chciałem mówić, wróciła do mnie, tak bym sądził.

- U was też jest dziwnie - powiedziałem. - Nie tylko u nas.

- Co?

- Ratusz z dachem. Widziałem.

- To co? - zdziwił się.

Popatrzyłem na Martę.

- Nasz ratusz nie ma dachu. Dotychczas nie urósł. Ma nie ukończone ściany. Jeszcze z innych czasów.

Nie rozumiał, zastanawiał się szybko.

- Mów dalej - poprosiła Marta. Tym razem nie walczyła o zachowanie tajemnic Velvy, naprawdę była ciekawa.

Zastanowiłem się:

- Tak jak most - powiedziałem. - Most też jeszcze jest niecały.

- Co to jest most? - spytali równocześnie.

Wyjaśniłem, opisałem, spytali, do czego most służy, powiedziałem, zażenowany nagle, że młodzi się tam opalają, ale uświadomiłem sobie, że nie znam przeznaczenia mostu, młodzi się tam opalają, starsi nie, bo są ostrożniejsi, młodzi na moście ćwiczą zręczność - znalazłem wreszcie logiczne wyjaśnienie. Wy zbudowaliście most?, spytali. Zbudowaliśmy? Został z innych czasów. Wtedy spytali, co to są inne czasy.

(Tę rozmowę, której nie było, którą przewidziała Marta, opisują teraz jako zwrot ku ładowi, ale to nie było tak: jej liczne wersje, a znam tylko niektóre, nie odpowiadają prawdzie, lecz nikt mnie już nie słucha, gdy koryguję, mówią, że nie pamiętam, a pamiętam wszystko, pamiętam poszukiwania i to, co było przedtem, i to, co było potem. To nie był zwrot ku ładowi, to były pytania i odpowiedzi, bezładne i nieskoordynowane, dziecinne, wyzwalone przez Martę, która chciała uniknąć indagacji. Ja nie rozumiałem pytań, a oni nie rozumieli odpowiedzi, a potem nie rozumiał pytań Celes, a my nie rozumieliśmy odpowiedzi. Nie należało rozmawiać, lecz pokazywać, bo każdy widzi inaczej, a słowa wprowadzają indywidualną jednoznaczność. Ta rozmowa nie była początkiem ani zwrotem, ani końcem,

początkiem -było moje wyjście, a koniec nadciągnął wiele dni później, i tylko to pragnę udowodnić. Chcę oczyścić opowieść o poszukiwaniu chłopca z dodatków i domysłów, a przecież od początku to już nie były poszukiwania chłopca, należałoby opowieść nazywać inaczej i - powtarzam - oczyścić ją z fałszerstw i upiększeń, z komentarzy i niezbędnych - jak mówią - uzupełnień, i czynię to, choć nie mam nadziei na sukces.)

Spytali, co to są inne czasy i powiedziałbym. Spytali, kiedy się skończyły, i powiedziałem, że wszystko zaczęło się osiemdziesiąt dwa lata temu, gdy urodził się Aleksander, a przedtem było coś, a przedtem były inne czasy bez ludzi, a gdy świat zrodził człowieka, zaczęły się nasze czasy, Marta zaprzeczała głośno, a Celes popatrywał to na nią, to na mnie, ja słyszałem inaczej, rzekł.

- Była era latania, a potem utraciliśmy tę umiejętność i chcemy ją odzyskać.

(Zrozumcie, to byłoby straszniejsze niż podsłuchujący nas fałszywy komandor.

Zrozumcie, nie powinniśmy mówić, powinniśmy pokazywać. Nie chcę o tym wspominać, ale muszę, bo o to zdanie o lataniu i nielataniu chodzi komentatorom i interpretatorom. O te zdania raczej, moje o innych czasach, w których pojawił się człowiek, i o jego zdanie, Celesa, o erze latania i erze nielatania.)

Ja mówiłem, że świat idzie naprzód, a on powiedziałby, że świat się cofnął, i obaj nie mogliśmy znieść twierdzenia drugiego (a Marta popatrywała na nas i słuchała nas prawie obojętnie), zerwaliśmy się, stanęliśmy naprzeciw siebie, twarz Celesa podbiegła nierówną czerwienią, tuż koło mojej twarzy, spojrzalbym w dół i zobaczyłem zaciśnięte dłonie, i ja zacisnąłem moje.

Rozejrzałem się i on także, spostrzegliśmy gałąź, skoczyłem, Celes był równie szybki, uchwyciliśmy ją równocześnie i mocowaliśmy się, potem on puścił, bo obok leżał inny kij, trzymał go - i już stałaby między nami Marta, krzyczała, nie będziecie się bić, nie słyszeliśmy i nie rozumieliśmy jej - z ciemną wściekłością zaczęliśmy siec, on kijem, ja gałęzią, ziemię, drzewa, wszystko, co było wokół, aż do opadnięcia z sił, do runięcia na ziemię, z dygotem i dyszeniem. Leżeliśmy, Marta wycierała pot z naszych twarzy i jeszcze pełna przestrachu szeptała, myślałam, że będziecie się bić, myślałam, że się pozabijacie, ale nie rozumieliśmy jej.

Uspokajaliśmy się powoli, odwróciłem głowę i spojrzalem na Celesa, próbował uśmiechnąć się do mnie tym godzącym uśmiechem, którego i mnie nauczono, a więc znał jednak sygnały, przepraszam, powiedziałem natychmiast, zmuszony wieloletnim nawykiem do stereotypowej reakcji kompromisu, nie wiem, powiedziałbym, jak jest. I on by przytaknął.

Potem szukaliśmy miejsca na spanie. Jeszcze raz próbowałem złamać opór Marty i zaproponowałem wznowienie wędrówki, ale znów wspomniała o pogorzeliśkach i zrezygnowałem wreszcie, nie wiedząc, czy pogorzeliśka wymyśliła właśnie, by nas z jakiegoś powodu wstrzymać, czy też istniały rzeczywiście. Obiecała, że następnego dnia ruszymy i dojdziemy. Do dobrych ludzi.

- Dziś ich nie ma. Jeszcze nie - powiedziała.

Podeszliśmy kawalek pod górę, na szczyt wzniesienia. Las się kończył, za nim widniała ogromna, jakby zatarta przestrzeń.

- Zona - wyjaśniła Marta.

Ten obszar, skalisty i odpychający, popękany, nieprzebyty, jak twierdziła Marta, pędził w swą głębię. Zawrócilibyśmy i ułożyli się na skraju lasu. Zbliżała się noc.

Tak Marta opowiadała o innej wersji czasu, w którym szliśmy przez pył. Tak go przewidywała. Opowieść skraciała wędrówkę i podwajała ją. Nie pytałem o nic, to Marta spytała, co wiem o lotnisku.

- Nie boisz się, że wiem? - zdziwiłem się.
- Jesteśmy sami - wyjaśniła. - Z nikim się nie sprzymierzysz.
- Nic nie wiem. Wiem, że stamtąd przychodzisz.
- Z Velvy - odparła. - Z Velvy.

5.

Do zachodu słońca pozostało sporo czasu, a szliśmy dość szybko. Rozproszone, niebieszczejące w dali dymy niebawem rozpadły się na oddzielne źródła, wysyłające obłoki spalenizny w różne strony - wiatr nam jednak sprzyjał i większość gazów zwiewało w głąb pogorzelska, które czarną kreską pojawiło się w dali. Marta milczała i nawet nie zawsze odpowiadała na uwagi bezpośrednio do niej skierowane - weszliśmy na pas piasku, sięgający, jak się zdawało z miejsca, w którym się znaleźliśmy, pogorzelsk, zdjąłem sandały i stąpałem boso. Marta wspierała się na niewielką, ale stromą wydmnę, by rozejrzeć się po okolicy, kurz okrył jej twarz, w kurzu żłobiły ścieżki krople potu.

Do właściwego pogorzelska dotarliśmy o zachodzie, płatami zagarniało piasek, coraz większymi, zlewającymi się, aż i przed, i za nami, wokół, była tylko czerń. Szło się dobrze, miękko, nogi uczernione po kolana, dymy były dalej i z boku, nie groziły nam. Już w niemal pełnej, bezksiężycowej ciemności szukaliśmy miejsca na postój - wolnego od popiołu, nie było go, brnęliśmy długo, w ciszy, przerywanej słabym najpierw, potem coraz głośniejszym, regularnym szumem. Marta przysłuchiwała się uważnie, potem krzyknęła cicho, przenikliwie, szarpnęła mnie za rękę - biegniemy, powiedziała, i pobiegliśmy w stronę dźwięku. Nadal niegłośny, był bliski i wyraźny.

W fosforycznej poświacie objawiła się sylwetka wzniesienia, wdrapaliśmy się, czułem szeleszczące przy nogach nieliczne rośliny. Wiatr zmienił kierunek i wiał w poprzek naszej drogi, szum wzmógł się, było to regularne, oddzielone wieloma sekundami syczenie i plusk. Ze szczytu zobaczyłem czarną płaszczyznę, a raczej domyśliłem się jej, bo ciemniało bardzo szybko, przecinały ją białe, poprzeczne kreski, a może ich nie widziałem wtedy i dodałem je później pamięci, gdy ujrzałem, jak to wygląda za dnia. Pod nami stromo spadała skarpa, Marta usiadła i szorując ciałem zjechała na dół, poszedłem za jej przykładem - to był piasek. Na dole, także w piasku, leżeliśmy nieruchomo.

- Tu odpoczniemy - powiedziała. - Będzie trochę chłodno, ale bezpiecznie.

Nie spałem przez całą noc. Było za zimno. Obok posapywała Marta. Rano zobaczyłem, znajdowaliśmy się na wąskim paśmie piasku, ograniczonego z jednej strony skarpą, z drugiej ogromną płaszczyzną wody, to była woda pomarszczona falami. Fale, duże, wzbijały się na wysokość pasa, łamały dając białą pianę.

Marta powiedziała :

- Morze.

Nigdy dotąd nie widziałem morza, podbiegłem do niego, uważaj! słona! krzyknęła Marta, ale nie zamierzałem pić, wszedłem po kostki w wodę, a potem po pas, w ubraniu, bo wiedziałem, że znów będzie upał. Skłoniłem się i zanurzyłem twarz. Wróciłem na brzeg, zdjąłem ubranie, rzuciłem się w wodę i popłynąłem, Marta krzyczała z brzegu, biegała tam, gdzie kończyły się fale, unikając ich dotknięcia, przewróciłem się na plecy i patrzyłem w niebo, spróbowałem sięgnąć dna, zimny prąd ciągnął od brzegu, wypłynąłem i zawróciłem. To było zupełnie inne - pomyślałem, że coś znalazłem. Marta czekała na mnie z przestraszoną miną, parsknąłem widząc to, wstałem, woda spływała ze mnie powoli, ciało tętniło, chciałem płakać albo krzyczeć, nigdy nie widziałem morza potem, ale pamiętam je i często nocami kąpię się w nim do dzisiaj.

Nadmorski pas piasku prowadził na północ i południe, poszliśmy na południe, piasek był miękki i coraz bardziej rozgrzany, zza wydm ograniczających widoczność napływały wonie spalenizny i lekkie dymy, ale było ich chyba mniej niż poprzedniego dnia. Wypatrywałem śladów na piasku, był czysty, lekko pomarszczony jak powierzchnia stawu, gdy powieje wiatr. Marta rozglądała się bacznie.

Wydawało się, że zna ten teren, bo posuwała się ostrożnie i powoli, ale pewnie, wyprzedzała mnie tuż przy nieregularnie załamującej się skarpie, wyglądała zza załomów i przywoływała mnie ruchem ręki, szliśmy cicho, nie wychodząc już na środek piaszczystego pasa. Morze szumiało regularnie, dął świeży, dość chłodny wiatr, u podnóża skarpy znajdowaliśmy się w cieniu i przesyły mnie dreszcze, mokre spodnie nieprzyjemnie oblepiały nogi, a kurtka także była wilgotna, wchłonęła wilgoć piasku.

Nagle Marta wzniosła się ponad mnie, stroma ukośna ścieżka prowadziła w górę, patrzyłem na morze, coraz rozleglejsze z wysokości, pocętkowane grzywami piany, zielone, ścieżka jeszcze bardziej wystromiała, Marta obejrzała się, byłem niżej, ale tuż za nią, i wstydliwie zgarnęła sukienkę, której rano nie pozapinała w kombinezon, to było pewnie swego rodzaju zaniedbanie z jej strony. Niedługo osiągnęliśmy szczyt i znów ujrzeliśmy pogorzelsko ciągnące się od morza w głąb lasu, dokąd tylko mogłem sięgnąć wzrokiem, Marta padła na ziemię, cofnęliśmy się nieco w dół, wystawiając jedynie głowy ponad krawędź, nie widziałem powodu do ostrożności i powiedziałem to, Marta syknęła, nakazując ciszę, usłuchałem, była lepiej zorientowana w tych stronach, a potem nagle skoczyłem i już stałem na górze, wyprostowany i widoczny.

- Kładź się - rozkazała.

Nie usłuchałem.

- Kładź się!

Zbiegłem lekko po łagodnym stoku, w stronę pogorzelska, i tam się zatrzymałem, u podnóża, patrząc w głąb łądu. Z tyłu, z pewnej odległości, słyszałem tupot nóg Marty.

- Co robisz? - zawołała, gdy znaleźliśmy się razem.
- Nie będę się ukrywać - powiedziałem.

W dali, przytulone do wydm, stały czarne, spalone zabudowania i - nie byłem pewien z tej odległości - kręciło się przy nich kilkoro ludzi. Zabudowania, a raczej ich resztki, słały się tuż przy ziemi, delikatne pasemka dymu wydobywały się ze zgliszcz, ale chyba już nie było ognia.

Mimowolnie skierowałem się w tamtą stronę, bez udziału świadomości. Jeśli byli tam ludzie, chciałem ich zobaczyć, ale zatrzymało mnie przypomnienie ostrożności Marty, to obcy kraj, znów ruszyłem, wolniej, Marta dogoniła mnie, zagniewana, lecz śmiała.

Tamci zauważyli nas niebawem, jeszcze kilka sylwetek wyłoniło się z budynków, ustawili się przed nami i nieruchomo czekali, aż podejdziemy.

- Dobrzy ludzie - szepnęła.

Gotów byłem ich poznać i podjąć rozmowę, a potem pójść swoją drogą. Ci ludzie, ogorzali, w przepaskach na biodrach, w rodzaju szortów, już z daleka wyglądali obco, i stwierdziwszy to, znów poczekałem na Martę, a ona teraz pobiegła, bo ich poznała, widać byli od niej, biegła, wymachując po dziecięcemu rękami, jeden z nich wystąpił naprzód, był siwy, ale nie stary, żyłasty i mocny, czekał, podbiegła do niego i krzyknęła, przenikliwie, z tryumfem, a może z rozpaczą? Mężczyzna położył dłoń na jej ramieniu, potem cofnął się i spytał o coś, nie rozróżniałem słów, Marta pokazała na mnie, ludzie otoczyli ją, zniknęła na chwilę w wianuszkach mężczyzn, znów krzyknęła, może do mnie, może do nich, ruszyli w stronę zgliszcz. Tylko siwy mężczyzna zbliżał się, z daleka wyciągnąwszy rękę.

- Witamy - powiedział.

Uścisnąłem jego dłoń, a potem podążaliśmy za grupą mężczyzn, za Martą, to byli sami mężczyźni, mój przewodnik towarzyszył mi milcząc. Za pierwszymi ścianami spalonych budynków były dalsze, niewidoczne z dala, krążyliśmy jakiś czas, w swędzie, w lekkich dymach, wśród opalonych i zwęglonych belek, a potem zaczęły się ściany coraz bardziej nienaruszone, aż doszliśmy do domu ze świeżego drewna, na którym jeszcze trwały krople żywicy. Tamci już czekali, ale było ich mniej i nie zobaczyłem Marty. Weszliśmy do pokoju, w którym stało kilka nowych krzeseł. Słońce lśniło na ich białych deskach.

- Gdzie Marta? - spytałem przewodnika.

Nie odpowiedział.

- Coście z nią zrobili?!
- Uspokój się - mruknął, bo krzyknąłem. - Zaraz ją zobaczysz.

Kazał mi usiąść i oni też usiedli.

- Dawno nie mieliśmy gości - powiedział mężczyzna - to jeszcze nie sezon. Dopiero przeszedł ogień, wskazując gościom drogę, i dopiero zaczęliśmy budować.

Wyjrzałem przez okno i zobaczyłem, że świeże zgliszcz stały na zwałach starego popiołu, bardzo starego, może zeszłorocznego, a może sprzed kilku lat.

- Dom jest nie wykończony - powiedział mężczyzna - ale rozgość się, prosimy.

Poprawiłem się na krześle.

- Rozgość się - powiedział z naciskiem mężczyzna. - Zaraz wszystko będzie gotowe.

Ale był niezdecydowany, a i ja nie wiedziałem, co ma na myśli, i znów spytałem, kiedy przyjdzie Marta, zaraz, powiedział, czekałem, a potem wstałem i przeszedłem do sąsiedniego

pomieszczenia, nie przeszkodzili, choć któryś ruszył za mną.

- Poprowadzę - rzekł.

Dom miał trzy pokoje i komórkę bez okien, wszystkie pomieszczenia puste, w ramach okien nie było jeszcze szyb, a w jednym pokoju nie zdążyła wyrosnąć podłoga.

- Skąd bierze się tu drewno? - spytałem bezsensownie.

- Przywozimy - odpowiedział.

- Pomagacie ziemi?

Nie rozumiał.

Przed domem, w kilku drewnianych donicach, sterczały młode drzewka, przejdziemy się po ogrodzie?, spytał, był niewiele starszy ode mnie, o obojętnej twarzy, zamkniętej tak, że nieludzkiej prawie, dobrze, skinałem, przejdziemy się, obeszlśmy drzewa wokół, wracamy?, spytał z akcentem rozkazu, jeszcze nie, powiedziałem, i znów obeszlśmy donice, obserwowałem go, nie zmienił wyrazu twarzy, ale chyba był niespokojny.

- Gdzie jest Marta? - rzuciłem możliwie najbardziej obojętnie.

- Chyba już w studio - odpowiedział i zacisnął usta, bo go zaskoczyłem, podszedłem. Zrobił ruch, jakby chciał mnie chwycić, uskoczyłem, czujnie mnie obserwował i drobnymi kroczkami usiłował się zbliżyć, u - mknąłem znów, a potem, odwróciwszy się, popędziłem w głąb spalonych ścian, starając się znaleźć drogę nad morze. Biegłem długo, do utraty tchu, ściany piętrzyły się wszędzie, czarne, zwęglone, z tyłu dobiegło głuche tąpnięcie, może mnie ścigali, a może to ja gwałtownym biegiem zawałiłem drogę, było mi obojętne.

Zawróciłem po dłuższym czasie, nagle minęła panika, musiałem znaleźć Martę, a żeby ją znaleźć, musiałem też wrócić do nich.

Ale pobłądziłem, czarne ściany mamili, były jednakowe, liczyłem już tylko na przypadek, który pozwoli mi wrócić do nowego domu. Usłyszałem szum morza i zacząłem się od niego oddalać, bo z domu nie było go słycać. I znów ściany zaczęły się podnosić, zwęglenia zmniejszać, jak przedtem, ale to nie było tamto miejsce, usłyszałem tupot wielu nóg i skierowałem się ku niemu, wpadłem w czarny korytarz, znów zawróciłem, ale już byłem za daleko, już nie widziałem nigdzie światła, a po omacku wyczułem, że korytarz rozgałęzia się wielokrotnie, nie wiedziałem, jak wyjść. Byłem znużony. Padłem...

* * *

... i wszędzie przenikał szumiący ból, (chłopiec) kazał mu ucichnąć i podniósł głowę.

Widział światło i najpierw znów chciał się cofnąć, światło ciepłe i żywe, w jego snopach brzęczał kurz, jakby oddawał dalekie głosy, spadał z góry. Chłopiec wyszedł przed dom, to nie była Velva. Miasto, tu ukształtowane prawie do końca, ciągnęło się dziesiątkami żywych ulic, było je widać, bo opadało ogromnym i płaskim zboczem, porośniętym regularnymi kępami drzew, a dalej znów przechodziło w ulice łyskające promieniami odbitymi od szyb pędzących pudeł.

Marta dotknęła mojego ramienia. Musiała tu czekać, od dawna.

- Poprowadzisz?

- Tak.

- Nie bój się. Przecież mnie nie ma.

- Nie boję się - szepnął i uśmiechnął się do niej, a potem uchwycił jej dłoń i wykręciłem boleśnie. Dziewczyna nie krzyknęła i nie wyswobodziła się, poprowadzisz, powtórzyła. Na ulicy natychmiast pojawił się zakurzony orszak, a za nim w regularnych szeregach postępowali surowi technicy.

- Poprowadzę - powiedziałem. Powalił dziewczynę na ziemię i znów uciekał, a ściany gwałtownie zawijały się ku górze, tworząc strop tunelu, zawrócił, orszak stał nad dziewczyną, technicy w regularnych, licznych szeregach oczekiwali karnie, pochylił się, podniósł Martę i trwał w przykłąku.

- Musimy iść - powiedział prezydent. - Ludzie czekają.

- Tam? - spytałem, wskazując otwór tunelu.

Odpowiedział dopiero po chwili, jakby z wahaniem.

- Tam nie mamy czego szukać. Nie byłem nigdy w archiwum i już do niego nie wejść.

- To jest wejście - zaprzeczyłem.

- Archiwum - powtórzył. - Wiem przecież.

Przymknął oczy i trwał przed orszakiem, naprzeciw chłopca, jakby czas nie płynął i nie naglił, jakby powinien jeszcze raz przypomnieć wszystkim o istnieniu schronienia rzeczy i ludzi czy strażników, którzy żyli tam wiecznie. Ale zmienił zamiar, a może jedynie uprzytomnił sobie, że chłopiec wie.

- Wiem przecież - szepnął. - Tam nie ma wyjścia.

- Morze. Jest morze - powiedział chłopiec.

Morze to jedna z idei. Tylko to. To też muszę wiedzieć - prawie się zdziwił.

Odwrócił się i teraz zobaczyłem jego zamarły, pogrzebowy profil.

- Martwe rzeczy i wysnuci z domysłów ludzie - rzekł jeszcze. - Tylko to widziałeś. Archiwum. Wyobrażenie przejścia i powrotu.

Z ciałem Marty na rękach, ciepłym i bezwładnym, ruszyłem za nim, dźwigałem dziewczynę ku ludziom.

Prezydent wyciągnął ramiona ku miastu i zawołał, chłopiec nie słyszał słów. Dziewczyna była jak lalka, spoczywała ciężko, ukazując odchyłoną twarz. Jak nowa, tegoroczna lalka przyniesiona w podarunku. Ruszyłem ku ludziom. Trzymałem lalkę, kryjącą Martę, w ramionach, a prezydent krzyczał w kierunku miasta.

Chłopiec trącił go barkiem, oddał ciało w jego zdziwione, ale mocne ręce.

- Wracam - powiedział i pobiegł w głąb tunelu.

Za nim tupotał orszak. Przedzierałem się, kołując, przez labirynt, przepelzałem, usuwały się płyty metalu, brnąłem - aż zaświtał promień słońca, wypełzłem, a od mego, teraz mego miasta zbliżało się dwóch, poznał ojca i komandora, w białych koszulach i szarych spodniach. Orszak hałasował w głębi, zbliżał się i chłopiec postanowił zawrócić, by nie wskazywać drogi. Podniósł rękę, pozdrawiając witających i żegnając ich, i odwrócił się szukając wejścia. Nie było go, może złom się osunął, a może długi rząd lalek, nowych i starych, z których niektóre miały twarz Marty, zagradzał drogę. Przysunął się do nich, roztrącił, runął na jazgocącej płycie żelaza i wstał, a tamci dwaj, ojciec i komandor, czekali nieruchomo u podnóża. Orszak ciągle się zbliżał, hałas podjęło złomowisko, drgając lekko i rozstępując się, by dać ludziom przejście. Chłopiec przykłąkł i wyciągnął ręce.

- Nie - szepnąłem. - Nie.

I wtedy zobaczyłem otwór. Zakrywał je tułów ogromnej kukły, poruszający się teraz powoli, odchylający, ze szczeliny wychynęło spojrzenie, ostre i rozjaśnione, potem głowa i ręce prezydenta, te ręce niosły Martę tak lekko, jakby dziewczyna nic nie ważyła, jakby nie liczyła się wcale. Prezydent wyszedł i stanął na skraju złomowiska. Powstałem i...

... (ja) nie słyszałem nic, ledwie panowałem nad ciałem. Musiałem odpocząć, ale nie tu, w tym ciemnym korytarzu. Błąkałem się, potykając w mroku - choć na ogół droga była gładka - długo, tak długo. Musiałem wrócić do pogorzelska i do tego nowego domu, w którym ukryli Martę, ale korytarze nie kończyły się, rozwidlały, namacywałem rozgałęzienia, skręcały i załamywały się, przypuszczałem, że uczyniłem niejedną pętlę, że depcę po własnych śladach. I ciągle nie było słychać nic. Mrok i cisza. Zupełny kres. Zrezygnowałem i leżąc na ziemi, przytulony do niewidocznej ściany, usłyszałem własne chlipanie.

**CZĘŚC II -
PRZEBICI
E**

6.

Nie można spoczywać, trzeba iść. Wyjść z gęstej, nieprzeniknionej ciemności na jakiegokolwiek światło, a kiedy się je zobaczy, bez wahania runąć naprzód. Choć może lepiej zostać. Lub przygotowywać się do zbadania _ blasku. Albo udawać, że się go poznaje. Mówić, że się zna, i nie badać.

To nie było światło dnia. U ściany poprzecznego korytarza, szerszego i wyższego, błyskały przywieszane równymi szeregami niewielkie lampy, korytarz straszył pustką, dalej zakręcał łagodnie, za zakrętem ta sama pustka i ten sam półmrok, lampy wisiały w równych odstępach i na tej samej wysokości, dalej ciemniejsza wyrwa w szeregu, to jedno ze światel zagasło, może już dawno, i znów zakręt, rozgałęzienie, światła pełgały wciąż tak samo, w nieskończonych szeregach, nad głową. Tak mogłoby być, gdyby badać, albo było, jeśli zbadano i oswojono. W piątym czy szóstym korytarzu, za zakrętem, między lampami powinny połyskiwać drzwi, kilkoro drzwi, pokrytych szarą, olejną farbą, naciskałem klamki, wreszcie z cichym skrzypnięciem pojawiła się szczelina, wszedł, ciemno, otworzyłbym szerzej, światło z korytarza ukazało maleńką klitkę umeblowaną niskim stolikiem i wąskim spaniem. Można by zamknąć drzwi i położyć się.

Wędrownka zmęczyła mnie, odrętwiała leżałem, próbując ułożyć jakikolwiek plan działania, ale natrętnie powtarzał sobie tylko to, że muszę znaleźć ludzi, bo skoro jest światło, to ktoś tu powinien żyć. Nie wiadomo, jak długo leżał, w pełnej ciemności, tak głębokiej, że zatraciłem poczucie przestrzeni, a potem nagle skrzypnęły drzwi i w smudze światła przemknęła do pokoju jakaś sylwetka, ktoś przebył trzy metry dzielące go od drzwi do spania i położył na chłopcu ciężką rękę. Ręka znieruchomiała, słyszał cichutki oddech, potem przesunęłaby się z mojej piersi ku głowie, kto tu, wychrypiał nieznajomy, kto tu jest, ręka zniknęła, posłyszał trzask i światło rozproszyło mrok, ktoś trzymał płonące drewnienko, które ukazało jego twarz, ptasią, z dużym, chudym nosem i blisko osadzonymi oczyma, x w niewielkim płomieniu wydawało się, że oczodoły wokół iskierok odbitych w źrenicach są puste, człowiek poruszył drewnienkiem i przybliżył je do mojej twarzy, nachylając się, drewnienko spłonęło, strzepnął ręką i znów zapadła ciemność, a potem trzask i nowy ogień, przybysz wyprostował się i poszukał nad moją głową, zapłonęła lampa, kim jesteś?, spytał. Usiadłem.

- Zabłądziłem - powiedział chłopiec. - Szukam nowego domu, tam, na pogorzeliisku, i trafiłem tutaj.

Przybysz nie odezwał się.

- Byłem zmęczony - wyjaśnił chłopiec.

- Nikt cię nie widział? - spytał tamten szeptem.

- Nie.

- Przychodzisz z zewnątrz...

Nie potwierdziłem, bo nie wiedziałbym, skąd przychodzi.

- Znasz drogę? - spytał znów po chwili bezdźwięcznym głosem, w którym czaiła się paniczna nadzieja.

- Zabłądziłem - powtórzyłem.

Poczekaj na mnie, kazał i wyszedł, wyjrzałem na korytarz, mężczyzny już nie było, poszedłem drogą, którą, jak sądziłem, tu się dostałem, bo nie chciałem ' być w jego rękach, mógł mi nie pozwolić szukać Marty, a znów pragnąłem ją odnaleźć tak, jak nigdy nie pragnąłem niczego. Spazm krępował chłopcu oddech, spazm tęsknoty i strachu o nią. To nie była właściwa droga, niedługo spotkałem ludzi, przylgnąłem do ściany, ale nie zwracali na mnie uwagi, robiło się tłumnie, korytarze poszerzały i pojaśniały, setki drzwi, pomalowanych na różne kolory, ciągnęły się wzdłuż ścian, trafiałem na skrzyżowania, w których sufit ginał w ciemnościach zalegających nad lampami, skrzyżowania obszerne jak place, tam ludzi było najwięcej, łapał spojrzenia mijające mnie obojętnie, zajrzałem do wielkiej hali, w której kilkuset mężczyzn i kilkaset kobiet trwało niemal nieruchomo wpatrzonych w jej koniec, gdzie na podwyższeniu stało dwoje i śpiewało, hala była nie oświetlona, jedynie na podwyższenie skierowano snopy światła, natrafiłem na inną salę, w której trzydzieścioro dzieci słuchałoby kobiety, przechadzającej, się między ławkami, domyśliłem się szkoły, wszedłem znów w korytarze, próbowałem to tych, to tamtych drzwi, wszystkie były otwarte, w pomieszczeniach, na sięgających wysoko półkach, leżały sterty przedmiotów i chodziło tam wielu ludzi, wyjmowali przedmioty, oglądali je i odkładali na miejsce, czasem chowali do kieszeni czy toreb.

I znów korytarze, i znów pomieszczenia, i znów ktoś krzyknął za chłopcem, obejrzałem się, poczekaj, krzyczał, to był inny, jeszcze go nie widziałem, trzydziestoletni mężczyzna o nijakiej twarzy, z workami pod oczyma, poczekaj, powiedziała, choć stałem pokornie, ty leżałeś w pustym sektorze? Wzruszyłem ramionami. Ciebie znalazł Ryszard? Nie wiem, kto mnie znalazł.

- Człowieku, dlaczego nie czekałeś? - wykrzyknął prawie. - Chcesz, żeby cię złapano?

Poprowadził mnie, trzymając za rękę, choć nie zamierzałem uciekać, korytarze, w miarę jak szliśmy, pustoszały, światła było mniej, pojąłem, że wracamy tam, gdzie sowiooki mnie znalazł. Ale weszliśmy do innej klitki, równie ciasnej, lecz bez spania, przy stole siedzieli, w pozach drzemiących, trzech mężczyzn, wśród nich sowiooki, i dwie kobiety.

- Mam - powiedział ten, który mnie przyprowadził.

Zresztą już widzieli, zerwali się radośnie, zwycięstwo, zakrzyknęła kobieta o krwistych wargach, uciszyli ją, siadaj, powiedział ten, który mnie przyprowadził.

Stół zawalony był przedmiotami, których w większości nie znałem. Kształty, kolory, mechanizmy, kółka, sprężyny, spod rupieci wyglądał zegar, ale tarcza była zasłonięta, wyciągnąłem go, bo straciłem rachubę czasu, stał, która godzina?, spytałem.

- Ty wiesz, co to jest? - wykrzyknął sowiooki.

- Zegar?

- Zegar?! Słyszycie - zwrócił się do reszty - zegar?

Na chybił trafił podsuwali mi pod oczy rupiecie leżące na stole, a to, a to?, pytali, nie rozpoznawałem nic znajomego, a to?, zapalniczka, powiedziałem. ^AZapalniczka? Co to jest?

Zapalniczka służyła ojcu jako przycisk na biurku, przycisk do papierów, wyjaśniłem im, rzucili ją na ziemię, przycisk, powiedziała z rozczarowaniem krwistowarga, przycisk.

- A to?

Ale nie znałem tych przedmiotów, urządzeń, tarcz, szybek z wypisanymi na nich słowami i cyframi, nie rozpoznałem już nic, ogołocili stół i niechętnie, rozczarowani, porozsiadali się znów (bo demonstrując rzeczy wisieli mi nad głową, łowiąc słowa z mych ust), nic nie wie, powiedział któryś.

- No, coś niecoś wie - sprostował sowiooki. -

I jest z zewnątrz.

- Musimy się naradzić - szepnął ten, który mnie przyprowadził, i wyszli przez drugie drzwi, dopiero teraz je zauważyłem, ukryte w ścianie, pomalowane jak ściana, sowiooki został ze mną, może lękali się, że znów ucieknę, ale nie zamierzałem uciekać.

- Skąd wiecie, że nie jestem stąd?

- To rzuca się w oczy.

- Nikt na mnie nie zwracał uwagi.

- Tak ci się zdaje. Tu trzeba iść do swoich spraw i nie widzieć nic. Lepiej nic nie widzieć.

- Kto by mnie mógł schwytać? Wy? - spytałem.

Nie odpowiedział, teraz dopiero chłopiec spostrzegł, że tamten z napięciem nasłuchuje, co się dzieje na korytarzu, i że chłopiec mu w tym przeszkadza, ale dla jakichś własnych przyczyn mężczyzna nie chce mu zwracać uwagi. Moje milczenie (a milczałem już, póki nie wróciła reszta) przyjmował z widoczną ulgą.

Z zewnątrz nie dochodziły zresztą żadne szmery, może to był ów opuszczony sektor, nie wiedziałem, nie znalazłbym drogi, tamci wrócili z obrazkami wymalowanymi na błyszczącym papierze i znów mi je pokazywali, na jednym rozpoznałem morze i powiedziałem im, ale nie zareagowali, inne przedstawiały zwykłe, choć nie znane mi, krajobrazy i dziwne budowle.

Potem znów wyszli i chyba się naradzali, a sowiooki mnie pilnował, a może przede wszystkim służył, czy nikt nie nadchodzi, a potem wrócili, i ten, który mnie przyprowadził, oznajmił, że muszą mnie zapoznać z sytuacją i liczą na moją pomoc.

Powiedziałbym, że szukam Marty.

Nie znali Marty, ale ten, który mnie przyprowadził, - zainteresował się, kim Marta jest. Z uprzejmości wyjaśniłem i zabłysły mu oczy. Ty nas wyprowadzisz, powiedział, i tak musisz wyjść, bo ona jest na zewnątrz.

- Na zewnątrz czego?

- Archiwum. Na zewnątrz archiwum.

Wyciągnął rękę ku górze, powiodłem za nią wzrokiem i zobaczyłem metalową tabliczkę z napisem: Archiwum. Palenie zabronione. A przecież zapalili lampę. Powiedziałem im to, spojrzeli po sobie.

Sowiooki szepnął coś na ucho mężczyźnie, który mnie przyprowadził, tamten skinął głową.

- Zaprowadzimy cię tam, gdzie on cię znalazł. Musisz zachowywać się cicho i spełniać polecenia. Inaczej nie wyjdiesz stąd.

- Dlaczego?

- Nie pytaj teraz.

Sowiooki dał znak i znieruchomieli, podszedł do drzwi i nasłuchiwał.

- Idziemy - powiedziałby nerwowo. - Coś słyhać.

Popchnęli mnie w kierunku ukrytych drzwi, sowiooki niósł lampę, popędzał, szybciej, musimy znaleźć.

- Tam się lada chwila zacznie! - zawołała milcząca dotąd kobieta.

- Skąd wiesz? - mruknął któryś z mężczyzn. - Dopiero się skończyło.

- Zatrzymano wczoraj stu ludzi - powiedziała kobieta. - Pod pretekstem, że wiedzą znów.

- Kto?

Parsknęła:

- Podejrzliwi.

- Nie zaczną bez nas - powiedział z pewnością w głosie, nie odwracając się, sowiooki. - Nie mogą. Nigdy bez nas nie zaczynali.

- A czy my jeszcze jesteśmy z nimi? - spytała kobieta. - Przecież minęło parę godzin.

- Niech zaczynają - powiedział ten, który mnie przyprowadził. - Jedyłą szansą jest znalezienie wyjścia. Ale bez nas nie zaczną - dodał, jakby sam siebie uspokajał. - Nigdy tak nie było.

Zatrzymał się, a sowiooki uległ mu i przytaknął także. Nasłuchiwali. Krwistowarga dyszała ciężko. Druga kobieta, ta milcząca, przyglądała się chłopcu.

- Może ty jesteś stąd - szepnęła. - Tylko ci się zmieniło?

- Daj spokój - mruknęła krwistowarga. - Wie to, co nie może się odkryć. Zna nazwy.

Sowiooki poświecił sobie, znalazł chyba przejście, bo zaczął manipulować przy okutych żelazem belkach, rozejrzałem się dopiero teraz, byliśmy w ślepych, krótkim korytarzu.

- Pomóż - mruknął sowiooki.

Zabrałem lampę z jego ręki, szczerknął metal i belki opadły, ukazał się czarny otwór i sowiooki wszedł weń, wyciągnął stamtąd dłoń, lampa, ponaglił, podałem mu, idź, powiedział z tyłu ten, który mnie przyprowadził, a jednocześnie krwistowarga zawołała, a może naprawdę nie ma wyjść i wejść, a może podejrzliwi mają rację, że nie chcą przypominać, a może... Zamknij się, mruknął ten, który mnie przyprowadził, nie musisz iść. Zsunąłem się nieco w dół, chwyciłem równowagę, sowiooki podtrzymał mnie, idziemy, szepnął, ale jeszcze patrzyłem, w ogromnej pieczarze piętrzyły się w górę, w wysokość, której nie dostrzegałem już, bo lampa nie rozświetlała większej przestrzeni, ogromne paki i skrzynie, czarną farbą biegłyby po nich napisy, stanowiące dla mnie zwykły zbiór liter, skrzynie tworzyły własne uliczki, własne kwartały zabudowań - pomieszczenie, wsparte gdzieś filarami, zdawało się nie mieć końca, takich są setki, powiedział sowiooki, bo dostrzegł moje zdumienie, samowystarczające komory zapasów, dodał pouczającym tonem, i setki innych, archiwalnych, bibliotecznych i jeszcze innych. Oko wyławiałoby litery: ich dziwne rozstawienie. Potem znajome słowa: materiał wybuchowy, znałem materiały wybuchowe, rzucaliśmy je do wody, ryby wypływały na powierzchnię, a dalej zagarniała je gęsta siatka, każdej jesieni rzucaliśmy materiały wybuchowe do rzeki, pełno ich było w mocnych pojemnikach walających się w osadzie pod

miastem, w podziemiach, na których stały nie przykryte jeszcze dachem, porosłe trawą i brzoźkami mury przyszłej wytwórni. Ale mury od dawna chyba nie rosły, może okazały się niepotrzebne.

- Po co wam materiały wybuchowe? - spytałem szeptem, a sowiooki gwałtownym gestem nakazał milczenie, i zaraz stanął, ty wiesz, co to są materiały wybuchowe?

- Łapiemy nimi ryby - powiedziałem.

- Ryby? - powtórzył i spojrzał na idących za mną, dostrzegł widocznie ich zniecierpliwienie, bo odwrócił się i poprowadził jeszcze szybciej. Długo później wyszliśmy na korytarz, przeszli kilkadziesiąt metrów, z dali dobiegały głucho, nierytmiczne odgłosy, jakby krzyczało wielu ludzi naraz. Spojrzeli na siebie z niepokojem.

- Mówiłam - szepnęła kobieta. - Przypominają. Znów zaczęli.

Przyjrzałem się jej, zbladła, krople potu spływały na górną wargę.

- Idziemy - powiedział ten, który mnie przyprowadził. - Nic tam po nas. Lepiej wyjść, niż przypominać.

Chłopiec czekał, bez ciekawości i niepokoju. Ale oni szli - i musieli mówić, jakby prowadzili wieczny spór.

Krwistowarga oznajmiła, że rozumie podejrzliwych.

- Jeśliby było wyjście, to lepiej niszczyć.

- Skąd wiesz, co jest za wyjściem? - spytał ktoś, chłopiec nie poznałby głosu.

- Och - westchnęła i wyrecytowała gotową formułkę: - Albo tam wiedzą i to, co znajduje się tu, tam jest niepotrzebne, albo też nie wiedzą i nie należy zwiększać niewiedzy.

- Ale szukamy wyjścia - zaśmiał się sowiooki i zwrócił się do chłopca. - Poznajesz? Tu leżałeś. Za nimi - wskazał najbliższe drzwi. - Jak tu doszedłeś?

- A po co szukamy? - zawołała krwistowarga. Druga kobieta przysunęła się do niej i próbowałaby dłonią zamknąć jej usta. Krwistowarga zabełkotała, ugryzła drugą i odskoczyła. - Może nie trzeba. Może niszczyć, a może przypominać?

Druga kobieta znów się do niej zbliżała, obok czyhał ten, który przyprowadził chłopca.

- Już nie będę - uśmiechnęła się krwistowarga. - Ja tylko tak. Chcę wyjść - dodała, jakby się skarżyła.

Sowiooki kiwnął głową i wyciągnął z kieszeni kawałek kredy.

- Prowadź - zwróciłby się do chłopca.

Nie wiedziałem, dokąd iść. Odgłosy zbliżały się do nas, można było odróżnić pojedyncze krzyki.

- Ruszaj - powiedział sowiooki.

Postąpiłem krok w kierunku hałasów i zawróciłem, wiedząc prawdopodobnie, że się oddalam od wyjścia, poszli milcząc za mną, nasłuchiwali.

Nie rozmawialiśmy, prosili, bym szedł szybciej, byłem zmęczony. Krzyki i hałasy zbliżały się. Powoli, ale stale.

Potem przywarowaliśmy u wylotu czarnego korytarza, takiego, jak ten, którym przyszedłem. Spytałem, czy są podobne. Są, powiedzieli, to ślepe uliczki.

- Takim wszedłem - wyjaśniłbym.

- Prowadź - zażądał sowiooki - ale nie tędy.

Zagłębiłem się w inny korytarz, oni za mną, zakręcał ciągle, wydawało się, w głąb archiwum, a oni milczeli ślepo postępując za mną. Lampa wylaniała ściany pokryte srebrzystymi, grubymi, metalicznymi żyłami, między nimi połyskiwały matowo czarne węże. Przez chwilę jakąś nie słyszeliśmy nic, ale potem znów zabrzmiały dalekie głosy, przeraźliwsze może, choć z początku nie tak donośne jak przedtem. Korytarz załamał się pod kątem prostym, poszliśmy za nim i ujrzeliśmy znów blade światło.

- Ty 'łobuzie - powiedział ktoś cicho.

- Nie ten tunel - szepnął chłopiec. - Zawróćmy.

I zawróciłiby, ale nie trafiliśmy z powrotem, przedtem widać zdarzały się nie zauważone tunele, a w jeden z nich zapuściliśmy się zupełnie świadomie. I znów było światło.

- Prowokacja - zabrzmiał z tyłu ten sam, histeryczny głos, poczułem uderzenie w głowę.

Potknąłem się i oparłem o ścianę, wyminęli mnie, cichnące kroki świadczyły o ich marszu. Przeżony, powinien być przeżony, czepiając się ścian biegłem za nimi. Ostatni pchnął chłopca. Uczepiłem się jego ubrania, powłókł mnie kawałek i odtrącił. Ale byliśmy razem, pozostałem o kilka kroków z tyłu, lecz słyszałem ich i widziałem w świetle lampy, wiedziałem, że ich nie zgubię, tych ludzi, rozmawiali przyciszonymi głosami, dobiegało: - podejrzliwi, zaczęło się. I kilkakrotnie: monada, niech będzie monada. Nogi znów bolały, krążyło w rozbitej głowie, szedłem i nagle krzyki zabrzmiały blisko, znów zabłysło światło, nie naszej lampy, w obszernej, okrągłej sali pokodem leżeli ludzie twarzami zwróceniu ku ziemi, z rękoma przyciśniętymi do uszu, a nad nimi wisiał połyskujący w świetle lamp mleczny, szklany owal, oprawiony w drewniane ramy. Stanęliśmy, wspierałem się na palce, by lepiej widzieć ponad ramionami tych, którzy chcieli mnie porzucić, w owalu powoli przepływały słowa i monotony głos powtarzał je, układając w zdanie: białka są to różnorodne wielkocząsteczkowe związki..., a wtedy z innego korytarza wypadł tłum i momentalnie stratował leżących, tłum wył o tych samych białkach, wrzask rozrywał uszy, rozległy się detonacje, gryzący dym buchnął do sali, owal zaćmił się i zgasł, ci, za którymi tu przyszedłem, stali nieruchomo, a tłum przed nami, zmieszany z tych, którzy przybiegli, i tych, którzy leżeli, kłębił się szukając drogi, uciekajcie, krzyknąłbym i rzucił się w ciemność, a za chłopcem liczny tupot, przystanąłem, przepuściłem ich i znów biegłem, a potem zostałbym sam. W ciemności.

Skądś z daleka jeszcze nadciągałyby chyba odgłosy, lecz łatwo można by je wziąć za przypadkowe szmery, potrzaskiwanie drewnianego stropu, jeśli w ogóle przypuścić, że był tam strop, albo za stukanie mysich łapek;: każdy, kto by tam się znalazł, byłby tam sam tak całkowicie, że powinien zwątpić we wszystko, co się stało w ostat nich godzinach, a nawet wcześniej, nie tylko w sowiookiego i grupę jego towarzyszy, ale na przykład w latawców czy naśladowców, w pogorzeliśko i morze.

Teraz tylko uskoczyć w najbliższy otwór, który musi tu się znaleźć. I cisza. I koniec.

CZEŚĆ III VELVA

7.

Dalej stało światło i najpierw znów chciałem się cofnąć, ale to było światło jasne i żywe: znalazłem się w innym miejscu - nie tam, gdzie spocząłem. Po raz pierwszy ruch chłopca i jego działanie przeniosły i mnie samego i pomyślałem, że może ciągle nim jestem i nie panuję nad ciałem. W snopach blasku wirował kurz, słoneczne promienie spadały z góry, ze szklanego dachu werandy czy chronionego ogrodu. Po opuszczonej na ziemię ścianie wyszedłem na zewnątrz, okrążyłem klomb i zobaczyłem kutą w żelazie bramę. A jednak panowałem nad ciałem.

Spod bramy dostrzegłem miasto. Dokładnie naprzeciw mnie sterczała budowla z metalu i szkła, była daleko, lecz wyraźnie wyskakiwała wielkością nad inne, zaśniły obok niej oddalające się pasma ułożonego równolegle żelaza, najszersza ulica wiodła prosto od budowli do podnóża wzniesienia, na którym stał dom.

Ścieżką szło troje, dwóch mężczyzn w białych koszulach z podwiniętymi rękawami, w szarych spodniach wtapiających się w tło, prowadziło Martę, bosą, w lekkiej kolorowej sukience, zmiętej i znieważonej, rozerwany materiał odsłaniał lewe ramię, pokryte kurzem i krwią. Czekałem na nich u bramy, nie kryjąc się, bo szli bez wahań, miarowo przestawiając nogi i poszarpując dziewczynę za rękę, widzieli mnie.

Zatrzymali się tuż przed bramą, dzień dobry, powiedział wyższy, dotarł pan wreszcie, prezydent wczoraj pana wyglądał. I jakby zaniepokojony spytał - pan do prezydenta, prawda? Stałem naprzeciw nich, byli wyraźnie oświetleni, starałem się zapamiętać ich twarze, ale patrzyłem i na Martę, milczenie trwało, czekali obaj, patrzyłem na Martę, nagle skinąłem głową.

Na odpoczynek, znów odezwał się wyższy, drugi nie przemówił dotąd, podtrzymując dziewczynę; pomyślałem, że upadłaby, gdyby drugi nagle się usunął. Znów skinąłem głową, znad obojczyka Marty, z głębokiego zadrapania pociekała krew, krople zatrzymywały się na zawiniętym rąbku sukienki, materiał nasiąknął potem i wilgocią, niższy puścił rękę Marty, nic się nie stało.

- Co z nią zrobiliście?

- Prezydent mówił, że będzie pan z nami pracował - wyższy nie patrzył na mnie, spoglądał ponad moją głowę, na dom - i niespokojne pragnienie odwrócenia głowy ogarnęło mnie także, wyższy ruszył nagle, postąpił o trzy mechaniczne kroki, wyciągnął dłoń, obejrzałem się, w ogrodzie gromadzili się ludzie, a jeden z nich, w czarnym odzieniu, zbliżał się powoli ku nam, przyjąłem rękę wyższego, co z nią zrobiliście, powtórzyłem, lecz wyższy jeszcze raz rzekł: prezydent był zaniepokojony.

- Już wczoraj dowiadywał się, czy pan przybył - powiedział.

- Co z nią zrobiliście?

Wyższy obejrzał się na dziewczynę, stojącą ciągle w tym samym miejscu, spadła, powiedział, nic groźnego, ale odprowadziliśmy przy okazji.

- Myślałem, że może udało się jej uciec.
- Prezydent się niepokoił - powtórzył jeszcze raz wyższy.
- Coście z nią zrobili?
- Spadła, zaczepiła o coś.
- Obsesjonista - powiedział niższy.

Zignorowałem go.

- To my już pójdziemy - powiedział wyższy, jeszcze raz zajrzał do ogrodu, skinął na drugiego, zawrócili, mówili coś głośno, schodząc.

Marta rozpostarła powoli ręce, brudna, promienna, znalazłam cię, szepnęła, a tamtych już nie było, schodzili i słyszałem zacichające strzępki zdań, za moimi plecami stanął czarno ubrany mężczyzna, nie odezwał się, znalazłam cię, powtórzyła Marta, szukałam przez cały czas.

- A ci?
- Technicy? - spytała. - Wysokie kwalifikacje i konsumpcja - rzuciła tonem ni to lekceważącym, ni to ironicznym.
- Chodź - wyciągnąłem rękę.
- Dokąd?

Wskazałem baraki.

- Nie, pójdziemy do domu.

Może mi się wydawało, ale chyba wzrokiem prosiła mężczyznę, który stał za moimi plecami, o działanie lub instrukcję. Mężczyzna, gdy się obróciłem, obserwował nas. Dalej był dom, czysty i biały.

- To on? - spytał.
- Tak - potwierdziła Marta.

Podał mi rękę.

- Chodźmy - powiedział i poprowadził, jakby spełniał moją prośbę. Długa, czarna marynarka kończyła się w połowie uda. Miał ciemne, przetykane siwizną włosy. Cienki wąs.

Otworzył drzwi i korytarz zaśnił w blasku ukrytych źródeł światła sterylnym błękitem, wspięliśmy się po schodach, mignął w otwartym pokoju owal z kobiecą głową wewnątrz. Głowa poruszała wargami. W domu panowało buczenie i niegłośnie trzaski. Nie wiem dlaczego (przez pamięć chłopca?), unikałem dotykania ścian, pokrytych szarobłękitną farbą, w której przeglądało się światło. Weszliśmy do obszernego pomieszczenia, jego okna patrzyły na strupieszwały las, odwróciłem się szybko, tłumiąc mdłości. Mężczyzna wskazał nam miejsca, dwa stoliki, przytwierdzone do podłogi, obrzydliwie proste i, jak wszystko ledwie wyłonione z ziemi, niemowlęco jasne; nie usiadłem, choć Marta natychmiast podporządkowała się poleceniu, a nawet - ku zdumieniu czy niechęci mężczyzny - wyciągnęła rękę i szarpnęła mnie.

- Siadaj - powiedział mężczyzna. - Siadaj - powtórzył. - Nie stoi się w czasie badania.

Usiadłem więc, napiąwszy mięśnie, gotów do skoku, gdyby stółek zawiódł.

Mężczyzna zastygł w pozie niewygodnej, nadmiernie wyniosłej, i przez chwilę, nie zwracając uwagi na Martę, oglądał moją twarz, a potem moje ubranie.

- Jestem... - zaczął i natychmiast urwał, przez chwilę szukał słów, jakby informacja, jaką chciał mi podać, była nie tylko niepotrzebna, lecz i niebezpieczna. Powieka prawego oka

drgnęła w mrugnięciu, nie przeznaczonym dla nas, mimowolnym, może nerwowym.

- Jako dyrektor - powiedział i znów urwał, ale tylko na niedostrzegalną prawie część sekundy, a potem niedbale poprawił się: - Jako prezydent będę stawiał pytania.

Brzmiało to nienaturalnie, ale nie spodziewałem się naturalności. A Marta, która powinna wiedzieć, co czyni prezydent czy też dyrektor, wydawała się dziwić.

- Kiedy była awaria? Godzina, przyczyna, rodzaj? - rzucił prezydent, teraz już niedbale niemal, jakby przebrnął przez trudną przeszkodę i wreszcie znalazł dalszą drogę.

Marta posłusznie pochyliła głowę i wyrecytowała kilka liczb.

- Jeszcze raz - powiedział prezydent. - To niemożliwe. Wyruszyłaś dziś, o trzynastej, teraz jest szesnasta. Dziś. Skup się.

Nie patrzył na nią.

- Czternasta pięć - rzuciła Marta i spojrzała na mnie ukradkiem. - Start według Wariantu trzeciego, awaria typowa, pierwsza, rodzaj także pierwszy, godzina czternasta pięć.

- Za dużo słów - powiedział.

- Czternasta pięć, trzy, jeden, jeden - powiedziała, spoglądając na swoje ręce, złożone na kolanach, nieruchome i blade. Z zadrapania na ramieniu ciągle sączyła się krew.

- Dobrze. Pójdiesz na przygotowania i rehabilitację - zdecydował. Ciągle nie patrzył na nią, ale gotów byłem przysiąc, że gdyby nie moja obecność, zachowałby się inaczej.

- Przyczyna awarii niezależna od ciebie. Za dużo tych awarii - westchnął i nagle uśmiechnął się do nas.

Był to przyjacielski, porozumiewawczy uśmiech, prawie czuły, ale nie był to uśmiech ojca skierowany do córki (zakładałem czy też powiedziano mi, że Marta to jego córka). Łamiąc oficjalność przyjęcia, wchodząc z nami w układ, który można by nazwać pozasłużbowym, nie zbliżał się do Marty, przeciwnie, oddalał, okazując jej sympatię dyrektorską, pozorną, równie dobrą dla każdego, kogo chwalił lub - po przewinie - ulaskawiał. Marta to rozumiała, bo uśmiech dyrektora wyzwolił jej odpowiednią reakcję, nie córczyną, oddała mu odruch podwładnego, również uśmiech, wymuszony, pełen szacunku i podległości.

Teraz zwrócił się do mnie:

- Kiedy była awaria? Godzina, przyczyna, rodzaj? - spytał tymi słowami, jakimi pytał Martę.

- Nie wiem, o czym pan mówi - odpowiedziałem.

- Przypomnij sobie.

- Wszystko pamiętam.

- Nie denerwuj się, stażysto. Uspokój się, wszystko będzie dobrze. Zastanów się przez chwilę - jego słowa padały jak odmierzone instrukcje. Stał teraz między nami i oknem, nie patrzyłem więc na niego, bo za oknem był las, którego niezrozumiale nienawidziłem. - Należy patrzeć na przełożonego - przypomniał i czekał przez chwilę na moje posłuszeństwo.

- Wszystko pamiętam - powtórzyłem i uśmiechnąłem się do Marty, ale nie zareagowała, z kamienną twarzą spoglądała na dyrektora.

- Czekam - powiedział, a potem, po chwili niedostrzegalnej zwłoki, jakby jedynie pozorom oddawał to, co im należne, przesunął się do drzwi, otworzył je i zawołał.

Na schodach zatopotano, do pomieszczenia weszło dwóch mężczyzn w ubraniach takich,

jakie nosił dyrektor, lecz mimo identycznego kroju, wyraźnie gorszych czy może noszonych z mniejszą godnością. Dyrektor skinął głową, mężczyźni zbliżyli się do nas, stanęli z tyłu i po raz pierwszy poczułem za sobą ręce, choć jeszcze nie wiedziałem - a może wiedziałem, bo chłopiec miał to już za sobą - dlaczego się tam znalazły.

Powtórzył pytania, Marta odpowiedziała bezbłędnie, tak, jak sobie tego życzył, ja raz jeszcze rzuciłem swoje słowa i ręce zbliżyły się, opadły na moje plecy boleśnie i bezosobowo. Ten z tyłu, uderzając, nawet nie odetchnął głęśniej. Krzyknąłem i zerwałem się, a wtedy drugi, stojąc nad Martą, umiejętnie przesunął się i nim zrobiłem pół kroku, ujął mnie, uniósł w powietrze, a potem posadził na stołku z taką rutyną, że nie mogłem się poruszyć. Kilka razy powracały pytania i kilka razy rzucałem moje odpowiedzi, i kilka razy uderzenia, przed którymi nie mogłem się uchylić, spadały na moje plecy. A potem wywrzasnąłem w końcu odpowiedzi Marty, dokładnie je powtarzając, i bicie nie powtórzyło się.

Dyrektor, zadając pytania i wysłuchując ich, oddalił się w przeciwny koniec pokoju i stał tam, oglądając pejzaż za oknem. Teraz wrócił do nas, skinął Marcie, popatrzył na mnie bez gniewu i zniecierpliwienia, z wyrazem twarzy lekarza, który dostrzega poprawę i przyjmuje ją z chłodnym zawodowym rozradowaniem:

- Już lepiej - powiedział. - Coś niecoś sobie przypomina, choć wszystko myli. Przygotowanie i rehabilitacja - zdecydował. - Możecie odejść.

Nie wiedziałem, do kogo to mówił, do nas czy do tych dwóch, stojących z tyłu, ale poczułem, jak mnie podnoszą i fachowo, ale tym razem bezboleśnie, zmuszają do marszu. Marta, gdy mnie pytano, nie uczyniła najmniejszego gestu, a nie mogłem czy nie miałem czasu spojrzeć na nią. Teraz ją zobaczyłem, może pobladła, a może to światło jarzące się skądś spod sufitu mimo mocnego dziennego blasku, wpadającego przez okna, których nie chciałem dostrzegać, zmieniało jej twarz. Nie była teraz ze mną, strużka krwi na jej ramieniu nie była krwią, krew nagle zaczęła kapać z mojego nosa.

Potem wyszliśmy z domu i czteroosobowym orszakiem skierowaliśmy się w dół, na ścieżkę, którą przyszła Marta. Baraki, które mnie tu, jak przypuszczałem, przywiodły, zamknięte teraz i całe, wyglądały na porządne gospodarcze zabudowania. Ominęliśmy klomb, na którym czerwieniły się i żółciły tulipany, zbyt późne na tę porę roku, wstąpiliśmy na ścieżkę i dopiero teraz zrozumiałem, że nie ma rąk za nami, obejrzałem się, dwaj czarni mężczyźni zniknęli, a za nami postępowali swobodnie znajomi technicy, niski i wysoki.

Oczywiście, szliśmy do studia, pamiętałem jeszcze, 'jak przez mgłę, inkrustowane rurki, które widział chłopiec, i pytania, i odpowiedzi, i uderzenia w dłonie - przygotowywałem się do nowych rąk, czających się z tyłu, i byłem zdecydowany zrobić to, co mi każą.

Przemierzaliśmy znaną mi drogę, której nigdy nie widziałem (ale widział ją chłopiec), przypominałem sobie ucieczkę, bieg dziewczyny, Marty, strupieszały las, w którym zagłębiłem się (zagłębił się chłopiec) po to, by go na zawsze znieawidzić, bo ten las nie rósł już, a został uśmiercony - podejrzewałem, że przez ludzi, mieszkających w tym mieście.

Studio, wielka hala w budynku, którą widział chłopiec, nie zaskakiwało. Pudełka na trójnogach, opatrzone prostokątnymi rurkami ze szkłem w środku, skierowały się ku nam, gdy weszliśmy, i w licznych jarzących się okienkach dojrzałem z dala nasze sylwetki, Marty, moją i obu techników, którzy kroczyli już tuż za naszymi plecami. Przy pudełkach inni technicy

(poznawałem po białych koszulach i szarych spodniach), pochyleni nad nimi, trwali w skupieniu, którego nie przerwało nasze wejście. Zwrot pudełek, ich skierowanie w naszą stronę przyjęli spokojnie, postępując i kryjąc się za nimi, powodowani tłustymi rogami, między którymi tkwili.

Technik, ten niższy, zatrzymał mnie. Martę poprowadzono dalej - zniknęła po chwili wśród oślepiających świateł, zajmujących dalszą ścianę studia.

- Studio pracuje - szepnął niski technik z takim zachwytem, że zapomniałem o niebezpieczeństwie i obejrzałem się, by go zobaczyć. Uderzenie, natychmiastowe i nieomyślne, zwróciło mnie znów ku środkowi sali. - Studio pracuje - powtórzył technik, tym razem rozkazująco.

Następne dni spędziłem w wewnętrznych pomieszczeniach studio. Prowadzony, pytany i karany na przemian przez niższego i wyższego, przez techników, którym z bezwzględny posłuszeństwem ulegali stale, a może na czas tego tylko zadania, inni, odpowiadałem coraz precyzyjniej, wyszukując odpowiedzi na chybił trafił, z wiadomości szkolnych, z tego, co zasłyszałem od Marty, z mimiki obu mężczyzn. Zauważyłem szybko, że kary - wyłącznie cielesne, nigdy takie, jakie stosowano w moim mieście - spotykały mnie wówczas, gdy poddawałem w wątpliwość moje pochodzenie z tego miasta, z Velvy. Bo oni uważali, że jestem mieszkańcem ich miasta, że tu się urodziłem, że tu żyli moi rodzice, którzy zginęli w jakiejś katastrofie (ale i to jakoś wiedziałem, pamiętając o chłopcu, więc szybko zrozumiałem, że na życie chłopca, niby moje, a obce mi, mogę się powoływać prawie bez lęku), a mój upór, moje pomyłki i błędy to tylko skutki awarii, w której ucierpiała moja pamięć i psychika.

Pamiętasz?, pytali. I odpowiadałem, że pamiętam, choć nie zawsze moja pamięć ich zadowalała. I jeszcze spostrzegłem, że chodzi im w tym samym stopniu o to, bym przypomniał sobie moją przeszłość z Velvy, moje dzieciństwo i rodziców, przynajmniej w ogólnych zarysach, jak i o to, bym powiedział, co wiem dzięki temu, że moja pamięć opróżniła się i została zapełniona przez fantomy wyobraźni, bo tak nazywali moją przeszłość, moje miasto, wędrówkę i poszukiwania chłopca. Nie, nawet nie chcieli, bym przypomniał sobie Velwę, bym na nowo zapełnił pamięć treścią przeszłości z Velvy, chodziło raczej o to, bym niby przypominając sobie, zapoznał się, natrafił - przez próby i błędy (natychmiast karane) - na prawidła rządzące Velwą, miałem na nie natrafić, by w Velvie żyć jako stażysta, któremu nada się imię, a potem jako dorosły, który nigdy z Velvy nie wychodził. Bo nikt nigdy z Velvy nie wychodził i nikt w konsekwencji nie mógł do niej powrócić. Pomijam latanie.

Próbowałem i myliłem się. Wyrzywany ze snu, o najróżniejszych porach, przez jednego z techników, tego, który miał dyżur, lub tego, który był dostatecznie gorliwy czy ciekawy, stawałem przed pudłami, reagującymi na każdy mój ruch, w tej sali, której jedna ze ścian nieustannie oślepiła źródłami światła silniejszymi od słońca i gorętszymi od ogniska, ignorowany przez techników obsługujących owe pudła i inne urządzenia i poddany surowej troskliwości niskiego i wysokiego. Wszedłem w rutynę, dobierałem odpowiedzi coraz ostrożniej i precyzyjniej ku niezadowoleniu - chcieli słyszeć i karać moje pomyłki - pytających, na te same pytania odpowiadałem stale tymi samymi słowami, wywołując nieopanowaną złość niskiego i chłodną furię wysokiego, opowiadałem im fragmenty naszych praw, ale fragmenty starannie przesiane i przemyślane - bo, gdy odprowadzali mnie na krótki

odpoczynek, nie znikalem natychmiast, a przemyśliwałem nad taktyką, a potem nie rozpraszał mnie swym pojawieniem się chłopiec, bo wyszedł na długo z godzin leżenia i odpoczynku. Gdy Wstawałem, brutalnie wrywany z bezwładu, nie zawsze panowałem nad ciałem. Może dlatego, choć to prawie z punktu widzenia mojego miasta bluźnierstwo, miałem kłopoty z ciałem, że chłopiec nie przeżywał w ciągu tych godzin nic, ani chłopiec, ani ci, którzy czasem, kiedyś, w dzieciństwie często, a potem coraz rzadziej, pojawiali się zamiast niego: rodzice, dziadek, koledzy, znajomi, obcy, potworni i niekształtni.

Uczyłem się, ale coraz częściej technicy wręcz przeszkadzali w uzupełnianiu koniecznej wiedzy, kierując swe pytania i moje odpowiedzi na coś, co nazywali błędami, a co było cząstkową informacją o mojej wiedzy i o moim mieście. Próbowałem ich podchodzić i - odpowiadając zgodnie z przedstawieniami Velvy - rozwścieczyć, by przywoławszy uderzeniami do porządku naprowadzili mnie jednocześnie na to, co chciałem poznać.

Lecz to przyspieszyło tylko (na szczęście?, tak myślałem wówczas; niestety, tak myślałem w dwa dni później) koniec pobytu w studio. Zaczęli sprawdzać, powtarzali raz jeszcze rzeczy, które wyjaśniałem już wielokrotnie, coraz częściej wysoki, który nazywał się, jak kiedyś wymruczał po wskazaniu go palcem, Edward (imienia niższego nie poznałem, bo pytać mi nie było wolno, a eksperymentu ze wskazaniem wołałem nie powtarzać), coraz częściej Edward pojawiał się jednocześnie z niskim i pytał, a niski, przymknawszy oczy, w pozie najwyższej koncentracji, bezgłośnie powtarzał moje słowa, zapamiętując je, miałem się o tym przekonać, bo później w obecności dyrektora recytował moje długie frazy, naśladując nawet brzmienie mego głosu, ba, nawet niedostrzegalne gesty, mimowolne ruchy, jakby i one - tu niezupełnie się mylił, choć nie mógł tego wiedzieć - niosły dodatkową informację.

Ostatnie przesłuchanie, lekcja, nauka trwało szczególnie długo. Pozwolili mi naprawdę odpocząć, tak dobrze, że pod koniec widziałem, jak chłopiec zbliża się do Marty wśród nocy, na nieznaną równinę, tyle godzin, że samodzielnie wstałem i panowałem nad ciałem, i ciągle jeszcze wolno mi było odpoczywać, byłem sam w niewielkim pokoju, w którym stało tylko spanie, niskie, proste, na rachitycznych nóżkach, wolno mi było odpoczywać i przygotowywać się, a potem niepokoić.

Przyszli wreszcie, obydwaj, zmaterializowali się w odskakujących na obie strony z głuchym odgłosem drzwiach, w swych nieodzownych biało-szarych uniformach, także wypoczęci i tym razem wnoszący do pokoju niewyraźną atmosferę koleżeństwa, natychmiast wzmocnioną przez Edwarda:

- Będę twoim wujem - powiedział i szturchnięty niedbale przez niskiego, poprawił się szybko: - Zapomniałem ci powiedzieć, że jestem twoim wujem.

Przeszliśmy korytarzami, które znałem na pamięć, niskimi i tunelowymi, przypominającymi to baraki, z których wydostałem się do Velvy, to znów nieudane poszukiwania chłopca w labiryncie archiwum, ale jednak na pewno nie tymi samymi, tu ściany nie ukrywały ani tajemnicy (co najwyżej nie znane mi pomieszczenia albo urządzenia), ani nie tchnęły opuszczeniem martwych odnóg baraku (bo za nimi na pewno byli ludzie). Studio, oświetlone tego dnia mniej ostro, by niski mógł się skoncentrować w najwyższym stopniu (tak mi wyjaśnili' choć nie wierzyłem, że niskiemu potrzebne były specjalne warunki do koncentracji), studio wydawało się mniejsze, w jego krańcach cienie, nakładające się na siebie

z różnych stron, tworzyły zgęstki prawie czarne, może ktoś w nich się krył, ktoś, kto chciał na własne uszy usłyszeć i na własne oczy zobaczyć, co będę robił i mówił. Techników też było mniej, pracowały jedynie dwa pudła, i to nie jednocześnie, a na zmianę, rozumiałem już, że jest to transmisja nie do przekazu, a do zapisu, choć nie wiedziałem - i nie dowiedziałem się - na czym polega przekaz i czym różni się od niego zapis.

Posadzili mnie łagodniej niż zwykle, nawet z rezerwą, wprawdzie nie okazaną bezpośrednio, ale znów - wyczuwalną, wiszącą w powietrzu, które tym razem poruszało się chłodząc przyjemnie i pachniało lekko. Rozejrzałem się, ale nie dostrzegłem Marty, która czasem, na początku, pojawiała się w studio jednocześnie ze mną, ubrana w nowy strój, jaskrawy, dziewczęcy, i siedząc w dużej odległości też odpowiadała, i czasem, ale rzadko, bardzo rzadko, przyjmowała razy, a raczej szcutki, łagodne upomnienia w porównaniu z tym, co robili ze mną. Nawet widząc, jak ją klepią, nie próbowałem interweniować, bo to było nic, to było nic, choć dawno temu, w widzeniu chłopca, to nic wydawało mi się monstrualnym okrucieństwem. Tak jak mnie bili, jej nie uderzyli nigdy, a przecież nie czułem nienawiści także do tych, co bili mnie. Znów, po jednym czy dwóch przesłuchaniach, kiedy to po każdym uderzeniu rwałem się do odwetu i, unieruchamiany z ręcznie, obrywałem jeszcze mocniej, przyjąłem, że karzą mnie dla mojego dobra, a przynajmniej, że są o tym przekonani. Przyzwyczailem się przyjmować kary jako nieuchronny odwet za nieuchronne błędy, a nie jak zemstę za nieudolność, którą okazywałem. Nie technicy, wysoki i niski, mnie karali, a prawo czy obyczaj. Nie oni, a konieczność. I jeśli ich ręce wymierzały uderzenia, to te ręce nie odczuwały przyjemności, przeciwnie, ileż razy, gdy wiedziałem, że powinny uderzyć, nie uderzały, łamiąc owo własne prawo czy własny zwyczaj. Pomagały mi - ze swojego punktu widzenia, przestępczo.

Marty nie było, ale nie było jej od wielu przesłuchań czy lekcji.

Niski usiadł niedaleko mnie tak, by mógł widzieć moje usta, twarz, tułów i ręce, wpił się we mnie, skupiał, dał znak wysokiemu, który cofnięty nieco, w nie tak jasnym dziś świetle, wydawał mi się tylko obrazem, podobizną, a nie prawdziwym Edwardem, a tym bardziej prawdziwym wujem.

- Imię - spytał wysoki.

Zawahałem się, bo dotąd nie zorientowałem się dobrze, kim jestem: Celesem, Janem czy Tomaszem, to dziwne, ale czasem bili mnie za wypowiedzenie imienia, zresztą któregośkolwiek z tych trzech, a czasem wręcz żądali, bijąc za inne, użycia jednego z nich, jakby sprawdzając, które najbardziej pasuje.

- Jan - powiedziałem. - Potem Celes. Nazywany Tomaszem. Chłopiec o trzech imionach.

Niski bezdźwięcznie powtórzył moje słowa.

- Dlaczego używasz trzech imion? - to było zupełnie nowe pytanie, ale i nowa była moja odpowiedź, która je wywołała.

- Imię jest konwencją - powiedziałem. - Można je przyjąć lub odrzucić, istotny jest człowiek, a nie nazwa.

- Dlaczego?

-• Imię nie wpływa na człowieka.

- Jeśli nie ma imienia - powiedział Edward, powiedział, a dotychczas jedynie pytał - nie

ma człowieka. Imię nadaje człowiekowi sens i prawo bytu.

- Człowiek nie musi mieć prawa do istnienia. Nie. Człowiekowi nie można odmówić prawa do istnienia, bo skoro jest, to ma prawo być - zawahałem się, bo była to wypowiedź nieudolna, i czekałem na ruch Edwarda, na jego zbliżenie się, na uderzenie, karę, czekałem nieporuszony, bo już nauczyłem się nie kulić i nie bronić, nie miały sensu przygotowania do zmniejszenia bólu, zawsze był tak wielki, jakim miał być. - Kto istnieje, nie potrzebuje na to sankcji.

- Jako Jan jesteś kim innym niż jako Celes. Jako Celes kim innym niż jako Tomasz. Nie rozumiesz tego?

- Wydaje mi się, że uważasz, iż do każdego imienia przypisany jest jakiś życiorys. To znaczy nazywając się Tomaszem nie mam prawa powoływać się na życiorys Jana, choć go znam, choć go stworzyłem i przeżyłem? - chyba pytanie zabrzmiało tym razem w moich ustach, ale Edward nie poruszył się, a niski obojętnie, ze zwykłym skupieniem bezgłośnie powtarzał moje słowa.

- Tak.

Odpowiedział, więc spytałem znów.

- To nie jest przygotowanie?

Nazywali to, co dotychczas robiliśmy, przygotowaniem. Rządziej nauką.

- Nie.

Zaprzeczył, ale nie wyjaśnił. Z ciemności, z prawej strony, gdzie cienie były najgłębsze, dobiegł bezdźwięczny śmiech, ale nie zobaczyłem tam nikogo. jj

- A co?

Zawahał się, pomyślałem, że będzie mnie bić, ale odpowiedział, sucho, jakby pod przymusem (który może i krył się w cieniu).

- Rehabilitacja. - I natychmiast, przecinając moje kolejne pytania, rzucił: - Co jest celem świata?

Nauczyli mnie, że celem Velvy jest ekspansja, ale nauczyli mnie też (o czym i wcześniej dobrze wiedziałem), że Velva nie stanowi całości świata.

- Ekspansja - powiedziałem, myśląc o Velvie - i przyjęcie ekspansji - powiedziałem, myśląc o reszcie.

Kazał mi powtórzyć, bo przedtem, zanim nauczyłem się mówić o ekspansji, wygłaszałem inne zdania. Powtórzyłem. Wtedy sformułował pytanie inaczej, odwołując się po raz pierwszy do wcześniejszych seansów przygotowania.

- Powtórz, co mówiłeś podczas poprzednich nauk.

- Mówiłem, że celem świata jest wzrost. Mówiłem, że świat jest młody i chętnie czyni wiele.

- Dlaczego?

- Mówiłem, że odkąd zapanowały nasze czasy, wszystko formuje się na nowo. Inne czasy zostawiły po sobie gotowość do zmian.

- Jakie były inne czasy?

- Mówiłem, że inne czasy są niepoznawalne, ale prawdopodobnie ich koniec był podobny do naszych czasów, bo okres innych czasów ciągle się przesuwają, raz przybliżając do nas, raz

oddalając, zależnie od tego, jak daleko sięga pamięć żyjących.

- Ale co było przedtem?

- Inne czasy.

Zamilkł i przez chwilę prawie słyszałem niskiego technika, który siedząc bezwładnie, wlepiwszy we mnie spojrzenie, powtarzał ostatnie zdania. Edward obejrzał się jeszcze raz w stronę cieniów, jakby czekając na instrukcje w sytuacji, której nie przewidział albo nie rozumiał, ale tam panowała pustka i cisza.

- Jaki wzrost jest celem świata?

- Może przyjęcie ekspansji - powiedziałem. Nie rozumiałem tego słowa, ale natknąłem się na nie w jakimś pytaniu, nie pamiętam, zadany przez niskiego czy wysokiego, natknąłem i uchwyciłem, jak się okazało z ręcznie.

- Nie - zaprzeczył i natychmiast spytał: - Skąd przybyłeś?

- Nie wychodziłem - odparłem, zgodnie z nauką, jaką mi wpoili, ale znów wydało mi się, że dziś chcieli, bym odstąpił od tego, co zapamiętałem w studio, i bym był dawnym Janem, jeszcze nie rozumiejącym, czego od niego chcą i jak ma odpowiadać.

- A jeśli byś wychodził?

- Nie mógłbym wrócić.

Przez chwilę dał się ponieść rytuałowi, który sam wprowadził, i z lubością czy może podziwem dla własnego rzemiosła napawał się tym, co ze mną zrobił podczas długiej nauki.

- Mogłeś opaść poza granicami, latając.

- Wówczas też bym nie powrócił, bo z Velvy nie ma wyjścia, a więc nie ma do niej powrotu.

- Latałeś?

- Miałem latać. Aparat uległ awarii w czasie startu, a powtórna próba jest niepożądana. Mam już wszelkie prawa mężczyzny.

Pokazywali mi kilka lekcji wcześniej szczątki maszyny, na której jakoby miałem startować do lotu.

Była to konstrukcja drewniana, obciążnieta w wielu miejscach porwaną teraz błoną. Listwy, wsporniki, skrzydła i kadłub - kazali mi się nauczyć tych nazw - nie zniosły podobno obciążenia (może dopuszczono błąd konstrukcyjny, powiedzieli) i połamane, zwieszały się na błonie, którą chyba miały podtrzymywać. Było to urządzenie wręcz śmieszne, zabawka, ale podobno mogło latać, i po krótkim namyśle, z którego się nie zwierzyłem technikom, musiałem przyznać, że przypominało stwory, które widziałem nad łąką z latawcami.

- Dobrze - powiedział Edward. - Dlaczego nie ma wyjścia?

- Na wschodzie jest morze, a obok niego pogorzelska, na północy zona, na południu także morze, na zachodzie znów zona, która styka się z morskim brzegiem.

- Co jest za północną częścią zony?

- Nie wiadomo.

- Czy zona jest skończona?

- Prawdopodobnie tak. Pogorzelska się kończą, zbadano to przy pomocy szybowców. Zona także musi się kończyć.

- Co jest za pogorzelskimi?

- Miasto naśladowców - powiedziałem i uprzedziłem następne pytanie, bo jego znudzone zadowolenie było już zbyt długotrwałe: - Udają, że latają.

Ale Edward nie ustąpił, spytał, dlaczego tamci są naśladowcami, musiałem powtórzyć odpowiedź. Potem, stosując zwykłą kolejność, kazał mi mówić o kierunkach ekspansji (przyjmie się ten kierunek, który będzie najdogodniejszy, najdogodniejszy będzie ten kierunek, na którym znajdzie się przejście, umożliwiające wyjście z Velvy i powrót); o strukturze Velvy (na szczycie prezydent zwany dyrektorem, potem technicy, wreszcie szarzy obywatele, ale to się łatwo zmieniało, jedynie prezydent pozostawał ten sam); o zadaniach mieszkańców (bronić się przed błędami, ale dostrzegać szansę, jaką niosą, meldować o błędach i karać ich popełnianie, ale wykorzystywać je także, przypominać sobie wszystko i pomnażać wiedzę - lecz to był pusty zbiór słów i wyrecytowałem go bez jakiegokolwiek intonacji, nigdy nie usiłowałem mu się sprzeciwić, tak był bezsensowny).

A potem jeszcze raz spytał, co jest za północną częścią zony, ale odpowiadając na poprzednie pytania przygotowałem się - przypuszczałem, że wróci do tego jeszcze raz i jeszcze raz wykonałem unik.

- Brak danych - odpowiedziałem zgodnie z ich wiedzą.

Technik nie ustąpił, popatrzył w stronę cieni, jakby jeszcze ciągle oczekując pomocy, lecz tym razem zrezygnował z nich natychmiast. Może siedziała tam tylko Marta, która prawdopodobnie, ucząc się i rehabilitując, wyznała, że myli się, przypuszczając, iż wylądowała w kielichowatej dolinie i spotkała mnie, myli się, sądząc, że dolina znajdowała się na zachód od miasta naśladowców, myli się, przypuszczając, że ja nie pochodząc z miasta naśladowców, pochodzę z innego miasta, znajdującego się za północną strefą zony. Musiała im powiedzieć o swoich pomyłkach, a technicy umieli liczyć i znali przecież kierunki. Z cienia nie wydobył się i teraz ani człowiek, ani dźwięk, nie przyszła pomoc i technik raz jeszcze zwrócił się do mnie, inaczej formułując pytanie.

- Jakie mogą być fałszywe dane dotyczące obszaru leżącego za północną częścią zony?

Wierzył w mój błąd, wierzyli w mój błąd, jego zwracanie się ku ceniom materializowało dwuznaczną atmosferę wiszącą wokół nas - nawet niski, czekając na odpowiedź, nie odrywał ode mnie spojrzenia, przybliżył się - i gdybym jeszcze raz powtórzył, że brak jest danych, oni, on powtórzyłby z kolei pytanie, a może uderzyłby, a może sprowadziłby wreszcie pomoc, skoro nie nadeszła na bezgłośnie prośby.

- Można by się mylić, twierdząc, że jest tam kraj zamieszkały - powiedziałem niechętnie.

- Jaki?

- Inny niż Velva.

- Lepszy niż Velva? - spytał, a choć pytał tylko, niski poruszył się niespokojnie, bo Edward otarł się o zdradę.

- Velva ma ideę - uchyliłem się od najprostszej odpowiedzi.

- A więc gorszy?

Musiałem to przyznać i wybierałem słowa swojej klęski, a raczej, tym razem, mojej prywatnej zdrady. Nie mogłem powiedzieć, że moje miasto jest gorsze., mimo wszystko nie chciałem tego powiedzieć.

- Velva jest najlepsza.

- Czy tam mogłoby być miasto?

- Błąd - powiedziałem, znów unikając odpowiedzi wprost, a on to zauważył i ucieszył się z moich wykrętów, bo chyba i na nie czekał, skoro nie mógł spodziewać się bezpośrednich wyznań - jest zdolny do wszystkiego. Może przedstawić wszystko.

Przytaknął i znów przez chwilę milczał, jakby układając następne pytania, choć wydawało się to nieprawdopodobne: musiał mieć plan rehabilitacji wypracowany wcześniej, wykuł go na pewno na pamięć, a pauzy leżały w programie. Zastanawiała mnie ta precyzja działania wobec niedokładności ich języka, choć w tej niedokładności znajdowali wyraźną przyjemność, bo pozwalała na różnorodne interpretacje.

- A zatem mogłoby tam -być i miasto - skonstatował. I ze swą zadziwiającą logiką spytał:

- Jakie miasto?

- Nieokreślone - powiedziałem, ale to go nie mogło zadowolić, więc dodałem: - Duże lub małe, ładne lub brzydkie, zamieszkane lub nie zamieszkane.

Skinął głową, zbliżył się, wybierając najbardziej interesującą z możliwości.

- Czy jest zamieszkane?

- Zgodnie z logiką błędu może być zamieszkane - powiedziałem - albo zamieszkane częściowo, albo nie zamieszkane, albo zamieszkane przez zwierzęta.

Nie bili mnie, więc zacząłem się bawić, ale Edward nie dał mi czasu na kontynuację.

- Ku czemu skierowana jest ekspansja? - spytał.

- Ku ludziom.

- Dlaczego?

- Tylko ludzie pojmują idee. I tylko Velva ją ma.

- Czy ekspansja ku miastu za północną strefą zony jest celowa?

Zastawił pułapkę, bo na takie- pytania mogła być tylko jedna odpowiedź, nauczyli mnie tego boleśnie.

- Ekspansja jest zawsze celowa.

- A więc miasto musi być zamieszkane, prawda? - rzucił i z tryumfem, nie mogłem się mylić, skinął ku cieniowi.

Milczałem. Powtórzył pytanie, a niski wstał i nie mamrotał już bezgłośnie, nawet nie patrzył na mnie, a podsunął się z boku i znów wyczułem ręce za sobą, a więc - choć nie było to przygotowanie, a rehabilitacja - gotowi byli mnie bić.

- Tak - powiedziałem.

Edward westchnął, przetarł czoło, dopiero teraz widać było, jak się denerwował. Bruzdy na jego długiej twarzy, wygładzone światłami padającymi z różnych stron, ukazały się nagle - gdzieś wygaszono część źródeł.

- Możesz nazywać się Janem - powiedział.

- Nie chcę! - krzyknąłem.

- Będiesz nazywać się Janem - powtórzył, a niski, znów pojawiwszy się w polu mojego widzenia, energicznie potwierdził.

- Czy muszę? - spytałem, niepotrzebnie, bo przecież usłyszałem decyzję.

- Tak - przytaknął i objął mnie długimi rękami. - Jestem twoim wujem - szepnął zbliżając usta do mych oczu, ale zachował minimalną odległość. - Już po wszystkim - szepnął jeszcze

ciszej i jego smutne, rozumiejące spojrzenie przesunęło się po mej rozpaczy.

Przyjęli, że życiorys Jana, który traktowali jak fantom, może - stanowiąc wymysł - być naprawdę moim, a więc milcząco założyli ewentualne istnienie dalekiego miasta, które powinno, jeśli znajdzie się droga, poddać się ekspansji idei.

W dzieciństwie marzyłem o tym, by zostać lekarzem. Często, w czasie wolnych godzin, wystawałem pod domem Stanisława i obserwowałem chorych, którzy przychodzili po poradę, starając się z wyrazu ich twarzy odgadnąć rodzaj cierpienia, albo gdy Stanisław prędkim krokiem opuszczał dom i z walizką w ręku spieszył dawać pomoc, przemykałem za nim, prawie niezauważalnie, prawie, bo widział mnie, choć udawał, że nie dostrzega, a potem czekałem przy drzwiach domu pacjenta, aż lekarz wyjdzie, i wówczas z jego miny odczytywałem, czy pomógł, czy też zawiódł. Kiedy podrosłem, Stanisław często rozmawiał ze mną, zgadując marzenie, i choć nie pytał mnie o nie (bo nie wolno mi było jeszcze planować), mimochodem rzucanymi uwagami, pouczeniami, wiadomościami starał się podsycać zainteresowanie, bo prawdopodobnie od dawna szukał następcy. Był jedynym lekarzem w strefie.

Z czasem opanowałem przynajmniej lekarski żargon, a nawet, przypuszczałem, umiałbym rozpoznać i wyleczyć prostsze przypadki. Stanisław starał się, toteż kiedy trafiłem do wyższych klas szkolnych, pod pozorem korepetycji - szybko to pojąłem: pod pozorem, bo korepetycji nie potrzebowałem - przychodził po południu do internatu i zabierał mnie do którejkolwiek z pustych pracowni, a potem, niby przerabiając program biologii i innych nauk o przyrodzie, wsączał we mnie lekarskie, medyczne wiadomości. Nauczył mnie tak wiele, że po skończeniu szkoły i po wędrówce miałem pójść do niego - ale o tym się nie mówiło - i rozpocząć praktykę, skróconą, bo wiedzę teoretyczną opanowałem prawie całkowicie.

Gdy zachorowała babka, Stanisław przychodził do naszego domu i wzywał mnie, bym podawał lekarstwa i opatrunki, sprawdzał mnie, a ja też się sprawdzałem, zawsze wiedziałem, co podać, kiedy, w jakiej kolejności, wiedziałem, zanim poprosił, wiedziałem, jak trzeba opiekować się babką, ale wiedziałem też, że babka umrze. Może, gdyby mi było wolno siedzieć przy niej i usługiwać, kiedy Stanisława nie było, potrafiłbym przedłużyć jej życie o kilka tygodni, choć nie umiałbym jej uratować. Ale nie mogłem nic zrobić ani o tym mówić, właściwie nie powinienem o tym myśleć. A później babka przestała istnieć i nie było okazji do analizowania jej przypadku, choć Stanisław - podczas jakichś korepetycji - przytoczył hipotetyczny przypadek chorobowy i patrząc niezręcznie ponad moją głowę wymieniał objawy, jakie były widoczne u babki, i zastanawiał się, jak można by je leczyć, a ja odpowiadałem prawidłowo. Ale nie powiedzieliśmy sobie, że mówimy o babce, bo babka już umarła, a więc i nigdy nie istniała, przestała istnieć w naszej przeszłości, kiedy wyniesiono z domu i spalono to, co było martwym ciałem. Kryła się niezręczność w sytuacji Stanisława, który leczył, a gdy nie mógł wyleczyć, gdy pacjent umierał, okazywało się, że nie leczył i że pacjenta nie było. Wrywano w ten sposób staremu lekarzowi jego własne życie, bo nie mógł pamiętać godzin spędzanych przy umierających, a tych godzin, gdyby istniały, mogłoby być w jego życiu sporo, a skoro nie miał czego pamiętać, żył z przerwami i krócej. Może dlatego tak długo nie znajdował kandydata na następcę. Nikt nie chce niknąć, nie być lub być w większej

niż to nieuniknione zależności od innych ludzi, od tego, czy żyją, czy nigdy nie istnieli. A jego dotyczyło owo bycie i niebycie w stopniu ogromnym.

W czasie lekcji czy przygotowań - ciągle waham się, jak nazywać posiedzenia w studio - napomknąłem o mojej, hipotetycznej i zrodzonej z błędu, wiedzy lekarskiej, toteż kiedy nadano mi imię Jana, nie zdziwiłem się, że konsekwentnie pozwolono mi (w rzeczywistości kazano, choć w Velvie rozkazów nie wyrażano słowami, usłyszałem jedynie od prezydenta: - Pozwalam ci leczyć) być lekarzem. I przydzielono pacjentki; - na próbę, jak powiedział prezydent, ale to nie była próba, bo to była realizacja planu, wcześniej ułożonego i teraz wcielanego w życie, planu sprawdzenia mnie albo wykorzystania, nie wiem, planu ułagodzenia albo pilnowania.

Rehabilitacja skończyła się tak nagle, zbliżeniem Edwarda do mnie, szeptem, nadaniem imienia, że przez chwilę nie wierzyłem jeszcze w wydostanie się ze studia, oczekiwałem, że powiodą mnie znów do niewielkiego pomieszczenia z samotnym spaniem. Ale Edward kazał mi wstać i poprowadził, a niski pożegnał nas nikłym skinieniem, zagłębiany już pewnie w repetycję tego, co powiedziałem, w utrwalanie moich słów i gestów. Znów szliśmy korytarzami oświetlonymi zbyt ostro, a potem zacząłem poznawać: okrążyliśmy studio, weszliśmy do niego od drugiej strony i znów ujrzałem przed sobą ścianę blasku, pudła i człowieka, którego pytano (a więc zdarzyła się kolejna awaria, znów ktoś powrócił spoza Velvy, to znaczy zdawało mu się, że powrócił), rozpięły się drzwi i krótkimi schodami podążyliśmy do wyjścia.

- Zamieszkaż u mnie - powiedział Edward, ale mylił się, bo przed budynkiem czekało już dwóch czarno ubranych mężczyzn i bez słowa poprowadzili nas w stronę domu prezydenta, ulicami, a potem ścieżką pod górę. Weszliśmy tam, ominęliśmy klomb, na którym zieleniały pędy, jeszcze bez kwiatów, tulipany zwiędły, spojrzałem na baraki, które były szopami gospodarczymi, zamkniętymi na głucho i utrzymanymi w bezwzględnym porządku, przemierzaliśmy schody, uczepione jednej ścianie, lśniły ukryte źródła światła w szarości tej ściany, słyszałem trzaski i buczenie, i czysty, wysoki gwizd, weszliśmy do gabinetu, i raz jeszcze (a później wiele razy) nie patrzyłem w okna, za którymi stał uśmiercony las, a prezydent, stojąc za biurkiem, przyjął nas etykietalnym uśmiechem i wskazał miejsca - tym razem były to wygodne fotele. Czarni wyszli. Edward i ja usiedliśmy, prezydent zbliżył się do nas i zaczął mówić, poruszały się tylko usta, jakby jego twarz, przepołowiona wąsami, obdzielała dwóch ludzi, tego, który wydaje dźwięki, witając mnie serdecznie, i tego, który patrzy, oceniając, a może nawet nie widząc.

- Witam cię, Janie - powiedział, sankcjonując moje imię, ale to musiało być uzgodnione wcześniej.

Skłoniłem się, siedząc.

- Pozwalam ci leczyć. Zostaniesz tu na razie, ze swoim wujem - nie patrzył na Edwarda, a i potem miał go nie dostrzegać. - Na razie. Czy czegoś potrzebujesz?

Było to pytanie retoryczne, powinienem zaprzeczyć, ale zażądałem narzędzi. Nie okazał, że dostrzega naruszenie etykiety, skinął głową, podszedł do drzwi i zawołał, wszedł czarny z torbą lekarską w rękę, ta torba niczym nie różniła się od walizki Stanisława.

Potem wskazano nam pokój, nam, bo miałem mieszkać z Edwardem. Dwa spania,

identyczne, jakby podkreślające, że w hierarchii Velvy jesteśmy równi, choć okazało się wkrótce, że przeznaczono mi w przyszłości wyższe niż Edwarda stanowisko, dwa krzesła i stół pod oknem, to było całe umeblowanie pokoju. Mieścił się niedaleko od gabinetu, na piętrze, na piętrze też przebywała pacjentka, była nią Marta.

Wskazano nam pokój i umywalnię, kazano przygotować się do obiadu - Edward długo oglądał, stojąc półnagi w naszym pokoju - swój strój i usiłował wygładzić go, wyprostować, aż do chwili, w której bez pukania wszedł jeden z czarno ubranych i rzucił, nie patrząc na nas, dwa identyczne kostiumy na nasze spania, czarne, takie, jakie nosili mężczyźni w domu prezydenta. Przebraliśmy się w nie i po raz pierwszy musiałem rozstać się z pasem. Szukałem miejsca, w którym mógłbym go ukryć, Edward' z ostentacyjną dyskrecją wyglądał przez okno, wychodzące na dziedziniec przed domem, ścieżkę i miasto, wsunąłem wreszcie pas pod poduszkę, i zesliśmy na dół, gdzie oczekiwano nas już, prezydent, jego żona i jakaś żółta kobieta o chytrych oczach, i kolorowa postać na krześle, zaopatrzoną w kółka. Na wózku.

Prezydent nie przedstawiał nas, a jego żona i ta druga przyjęły pojawienie się nowych ludzi milczeniem tak obojętnym, jakby nasza obecność była koniecznością oczywistą i od dawna znaną. Prezydent podszedł do mnie - idąc prawie natknął się na Edwarda, który odskoczył w ostatniej chwili zorientowawszy się, iż prezydent nie musi go dostrzegać - zatrzymał o krok, zawrócił i zrozumiałem, że mnie prowadzi, więc ruszyłem. Przy wózku, tuż obok wózka, znieruchomiał znów tak nagle, że omal na niego nie wpadłem, ale nie zauważył odruchu mej paniki.

- To jest pacjentka. Nazywa się Joanna i mam zamiar ją adoptować - powiedział - gdyż... - urwał i tylko lekkie drgnięcie dłoni opuszczonej wzdłuż szwu spodni zdradziło, że wyrwało mu się o jedno słowo więcej, niż zamierzał powiedzieć. Spojrzałem w twarz pacjentki, prawie niewidoczną pod nieruchomymi opuszczonymi włosami, to była Marta, pochyliłem się, Janie - zawołał Edward z groźbą w głosie, więc wyprostowałem się szybko, udając, że nie było żadnego ruchu.

- Cieszę się, że ją poznałem - powiedziałem.

- Siadajmy do stołu.

Prezydent znów ruszył, w drugi koniec pokoju, w którym przy oknie, dającym widok na klomb i bramę, stał długi stół, ciemny i dość wysoki, posunąłem się za nim, ale szept, groźba Edwarda, której nikt nie usłyszał poza mną, Janie!, znów mnie zatrzymała, i wtedy zobaczyłem obok wózka niewielki stolik z trzema nakryciami. Przesunąłem, ujawszy za rękojeści, wózek, dostawiłem go do środkowego nakrycia i usiadłem po prawej stronie dziewczyny.

- Czy wolno rozmawiać? - spytałem.

Edward nie odpowiedział.

Patrzyłem teraz na Martę z boku, na profil zamazany włosami, które opadały na jej twarz i których nie poprawiała, Marta nieruchomo tkwiła nad talerzem, nie zdradzając, że mnie dostrzega i poznaje, lecz po chwili oszukując czuwanie Edwarda jej palce delikatnie i bezosobowo przesunęły się po rękawie mojej marynarki, a potem umknęły, poznała mnie i przyznała to.

Po obiedzie przy pomocy Edwarda zanieśliśmy Martę, a potem jej wózek, na górę do jej

pokoju, usadowiliśmy dziewczynę przy oknie, badałem jej puls i ciśnienie, ciągle nie wiedząc, jak spytać, co jej dolega i dlaczego nie chodzi. Edward, pomagając, pilnował nas wyraźnie i nawet nie usiłował ukryć swojej roli, słuchał pilnie każdego słowa, prawie naśladowując niskiego w jego bezgłośnym mamrotaniu, nie wątpiłem, że potem, kiedy będzie mnie mógł opuścić nie obawiając się z mej strony wybryku, zejdzie na dół i zda sprawozdanie prezydentowi?, może. Przyzwyczajałem się jeszcze raz do jego długiej, prawie komicznej postaci, teraz okazującej wujowską czułość - w studio wydawał mi się życzliwy, choć obcy, tu obcy, choć tak przyjacielski. W ciemnym ubraniu sterczał obok mnie i Marty jak przypomnienie niejasnej groźby, rzucanej mi przez Velwę, której obywatelem przecież już się stałem.

Kierowałem do Marty lekarskie uwagi, proszę podać rękę, proszę pokazać język, nie wiedząc, co jej dolega, ale nie decydując się na otwarte pytanie, i pilnowałem, by nie użyć żadnego z jej imion.

Potem przyszedł jeden z czarnych i milcząco wyprosił nas z pokoju. Wydawało mi się, kiedy przechodziłem korytarzem mijając schody i gabinet prezydenta, że widzę na dole, w świetle, sylwetkę niskiego technika.

Usiadłem na swoim spaniu, Edward znów tkwił przy oknie, a potem rzucając mi uprzedzające spojrzenie, wyszedł, ale - gdy podbiegłem do drzwi - usłyszałem jego ostrzegawcze chrząknięcie, wyszedł więc, bym mógł zostać sam, lecz pilnował.

Wróciłem do spania, wyciągnąłem spod poduszki pas i przesunąłem palcami po wyźlobieniach tworzących moje imię - nie były już tak jasne jak wtedy, gdy ojciec dawał mi go i gdy daremnie chciałem przeczytać napis. Minęło wiele dni, za wiele, by nie niepokojono się w mieście moją nieobecnością, niepokojono po cichu, bo ten, kto nie wrócił, wcale nie wychodził, a więc, jak umarli, też nie istniał. Powinienem, przypuszczałem, bo nie zdradzono mi, jak długo mam szukać chłopca, już być w domu, ale przecież podsłuchiowano nas i zdradziłem, sprzymierzając się z Martą i zmieniając kierunek tylko dlatego, że chłopiec widział ją, kiedy odpoczywałem, i przeczuł grożące jej niebezpieczeństwo, i dlatego, że widział ją taką, jaką mogłem sobie wymarzyć, i dlatego, że w mojej rzeczywistości taka była. Ale nie dałbym się poprowadzić Marcie, gdyby nas nie podsłuchiowano, bo nie wiedziałem jeszcze, że Tomasza zatrzymano, gdyż zmienił kierunek (a zatrzymano go naprawdę, choć Marta mówiła, że przewiduje tylko), a mnie nie, bo wiedząc o podsłuchiwaniu posunąłem się dostatecznie daleko we właściwą stronę. Czy miałem z tego wnioskować, iż poza pewną granicą wolno mi było iść, dokąd chcę? A więc - to pytanie ciągle wracało - czy ujawniając się fałszywy komandor nie prowokował przypadku, tak jak czyniono to w Velvie prowokując błąd? Lecz może wiedziano, u mnie, w moim mieście, że kto da sprowokować się przypadkom, nie wraca, a więc nie istnieje i nie może już w sposób nienależyty wpływać na życie miasta.

A jednak myślałem o powrocie, choć z Velvy nie było wyjścia i choć wejście do niej niezupełnie rozumiałem. Szukałem Marty, ale w jaki sposób z pogorzelniska przeniosłem się do szop stojących na podwórzu? Teraz, z wysokości piętra, mogłem ocenić ich powierzchnię, nie przekraczała niczego, czemu musiałbym się dziwić. Były to zwyczajne, porządne, schludne szopy, połączone w jeden ciąg, dość bezkształtny, ale ograniczony i nie bezbrzeżny przecież. Nie mogłem w nich znaleźć wyjścia z Velvy, nawet jeśli by udało się wejść do środka, choć

wyglądało na to, że znalazłem dzięki nim wejście.

Edward dał mi czas na tyle rozmyślań, dokładnie tyle, bym wyliczył niemożność ucieczki i bym zgodził się - przynajmniej na razie - na pozostanie w domu prezydenta. Wszedł i znów stanął przy oknie, pospiesznie ustąpiłem mu miejsca, a potem powiedział, że czas na wieczorną toaletę Joanny. Weszliśmy do jej pokoju. Marta siedziała na wózku, oddalonym teraz od okna, twarzą do drzwi i czekała na nas, a nawet zdobyła się na powitalny uśmiech. Obok niej, na żelaznym trójnogu, umieszczono miskę z wodą, mydło, ręczniki.

- Nogi - powiedział Edward.
- Wyjdz.

Zaskoczyłem go, trwał przy drzwiach, ująwszy klamkę z niezdecydowaniem. Zaskoczyłem go i stworzyłem sobie szansę na pozostanie sam na sam z Martą, ale jeżeli i moje polecenie przewidziano wcześniej, musiał mieć odpowiedź. Nie miał. Otworzył, znów się zawahał, a w końcu pobiegł, zostawiając drzwi uchylone, słyszałem jego gorączkowy tupot na korytarzu, a potem na schodach, a jednocześnie mówiłem do Marty:

- Co się stało? Co ci zrobili?

- Nogi - powiedziała i przez mgnienie oka straciłem nadzieję, bo mogła przecież tylko wskazywać na czynność, którą mam wykonać jako lekarz. - Mam połamane nogi - powiedziała.

Szarpnąłem koc, szepcząc szybko:

- Kiedy? Jak to się stało?
- Podczas awarii - szepnęła.
- Jakiej awarii?

Koc opadł, zobaczyłem jej gołe kolana, wysunięte spod sukienki, a poniżej zwały bandaża.

- Kilka dni temu.
- Marto! Przecież kilka dni temu po twojej awarii byłaś zdrowa.
- Nie nazywam się Marta. Mam na imię Joanna - powiedziała mechanicznie. - Po awarii nie mogę być zdrowa.

Zrywałem bandaże, odwijałem je, słysząc głosy na dole, nie było gipsu.

- Nie masz gipsu.

Naciskałem, ale nie reagowała, zdrowa, opalona skóra lekko tylko poczerwieniała od objęć płótna.

- Nie ma złamania.
- Złamałam nogi. Nie leciałam. Nie zdążyłam. Kto leci, może wylądować.
- Marto.

- Nazywam się... - zaczęła i umilkła nagle, pochyliła się, a już słyszałem, słyszeliśmy wspinające się kroki, podniosłem głowę, zobaczyłem jej twarz i skupiony uśmiech, skierowany do mnie, poznający mnie, a więc przyznała. - Dobrze... muszę - szeptała szybko, nasłuchując. - Przecież byłeś w studio - zniecierpliwiła się, bo lekko zaprzeczyłem ruchem głowy. - Przecież wiesz. Kto nie wróci powietrzem, nie wraca wcale. Joanna - powiedziała spoglądając ponad mną. - Joanna - powtórzyła cicho - i złamane nogi.

Wracał Edward. Wpadł i zamknął za sobą drzwi. Głosem bez wyrazu, jakby nie pozostawiał nas, nie biegł i nie sprawdzał na dole, co ma robić, odpowiedział mi na moje poprzednie wezwanie, by wyszedł.

- Mam tu być i pomagać ci.

Wcale nie wychodził. Oczywiście. Nie pędził na dół i nie wracał. Tak chyba postanowiono.

Milcząc, rozwinąłem bandażę do końca. Marta, pochylona nade mną z mimowolnym zaciekawieniem, gdy klęcząc obmywałem jej stopy, osłaniała się rękoma przed wzrokiem Edwarda, który wcale nie usiłował widzieć, co robię. Słuchał jedynie, czy też może pilnował, byśmy nie rozmawiali. Podniosłem oczy i Marta, spłoszona, cofnęła się leciutko, lecz Edward zauważył to i natychmiast stanął za moimi plecami.

- Pospiesz się - powiedział. - Prezydent czeka na wiadomości o zdrowiu swej przyszłej córki.

8.

Łany zbóż o żółknącej zieleni obsadziły wzgórze. W dali, za drzewami ocieniającymi szosę wybiegającą z miasta i otaczającą je zamkniętym kręgiem, podniósł się obłok kurzu i wyciągnął w sztywną, nieruchomą kłębę, kolumna ciężarówek brnęła zasypałym przez piasek szlakiem. Miałem nadzieję, że nie skierują się w moją stronę, choć wiedziałem, że jeśli mnie dostrzegą, dopędzą na pewno, w ciągu dwóch, trzech minut, nie zważając na poblizsze granice. Kierowcy przeklinali nudną służbę, trwającą całą dobę, i chętnie doganiali każdego przechodnia w płonnej nadziei, że zdobędą towarzysza, a może następcę. Unikano ich nawet wtedy, gdy w brezentowych kurtkach wychodzili z garaży, przebierając zdrętwiałymi palcami - ten gest, może niepotrzebny i może tylko należący do rutyny, a i kurtki zdradzały ich. Ludzie na widok kierowców przyspieszali kroku, skręcali, często zawracali, choć kierowca bez ciężarówki nie usiłował nigdy nikogo zaczepić. Wykupić mogli się tak tylko: sadzając w szoferce naiwnego następcę, bo ciężarówki musiały być w ruchu.

Przyspieszyłem kroku oglądając się często, kurz nie zmieniał wyglądu, przysiadł nieco, wisząc poniżej koron szerokich lip, i wydłużał się powoli tam, gdzie dostrzegłem kilka niewyraźnych pudeł pojazdów. Potem stanęli i kurz zaczął opadać szybciej, może któraś z ciężarówek zepsuła się i kierowca odzyskał wolność, a inni śledzili go nienawistnymi spojrzeniami. Bo to był drugi ich sposób, druga droga do szczęścia, zapomniałem o niej na chwilę. Ruszyli znów, ale już nie mogli mnie dogonić, bo droga, odgałęzienie podmiejskiego kręgu, skończyła się nagle, przecięta czarnym szlabanem, za którym leżał już tylko brudny piach. Byłem blisko granicy zony, żółte, odrapane tablice, sterczące ponad rzędem przekwitłych krzewów bzu, ostrzegały wzrok, mogłem widzieć resztki czarnych napisów.

Powiedziano mi, że w zonę wejść niepostrzeżenie - tylko tablice będą o niej oznajmiać - powiedziano, że przejdę ją może i nie zobaczę nic godnego uwagi, ale nie wrócę na pewno, a masażysta, sprawdzając mój ekwipunek (bo przyznali mi ekwipunek, nie wiedząc jak odmówić eksploratorowi, choćby i niezupełnie swojemu - prawo nakazywało podobno

wyposażać każdego, kto udaje się do zony), szeptem, rozejrzawszy się na boki, ostrzegł przed jej mieszkańcami. Z masażystą nie zaprzyjaźniłem się, zresztą nie zaprzyjaźniłem się z nikim, ale - gdy poił mnie i doglądał kolejności toalety - kilkakrotnie rozmawialiśmy i ten mężczyzna, który kiedyś wyszedł żywy z awarii, straciwszy jedynie sześć palców, po trzy u każdej dłoni, z początku bał się mej odmienności, a potem jakby w niej zasmakował: czekając, aż skończę się myć, ubierać i pić, zadawał z początku nieoczekiwane, a potem prawie (dla nas obu) rytualne pytania, nie chciał, a może nie umiał rozstać się z kilkoma szokującymi go pomysłami. Kiedy odpowiadałem, twarz masażysty, ogromna i pozornie twarda (ale miałem okazję dotknąć jej miękkości, co przyjął reakcją wstrętą mi, ekstatyczną pantomimą), o szerokich, pociętych czerwonymi pęknięciami policzkach i niewielkich oczach, jak guziki utrzymujących płyty pożyłkowanej skóry, wybuchała od wewnątrz, dziesiątki zwiotczących mięśni podejmowało pracę i masażysta, odsunawszy się ode mnie, na próżno usiłował opanować te autonomiczne drgania, przykrywał policzki okaleczonymi dłońmi, równie wielkimi, co wyglądało, jakby na starą, gorącą cegłę rzucał przebite drutem czy kośćmi płyty surowego mięsa (kiedyś tak robiliśmy my, chłopcy, pod miastem nie opodal złomowiska).

Pytał o proces przypominania, który nazywał przywracaniem, i o moje odpowiedzi na rutynowe, testowe zadania byty niezmiennie i masażysta o tym wiedział, ale rzucając zdania testu, śledził co dzień guziczkami swych oczu ruch moich warg, jakby spodziewał się, że bluźnierstwa dotychczasowe zastąpię jeszcze bardziej brutalnymi. Czasem tak było, ilekroć w studio (bo znów tam trafiłem) rozszerzano i precyzowano, dostosowując go do mnie, test wyjścia, pamiętam euforyczną panikę masażysty, gdy na pytanie o wiek świata odpowiedziałem podwójnie, podając jako jeden początek datę urodzin Aleksandra, a jako drugi - inne czasy; potem równie mocno odczuwał informację o konieczności skupiania ludzi w mieście. Mogłem sobie pozwolić na takie odpowiedzi. Stałem się eksploratorem. Masażysta był jedynym, jeśli nie liczyć milczącej sprzątaczką w domu dyrektora, przedstawicielem tak zwanych szarych obywateli, z jakimi się zetknąłem, wątpiłem w to zresztą, przeczuwałem w nim zatajonego technika. Szarych widywałem wprawdzie z okien studia w czasie przerw w testowaniu czy raczej w szkoleniu, ale w tę część miasta, laboratoryjną i - nieoficjalnie wprawdzie, lecz jednak - zamkniętą, zaglądali oni nieczęsto. Nie byłem pewien, czy rzeczywiście ci, których widuję, są w pełni szarzy, czy też stanowią jakiś rodzaj pośredników między elitą a tłumem. Dość długo przecież nie wiedziałem nawet, że takie rozróżnienia istnieją, a potem równie długo nie umiałem w nowe pojęcie włożyć treści.

Masażystę przedstawiono mi już po zakończeniu pierwszych badań; upłynęło sporo czasu od mego przyjścia do Velvy, ale jeszcze nie poznałem dobrze miasta, bo przez pierwsze dni przygotowania nie widziałem ani razu słońca ni nieba, gdyż technicy spieszyli się z pracą nade mną: ode mnie w jakiś sposób zależało także powodzenie ich postępowania z Martą (ale i o tym dowiedziałem się później) - dawano mi więc tyle tylko czasu, bym mógł jako tako się wyspać, nie wychodząc z wewnętrznych pomieszczeń studia, i coś niecoś zjeść.

Później, jako lekarz, już mogłem chodzić po środkowej, laboratoryjnej części miasta, a nawet w towarzystwie przydzielonych mi techników, przede wszystkim razem z moim zastępczym wujem, zrobiłem kilka wycieczek w dzielnice skrajne, nocą jednak tylko, gdy ulice były puste, lub o świcie, gdy ruchu jeszcze nie wznowiono. Prawdopodobnie te

wycieczki to też był rodzaj szkolenia i sprawdzania - szybko przywykłem do tego, że nic nie dzieje się przypadkiem. Powiedziałem: przywykłem? Tak, bo choć w domu i w szkole nauczono mnie, że nic nie dzieje się przypadkiem, wiedziałem jednak z dzieciństwa, że nikt z żywych czy obecnych, czy po prostu nikt z ludzi przypadkami nie steruje (wyjątek mogło stanowić moje wyjście). W Velvie rzecz miała się inaczej: przypadki prowokowano i przewidywano. Kto wie, czy masażysta (zetknąłem się z nim w chwili, w której wymogłem zezwolenie na wyjście do zony, wymogłem, choć prawo stanowiło, iż każdy, kto chce iść do zony, powinien być wspomagany, a nie wstrzymywany) pytając mnie, w istocie nie sprawdzał konsekwencji moich odpowiedzi, ich tożsamości w innych warunkach, nie badawczych już, rehabilitujących i testowych, a półprywatnych, osobistych.

Można się było spodziewać, że ktoś, kto oficjalnie jest Janem, a może też mniemanym Celesem lub Tomaszem, skoro te imiona pojawiają się w wyznaniach obojga, moich i Marty, że ten ktoś posługuje się logiką czy prawdą zależną od warunków, w jakich odpowiada. Później miało się okazać, że z odmiennością moich wypowiedzi, a za odmienność uważano nawet różnice w szyku zdania, wiązano wręcz zuchwałe nadzieje. Może dlatego pozwolono mi wyjść.

A więc gdy zażądałem pozwolenia na wyjście do zony, prezydent próbował przeciwdziałać, lecz po wahaniu (a może ktoś na niego wpłynął?) poparł mnie i oto masażysta przeglądając ekwipunek, pochylony nad plecakiem i nade mną (sprawdzając, zapobiegliwie umieścił plecak obok mojej głowy - bo zgodnie z regulaminem odpoczywałem leżąc), poczerwieniawszy, jeśli to możliwe, jeszcze bardziej, ostrzegł mnie przed mieszkańcami zony. Byliśmy sami w hali masażu, graniczącej ze studio, a może stanowiącej jego część, rzędy leżanek ze wszystkich stron dzieliły nas od ścian - masażysta wybrał na mój ostatni relaks położoną centralnie - a więc mogło wyglądać na to, że nie byliśmy podsłuchiwani. I wydawało się, że nie jesteśmy widziani, masażysta zadbał (i zwrócił moją uwagę na to swoje staranie), by jego plecy zakrywały mnie przed chłodem szkła rury, umieszczonej nad wejściem.

- Jeśli kogoś spotkasz, uciekaj - powiedział szeptem, ten szept chrypiąc musiał uderzyć w uszy podsłuchujących, ale może nie był z tej odległości zrozumiały, mimo wzmocnień.

- Co mogę tam spotkać? - spytałem, leżąc, przymknąwszy oczy. Zachciało mi się nagle, by masażysta mnie dotknął, bo od chwili, w której znalazłem się w Velvie, nie dotknął mnie nikt, poza rękoma z tyłu - to ja dotykałem Martę, ale każde z tych muśnięć dziewczyna przyjmowała prawie przestrawem, choć były nieuniknione, skoro musiałem jej pomagać przy poruszaniu. - Kogo mogę tam spotkać?

Podczas testowania nie wspomniano o życiu w zonie, przeciwnie, nijakie wyjaśnienia sugerowały raczej jej całkowitą martwość.

- Kogoś - zachrypiął znów masażysta, nieco głośniej. Jeśli nas słuchano (a dlaczego mieliby nas nie słuchać i nie widzieć, dlaczego zasłonięcie plecami szkła nie miało być wybiegiem?), to masażysta chciał tamtym ułatwić zadanie.

- Ludzi? Tam chyba nie ma ludzi.

- Tam nie ma ludzi - zgodził się. - Chłopcze - od pewnego czasu, jak inni, nazywał mnie, choć miałem imię, chłopcem - kogokolwiek spotkasz, uciekaj, to tylko mogę ci radzić. Przetrzymasz dłużej. Bo że nie wrócisz, to pewne jak ekspansja.

Radził mi. Pochylił się jeszcze niżej i ciągle donośnym szeptem wygłaszał pouczenia, których nie otrzymałem podczas testowania, powtarzał je po wielokroć, jakby jego mocodawca, niezdolny do oficjalnego przekazania mi rad, posłużył się nim właśnie, prostym masażystą (czy technikiem?), by wygłosić o zonie informacje, których w Velvie, skoro z zony nikt nie wracał, nie mogło być.

- Uciekaj, gdy kogoś spotkasz. Nie zapuszczaj się w coś, co przypomina ruiny i budynki. Idź prosto. Przetrzymasz dłużej, choć nie wrócisz.

Przerwałem mu:

- Wróć.

- Kto wróci? - rzucił szybko, jakby czekał na moje zapewnienie i jakby ucieszył się, że może natychmiast zareagować. - Ty? Czy istota z zony? Nie ty. Nie przyjmujemy cię, jeśli wrócisz.

- Nie muszę wracać.

- Nie możesz - poprawił, ale brzmiało to tak, jakby przytaknął, a nawet jakby się godził z istnieniem innego poza powrotem celu. Choć podczas testowania musiałem sam odpowiedzieć na ich pytania, odpowiedzieć, że jedynym celem wyjścia w zonę i badania jej jest powrót do Velvy, mimo że powrotów nie ma, a drogi nie istnieją.

Szybkimi ruchami, zbyt szybkimi i zbyt nawykowymi, pakował rzeczy do plecaka i zapinał rzemienie. Zbyt szybkimi i zbyt nawykowymi dla kogoś, kto ma tylko cztery palce, a nie ma doświadczenia w przygotowywaniu eksploratora. Chyba że nie byłem jednym z pierwszych, jakich wyprawiał do zony. Przestraszyłem się, leżałem nieruchomo z zamkniętymi ciagle oczyma, wyczuwając jego korpus nad moim ciałem, i cichy dreszcz przebiegł po skórze kilkoma nawracającymi tupotami. Bo ja wiedziałem przecież, co jest za zoną, wiedziałem od pierwszej chwili, od chwili, w której o zonie usłyszałem, i od chwili, w której pokazano mi, w jakim kierunku zona leży. Za zoną było moje miasto: jeśli patrzyło się z Velvy, zachodnia granica zony musiała się opierać, z drugiej strony, o wzgórze i las dzielący moje miasto od strefy zachodniej, północno-zachodnia obejmowała chyba złomowisko, od którego do mojego miasta nie było więcej niż pięć kilometrów. A jednak nikt nigdy nie przyszedł do mojego miasta z tamtej strony. I podobno nikt także nie wrócił do Velvy, choć i przede mną ruszały w zonę wyprawy. To mogło znaczyć, że nikt z zony, wszedłszy do niej, już się naprawdę nie wydostawał. Bałem się od tej chwili, bałem się, im dłużej masażysta mówił o kimś, kto żyje w zonie, o kimś, kogo mam się strzec, bałem się potem, rozmawiając, już pożegnalnie, z dyrektorem, którego zapewnienia nie miały mi dać poczucia bezpieczeństwa, bałem się idąc.

Prezydent (rozmawialiśmy tuż przed wyjściem, w jego gabinecie, do którego wpuszczono mnie według audiencjonalnego - jak powiedziano - ceremoniału) twierdził, że zona jest bezludna, zawahał się i dodał: prawdopodobnie. Nauczyłem się już czy też postanowiłem wierzyć mu (bo poprzednia rozmowa, którą przerwano schwytaniem nas, schwytaniem prezydenta! zmuszała mnie do wiary), ale z tej bezradnej wypowiedzi mogłem wnioskować tylko to, że niewiele o zonie wie. Prawdopodobnie - powiedział, a więc dawał jednak posłuch legendom krążącym wśród szarych obywateli (jeśli masażysta do nich należał), nic więcej, musiał je przyjąć i liczyć się z nimi, choćby dlatego, że nie dysponował może innymi danymi. Wreszcie mógł przypuszczać, że niejasne słuchy są odbiciem prawdziwych informacji, które

ktoś chroni nawet przed nim. Mógł przypuszczać? Jeżeli tak, to jednak nie na serio liczył się z niewiadomymi siłami, chroniącymi informację w jego własnym mieście.

Odpowiedziałem mu. Liczne teorie zony, które wpojono mi podczas testowania i na których istnienie powołałem się dlatego, że strach ścisnął mnie coraz boleśniej, dyrektor zbyt wzruszeniem ramion, wstał ze swego fotela - w jego gabinecie nie było teraz biurka, którego prostota z początku straszyla mnie, aż przywykłem nie pytać siebie i innych, czy meble w Velvie pojawiły się przed ostatecznym dorośnięciem - przysiadł przy mnie (co było niezwykle, ale celowe, gdyż eksploratorom okazuje się daleko posuniętą serdeczność i poufalskość) na oparciu i pochyliwszy się, dotykając mnie oddechem (oni tego nie liczyli za dotykanie) powiedział, że teorie wykoncyrowano bez jakichkolwiek sprawdzonych faktów, stworzono je, wychodząc z obserwacji granicy, a nie samej zony, z założeń bytu Velvy wreszcie. Nie ma więc danych, zawołał, dysząc w moją twarz, były dwie wyprawy, ale żadna oczywiście nie powróciła. Ucichł i zajął się kontemplowaniem szczytów martwych drzew stojących za oknem.

- Żadnych - powtórzył i odwrócił się, bo spojrzałem na niego. - Nikt nie wrócił.
- Jak i Marta? - spytałem.

Zawahał się, wiedziałem, że z rutyniarskiego obowiązku miał ochotę spytać, jak pytał na początku, kto to jest Marta, ale teraz, na chwilę przed moim wyruszeniem i w czasie ostatniej rozmowy, zdecydował się jednak na kolejne ustępstwo:

- Tak jak Marta - powiedział, a więc niejasno przyznawał, że pamięta naszą rozmowę sprzed tygodnia i decyduje się (oczywiście tylko wobec mnie) nie wymazywać jej, choć tak wtedy ustaliliśmy.

Natychmiast wrócił na swoje miejsce, zajął je i wyprostowany w ciężkim, drewnianym fotelu, patrząc gdzieś mimo mnie, spytał oficjalnie:

- Przygotowano cię?
- Tak.
- To idź.

Wstałem, audiencja była skończona.

Szedłem więc śladem dwóch wypraw, a może i innych, bo skoro te wyruszywszy, choć nie ma wyjścia, nie powróciły, to inne nie wyruszywszy, może powróciły. Szedłem ich śladem, podkreślam, nie byłem ani odkrywcą zony, ani tym, który pierwszy przestąpił jej granice. Śmieszne jest twierdzenie, że było inaczej. W mieście musieli znać zonę, bo jej początek przebiegał ledwie siedem kilometrów od granicy Velvy, a pola uprawne bezpośrednio do zony przylegały - prawda, pola ostatniej kategorii.

Przystanąłem przy tablicy na skraju drogi, za szlabanem już, za którym droga błyskawicznie zanikała, przekształcając się w nierówną, piaszczystą brudę wśród pól, nawet nie w ścieżkę, bo tu nikt nie chodził. Postanowiłem odpocząć. Zajrzałem do torby, wykwapowali mnie mimo wszystko nieźle w żywność, w zmianę bielizny i kilka narzędzi, ściągnąłem gumowe buty i rozprostowałem nogi, mogłem oszczędzić sobie chodzenia w kaloszach aż dotychczas, do słupów, a może w ogóle nie musiałem ich wkładać, ale chciałem sprawdzić, czy się nadają do użytku. Tu, na granicy zony, a właściwie przed granicą, bo słupy z tablicami, z lęku czy przezorności, ustawiono dobry kilometr przed jej oficjalnym

początkiem, miałem zostawić wszystko, a więc i drugą parę obuwia, moje podróżne sandały. Radzono mi zostawić i pas, lecz nie chciałem się z nim rozstawać, choć stracił już swoje znaczenie. Zjadłem, popiłem wodą z manierki, wyjąłem z torby to, co mogłem zostawić, i włożyłem wszystko z powrotem, nie musiałem słuchać rad, ironicznym gestem pozdrowiłem towarzysza, który przytaił się pięćdziesiąt metrów wcześniej, w zbożu - nie zważał na szkody - i który nie mógł chyba pójść dalej (istotnie, pozostał przy znaku, czuwając nad moimi śladami, oczekując na mój powrót, który nie mógł się zdarzyć, nie zazdrościłem mu samotnego, długiego oczekiwania, kto wie, jak nudnego, miał czekać i uprzedzić miasto, gdybym jednak przyszedł z powrotem), i przekroczyłem linię tablic.

Nic nie wiedziałem o zonie, przekroczyłem linię tablic (a ścieżka, bruzda, i tak ledwie widoczna, zniknęła natychmiast - i pola urwały się równie nagle, pozostawiając trawiastą ziemię, nie używaną przez człowieka) spodziewając się pierwszych niespodzianek: dlatego dopiero teraz, a może właśnie teraz dostrzegłem nieruchomość powietrza i duchotę, której w mieście chyba nie było. Nastraszyli mnie, bo jeszcze nie wkroczywszy w zonę, dopatrywałem się niebezpieczeństw, a co najmniej tajemnicy w każdej grudzie ziemi, w kamieniach i kłószących się, rzadkich trawach, w ciszy, która nieruchomo pilnowała mnie i mego niewidocznego strażnika. Mogłem jeszcze zawrócić, bo ciągle nie byłem w zonie i strażnik nie zatrzymałby mnie, i nie ostrzegałby miasta, ale skoro znalazłem się w strefie południowej, w Velvie, choć powinienem dążyć na wschód, a teraz miałem zbliżyć się do swojego domu i może niebawem go zobaczyć, musiałem iść dalej, choćby po to, by nie przyznawać się w Velvie, że przerwałem wędrówkę, ponieważ mnie ostrzegano. Zresztą, mimo zapewnień, że będę chciał wrócić, uciekałem w istocie, a wędrówka przez zonę była jedyną szansą na wyjście z Velvy stosunkowo bezpieczne i legalne. Bo ja uciekałem z Velvy, straciwszy Martę,, i mogłem tylko mieć nadzieję, że dotrę do domu i że mnie tam przyjmą, choć nie znalazłem i nie szukałem chłopca. W Velvie podjąłem walkę i przegrałem ją akurat wtedy, kiedy zona zarysowała się jako szansa na wyjście.

Pamiętam, jak kiedyś pytał niski technik - jeszcze gdy trwało przygotowanie, to były pierwsze dni.

- Czy można wrócić z zony?

Edward był przy mnie przed chwilą, stał obok czuwając nad prawidłowością odpowiedzi. Ciepłym tchnieniem w ucho, znieruchomieniem ciała dawał mi czasem znać, że odpowiedziałem błędnie i jeszcze mogę poprawić lub przynajmniej okazać dobrą wolę - i uniknąć uderzeń. Ale wtedy odszedł w głąb hali; nigdy nie wiedziałem, dlaczego oni przychodzą i odchodzą, kto ich wzywa, jak porozumiewają się, jakimi znakami w bezgłośni studiu, w którym mogły padać tylko - rejestrowane skrupulatnie - pytania i odpowiedzi. Ale mieli jakiś system porozumiewania się, bo ich znikania i powroty, zamiana ról, zastępowanie jednego przez drugiego odbywały się w milczeniu, a były tak dyskretne i celowe, że nie mogłem wątpić: swe czynności uzgadniali.

Wiedziałem już, choć to były pierwsze dni, że za pomyłki biją, nie dokumentując błędów i nie uzasadniając potrzeby kary, ale ciągle jeszcze rzadko, choć poddałem się już, po pierwszych próbach sprzeciwu i upierania się, rzadko trafiałem na właściwe sformułowania.

- Tak - odpowiedziałem i technik zaczął zbliżać się z tym półsennym wyrazem twarzy,

jaki przybrał na zawsze. Skupienie, w jakim żył, czy wsłuchanie we własne, wewnętrzne głosy, płynące z pamięci (zdradzał to nieustannie), sprawiały, że prawie nie wierzyło się w jego uczestnictwo w wydarzeniach, ale jednak zbliżył się, a wiedziałem, że bije umiejętnie, choć leniwie.

- Nie - zawołałem, trochę za głośno, bo przebiłem watę jego pamięci tak nagle, iż się skrzywił. Ale przystanął, zbyt blisko, bym mógł sobie pozwolić na następną pomyłkę, której już nie zdążyłbym sprostować, i znów zapytał:

- Dlaczego z zony nie można wrócić?

Zauważyłem, że pytania formułują tak, by nawet wyrwane z kontekstu całego seansu mogły być zrozumiałe dla kogoś, kto wysłuchiwać będzie jedynie fragmentów całości.

Mogłem powiedzieć, że powroty są zabronione, i przez chwilę ważyłem słowa na koniuszku języka, ostrzegany jednak jakimś sygnałem, może oczekiwaniem niskiego technika, może wspomnieniem poprzednich przygotowań, tak, poprzednich: o kilka seansów wcześniej doszedłem do sformułowania, iż w Velvie nie ma zakazów.

- Bo z Velvy się nie wychodzi - powiedziałem i nie bił mnie, ale nie był zadowolony. Powinienem powiedzieć inaczej, ale i ta odpowiedź, którą rzuciłem jak najszybciej, bo i za zwłokę czasem bili, musiała być zgodna z ich prawdą.

- Dlaczego z Velvy nikt nie wychodzi?

Teraz odpowiedź narzucała się sama:

- Z Velvy nie ma wyjścia.

- Dlaczego z Velvy nie ma wyjścia? - pytanie zabrzmiało, zanim skończyłem mówić, zlało się z moim ostatnim słowem. Niski był blisko, nie znałem odpowiedzi, a możliwości było zbyt dużo. Poddałem się, uderzył, cios zachwiał mną i - choć przygotowany - zsunąłbym się ze stołka, gdyby nie gotowość jego drugiej ręki, przewidująca i pomocna, jego druga ręka jednocześnie z uderzeniem przysunęła szeroką, dość wysoką barierkę, stojącą obok: nieraz mi już służyła do odpoczynku po karze. Chwyciłem ją, przytuliłem do piersi i ściskając, czekałem.

- Dlaczego z Velvy nie ma wyjścia? - zapytał znów i znów przez chwilę chciałem się poddać, choć milczenie było bezcelowe, sprowadzało kary, ale nie likwidowało pytania.

- Velva jest ograniczona - powiedziałem. Ograniczona, to był eufemizm, ale bałem się powiedzieć, że Velva ma granice, bo granica to rodzaj zakazu. Ograniczenie także, ale spodziewałem się, że za złagodzenie błędu otrzymam mniejszą karę. Był blisko i nie postąpiwszy ani kroku mógł uderzyć. Stał nade mną i słyszałem cichutkie zmęczone sapanie. Bił bez odrazy, ale z wysiłkiem nadmiernym dla swej tuszy i koncentracji, i pamięci. I teraz nie uderzył, nie wiedziałem dlaczego: z lenistwa, ze zmęczenia czy ze zgody na odpowiedź.

- Jak jest ograniczona? - spytał i poprawił się natychmiast, jakby i jego, po długotrwałym seansie nauki, zawodziła precyzja. - Jak ograniczona jest Velva?

- Pogorzelskiem! - krzyknąłem, bo przypomniałem sobie, że Marta tak nazywała strefę popiołów i półspalonych zabudowań, w których spotkaliśmy oczekujących i w których ją zgubiłem.

- I czym jeszcze jest ograniczona Velva?

Nie myliłem się, był zmęczony. Odpoczywał chwilkę, zadowolony z sukcesu, który musiał

mu się wydać sporny, niezależnie od tego, czy wierzył, że pochodzę z Velvy, czy wiedział, że przyszedłem z zewnątrz.

Przygotowanie (przypominanie lub nauka) posunęło się nagle skokowo do przodu, dowiedziałem się czy też przypomniałem sobie (zależnie od tego, jak na to patrzyli), o ograniczeniu Velvy i potrafiłem nazwać jeden z jego rodzajów.

- Morzem? -- rzuciłem półpytająco, nie zbliżył się i nie uderzył, ale powtórzył pytanie i odpowiedziałem pewniej: - Morzem.

- I w jaki jeszcze, trzeci sposób, ograniczona jest Velva?

Chciałem powiedzieć: lasem, ale Marta z pogardą wyrażała się o naśladowcach, którzy nie potrafią przejść lasów, i ta pogarda, choć wyrażona tylko w przewidywaniach czy hipotezach dotyczących Celesa i jego miasta, była prawdziwa. Rzeką, pomyślałem, błotami?, a niski znów zbliżał się, wolniej niż zazwyczaj, może postanowił dać mi trochę czasu, może pozwolił sobie na drobnitką niesubordynację, polegającą na postępowaniu zgodnie z regulaminem, ale postępowaniu możliwie nieskwapliwym. Nie mogłem zgadnąć widocznie, a niski o tym wiedział, niezależnie od swych poglądów (niezależnie od tego, czy wierzył w moją amnezję, czy w przyjscie z zewnątrz), i dawał mi szansę, a zaraz, za chwilę (podejrzywałem to tylko), okazało się, iż zwłoka jest zaplanowana i mieści się w programie, bo przyjąwszy raz na zawsze metodykę naprowadzania przez bicie, dawali jednak od czasu do czasu wskazówki, ukryte także w pytaniach, wskazówki pozornie wynikające z nieprecyzyjności przygotowania techników do zajęć. Zmaterializował się nagle wysoki, wyszedł wprost na mnie z powodzi blasku, a niski, nie oglądając się nawet, ustąpił mu miejsca, zawiesiwszy jakby swe czynności i pozwoliwszy wtargnąć wysokiemu między pytanie i odpowiedź, a wysoki z rzekomą (tak przypuściłem) nieświadomością tego, o czym właściwie z niskim mówiliśmy, rzucił jeszcze w ruchu, zajmując pozycję poprzednika:

- Dlaczego zona jest nieprzebyta?

I dopiero teraz niby spostrzegł, iż niski pytał właśnie, i znów, znów!, nie czekając na moją odpowiedź, z zawstydzonym ruchem ręki (doceniłem tę grę) i nieruchomą twarzą, bo pilnowali, by mimika nie podpowiadała mi niczego, -odsunął się, dał miejsce niskiemu, który podjął milczącą pantomimę i okrążywszy wysokiego z tyłu, nagle mniej ospały i mniej nieobecny, stanął na swym poprzednim miejscu i powtórzył:

- I w jaki jeszcze sposób ograniczona jest Velva?

- Przez zonę - powiedziałem, pilnując, by uśmiech nie wykrzywił mych warg, ale nie dopilnowałem oczu, musiałem dać im znak, bo obaj, wysoki i niski, stojąc obok siebie, na równorzędnych już pozycjach (czasem je zajmowali, pytając na przemian), milcząco, przedłużając pauzę, dali wyraz niesmakowi.

- Dlaczego zona jest nieprzebyta? - spytał wysoki, jakby nie odezwał się przed chwilą.

- Bo nie ma przez nią przejścia - rzuciłem swobodnie, pamiętając o braku zakazów w Velvie.

- Dlaczego nie ma przez nią przejścia?

- Ponieważ z Velvy nie ma wyjścia - rzuciłem głupio, pragnąc jedynie na chwilę odsunąć bicie. Jeszcze, choć minęło kilka minut i choć prawie jawnie mi pomogli, zdradzając pewną sympatię czy solidarność ze mną, ścisnąłem poręcz, a uderzone miejsce promieniowało bólem.

Przyjęli tę odpowiedź tak, jakby jej oczekiwali. Mogłem sobie pogratulować, ale nie było mi już do śmiechu, przeciwnie, powinienem pamiętać, że w ich myśleniu często zdarzały się konstrukcje tautologiczne, zetknąłem się z nimi już kilka razy, zmuszany biciem i nawracającymi pytaniami, ale ciągle jeszcze nie oswoiłem się z nimi i nie umiałem sam tautologii w swych odpowiedziach stwarzać.

- Jeśli z Velvy nie ma wyjścia, gdzie go szukamy?

- Wszędzie.

- Przez zonę także?

- Tak.

- Czy przez zonę prowadzą drogi?

- Nie.

- Dlaczego?

- Bo zona jest nieprzebyta - powiedziałem i ucieszyłem się. Wysoki spojrział szybko na niskiego i skinął głową. Dali mi znak, wstałem, machinalnie pocierając uderzone miejsce, i ustawiłem się między nimi, by mogli mnie wyprowadzić.

Później wielokrotnie pytali mnie o zonę, ale odpowiadając nie dowiedziałem się już o niej właściwie niczego. Spytałem mnie, czy do zony się chodzi, odpowiedziałem, że nie, otrzymałem kilka razy i powiedziałem, że do zony się chodzi, a później w ten sam sposób odpowiedziałem, iż organizowano wyprawy do nieprzebytej zony, lecz ani jedna wyprawa nie powróciła, ponieważ kto wejdzie do zony, już z niej nie wraca, dlatego nie wraca, gdyż do Velvy nie ma powrotów, tak jak nie ma z niej wyjść.

Tracąc Martę nie myślałem o zonie, ale kiedy Joanna wyleczona!, chodząca i przeniesiona z wózka do stołu pod oknem, do stołu rodzinnego, całkowicie Martę pochłonęła i kiedy Joanna (czy Marta?) stała się formalnie już córką prezydenta, a Edwarda oddalono, razem ze mną, z prezydenckiego domu, przypominałem sobie nieraz, że w zonę wyprawiano się nieraz (a wiedziałem także, iż jest to obszar, w który wchodzi się łatwo, i pamiętałem, że przybyłem - nie znaną mi co prawda drogą - nieprzebyte pogorzelska), a nawet, że wyprawy organizowano. W takim stopniu opanowałem technikę podstępnych pytań, że Edward, u którego w tym czasie mieszkałem, napomknął w odpowiedzi na nie o popieraniu wszelkich poszukiwań przejścia. Poszukiwania, powiedział Edward, nie powtarzają się często, ale kto chce iść, otrzymuje wszelką pomoc, mimo iż nie wraca nigdy i nie może powrócić. I jeszcze to: przecież wiedziałem, co powinno znajdować się za zoną, tak jak wiedzieli już, zaprzeczając, oni. Tam było moje miasto.

Dni w domu Edwarda płynęły spokojnie, pacjentów nie miałem i nie wolno mi było ich szukać, a nawet nie pozwolono mi ujawnić zawodu wywieszeniem tabliczki czy założeniem opaski na rękaw. Powiedziano mi w domu prezydenta, że chorzy znajdą lekarza i nikt nie zostaje bez pomocy, ale albo nie było chorych, albo zwracali się do innych fachowców. Staralem się poznać miasto, lecz gdy zapuszczałem się w nie znane mi uliczki, zwykle na drodze stawał Edward, a czasem gruby technik, a czasem któryś z czarnych, otaczających prezydenta.!, i nie zabraniając penetracji, proponowali mi to rozmowę, to pójście na plażę nad jeziorem (do wydzielonego i pustego sektora, zarezerwowanego dla otoczenia dyrektora), to wreszcie przekazywali rzekome wezwanie: wówczas szedłem do domu prezydenta na wzgórze

i długo oczekiwałem na przyjęcie, które rzadko dochodziło do skutku. Rozumiałem, że nie zakazując, próbują mi jednak utrudnić poruszanie się po Velvie, godziłem się z tym, bo wędrówki w stronę dzielnic szarych mieszkańców podejmowałem z nudów raczej niż z ciekawości.

Do domu prezydenta chodziłem chętnie, tam była Marta i od czasu do czasu widywałem ją, przechodziła w oddali, w towarzystwie matki albo pod opieką służącej czy towarzyszki, na mój widok zawracała, maskując pośpiech i niepokój. Raz czy dwa zastąpiłem jej drogę, ale nie ośmieliłem się odezwać, kobieta przy jej boku wysuwała się wówczas do przodu i osłaniała Martę własnym ciałem. Marta wyglądała źle: blada, powolna i tak skupiona, że mogła nie dostrzegać zewnętrznego świata, przesuwała się wokół zabudowań albo korytarzami. Jak wprawiona w ruch nakręcana lalka.

Minął już miesiąc od mego przybycia do Velvy (dwadzieścia siedem dni od wyjścia ze studio, w którym straciłem rachubę czasu), a nie mówiłem z Martą - poza krótką wymianą zdań podczas przemywania nóg - ani razu. Od czasu do czasu w rozmowach z prezydentem udawało mi się wtrącić ukryte pytania na jej temat. Jakby nie były zręczne, nie otrzymywałem odpowiedzi. Prezydent przyjmował mnie co cztery dni i poddawał się - jak mi objaśniono - lekarskim badaniom. Ograniczały się one do wysłuchania jego lakonicznej informacji: zdrowie w normie, potem polecał mi usiąść i zdawkowo wypytywał o życie, o wrażenia i samopoczucie. Wymienialiśmy za każdym razem niemal takie same zdania, poddając się rytuałowi wizyt lekarza domowego, bo i takie stanowisko tam istniało. Rozstawaliśmy się po dziesięciu czy piętnastu minutach, zawsze w ten sam sposób, po jego z nagłą wyrzucanym pożegnaniu - a jednak z wizyty na wizytę, choć ich przebieg nie podlegał zmianom, jego twarz i moje zachowanie stawały się coraz bardziej swobodne, do pewnego stopnia - jeżeli to słowo cokolwiek w Velvie znaczyło - intymne. Dlatego ośmielałem się napomykać o Marcie i choć wiedziałem, że każda z tych prób skończy się natychmiastowym pożegnaniem, powtarzałem je, a po pewnym czasie spostrzegłem, że nieodmiennie każda z tych prób kończy się czymś jeszcze: wychodząc, spotykałem Martę, jeśli te dalekie widzenia można nazwać spotkaniem. Prawidłowość dodająca otuchy. Nocami marzyłem, że dyrektor sprzyja mi, lecz prawa czy obowiązki nie pozwalają mu poparcia okazać.

Któregoś dnia, wychodząc po zwyczajowej już wizycie, musiałem się zatrzymać na progu prezydenckiego domu. Lał deszcz, chyba pierwszy od mego przybycia do Velvy, tak gwałtowny, że uznałem go za dostateczną przeszkodę, usprawiedliwiającą zwłokę. Na dziedzińcu szybko tworzyły się pełne bąbli kałuże, okrążając rozkwitły płomieniście i wysoko klomb. Czarny, stróżujący przy bramie, przywarł do jednego z filarów, na próżno, woda ściekała po jego kostiumie, po jego twarzy - i oślepiła, a jednak nie zeszedł z posterunku. Patrzyłem przez otwarte frontowe drzwi na miasto, otulone rozproszonym, rozbitym o mury deszczem, prawie nie widziałem dworca, bliższe ulice zacierają się w wodnym pyłe, przechodnie zniknęły, jedynie ciężarówki, posłuszne nakazowi, powoli przecinały dalekie skrzyżowanie.

Usłyszałem miękkie kroki z tyłu i dłoń dyrektora opadła na moje ramię.

- Granice się zbliżają - powiedział takim tonem, jakby go to cieszyło.

Odwróciłem się i czekałem, ale twarz prezydenta, miększa niż zwykle, zamknęła się

natychmiast.

- Błoto? - spytałem.

Prawie się roześmiał.

- Mniej widać. Co jest za tą zasłoną? Czy potraficie powiedzieć?

- Miasto - ledwie opanowałem wzruszenie ramion. - Pola.

- Jesteś pewny? - mruknął i zawrócił. - Granice się zbliżają - powtórzył jednak, jakby odchodząc pragnął, by go zatrzymano. I chyba tak było, może wyszedł z gabinetu, by zamienić z kimś parę słów, o deszczu, by po prostu porozmawiać, bo kiedy powiedziałem, że deszcz może zalać pogorzelniska i umożliwić przejście, zatrzymał się natychmiast, obejrzał mnie od stóp do głów, utkwiał wzrok w pasie, który znów nosiłem, bo na ten temat nikt nie dawał mi wskazówek, i pokręcił głową:

- Nie wszystko ci przypomnieli. To, co nieprzebyte, jest nieprzebyte. Woda może jedynie granicę wzmocnić.

- Ale ogień i woda...

- Granica - przerwał mi ostrzej niż zazwyczaj - istnieje niezależnie od sił przyrody. Skoro nie można jej przebyć, to zdarzenia mogą ją jedynie wzmocnić. Nie da się osłabić czegoś, co...
- machnął ręką i dodał cicho: - Nie zerwiesz jabłka nawet z powalonej topoli.

Teraz już naprawdę odchodził. Jeśli miał ochotę na pogawędkę, to nie o prawach czy o prawdach. Na schodach zatrzymał się jeszcze raz:

- Odwiedź, chłopcze, Joannę. Po chorobie czuje się nieco samotna - powiedział i zniknął.

Przez chwilę patrzyłem na deszcz, słuchając jego rytmu uspokajającego bicie serca i tętnienia w skroniach. Potem poszedłem, licząc każdy stopień, na górę.

Myślę dziś, że może zaproponował te odwiedziny po dojrzałym namyśle, a nie z odruchu sympatii czy litości. Kto wie, czy nie uprzedził Marty, że przyjdę, i nie powiedział jej, co ma mówić i robić - w każdym razie nie wydawała się zdziwiona, gdy zapukałem i wszedłem do jej pokoju. Być może już wtedy podejmował grę, nie znając swoich atutów, a raczej ich braku. W każdym razie, gdyby nie ta rozmowa z Martą, długo jeszcze (a może nigdy) nie myślałbym o wyjściu w zonę.

Marta spoczywała w półcieniu tiulowych zasłon, spadających na leżankę z umieszczonej pod sufitem, bogato rzeźbanej ramy. Czas musiał się potrudzić, by wytworzyć drewniane dzieło tak misterne i niezrozumiałe. Może rzuciłbym się do dziewczyny z nieskładnymi okrzykami, gdyby nie ta rama: lekceważące umieszczenie dzieła w tak skromnym miejscu zatrzymało mnie.

Podniosła się lekko, jej szata, nie suknia, szata, która, gdyby Marta wstała, ułożyłaby się u jej stóp w krąg delikatnej materii, podkreślała niezgodę lub oddalenie - nie mogłaby w niej chodzić. Deszcz ciągle padał, światło w pokoju o szerokim oknie mżyło szarym, wibrującym blaskiem, w którym obnażona ręka Marty wystąpiła niby fragment starego, szlachetnego posążku, dojrzewającego przez lata. Odezwałem się więc raczej do jej przedramienia niż do twarzy, ukrytej w cieniu, na tyle przejrzystym, bym rozpoznawał oczy, usta, brwi i jej owal, ale na tyle gęstym, że nie mogłem wiedzieć, z kim mówię: z Martą czy z Joanną. Zresztą wybierałem słowa niczym chłopiec wrzucony w etykietalne zdarzenie, o którym nie ma pojęcia. Chciałem wymienić jej imię i powstrzymałem się, pomyślałem, że mogę powiedzieć o

swoim pragnieniu porozmawiania, i nie powiedziałem, w końcu zatrzymałem się na słowach prezydenta.

- Prezydent mnie tu przysłał.

Zdawało się, że mnie nie usłyszała, ale po mgnieniu zwłoki, którego mógłbym nie zauważyć, przesunęła się o centymetr, dwa czy dziesięć i w tym samym zduszonym świetle ujawniła się jej głowa: skupienie prawie mnie nie dostrzegające, a jednak ku mnie skierowane.

- Jesteś samotna - odezwałem się po chwili, w której czekałem może na odpowiedź, a może na powitanie.

- Tak.

Przytaknięcie dosięgło mnie jak rezygnacja z powitania i natychmiastowa zachęta. Między mną a Martą leżała podłoga, parkiet wysadzany różnokształtymi i wielorodzajowymi płytkami drewna, powleczonego politurą czy lakierem, powinienem pewnie przebrnąć przezeń, by wreszcie ją pozdrowić, poznać, dowiedzieć się, kim dziewczyna jest, a jednak nie naruszałem tej przestrzeni jeszcze przez chwilę - druga strona pokoju, zasłony, rama, leżanka, strój Marty stanowiły prawie wyraźną propozycję, tam była wygoda i rezygnacja. Gdyby uczyniono ją wcześniej, może zgodziłbym się na wszystko, ale już poznałem zdecydowanie praw Velvy i ich nieprzekraczalność: szczelina, jaką mi przedstawiono, propozycja czy próba kompromisu wydawała się przede wszystkim pułapką.

- Chodź tu, Janie - powiedziała Marta, podniosła się i stanęła obok leżanki. Szata spłynęła na ziemię tworząc krąg, ściągnięta u szyi dziewczyny obejmowała jej ciało prawie półprzezroczystą materią, piersi podnosiły ją i cienie powtarzały kształt dziewczęcych sutek.

- Jesteś Martą? - spytałem.

- Nie. Nazywam się Joanna - odpowiedziała i dodała natychmiast: - Chodź. Ojciec pozwala, jeśli jestem Joanną.

- A j eśli jesteś Martą?

- Nie ma Marty - powiedziała. - Ojciec się godzi, jeśli...

Przerwałem jej gestem, który miał być dumny. Przez chwilę odrzucałem ich kompromisy, przekonany, że oni ustąpią jeszcze, że pozwolą na wszystko, czego zażądam, bo przecież ustępstwa, jakich byłem świadkiem w tamtej chwili, musiały - myślałem - płynąć z konieczności. Byłem im potrzebny i zamierzałem wyznaczyć wyższą cenę.

- Jesteś Martą - powiedziałem i przestąpiłem wreszcie pas błyszczącego parkietu.

Objąłem ją, nie bronila się, ale szybko, dziobiąc wzrokiem przestrzeń za mną i ponad mną poruszała głową, zrezygnowałem z pocałunków i przytulałem do siebie, jej tors odchyłał się z wysiłkiem, biodra, nogi złączyły się ze mną, szybko przesuwałem rękoma nieskończoną szatę, szeptałem jej imię, Marto, Marto, a ona ciągle szukała za mną i poza mną, oddychając szybko i cicho, potem otworzyły się drzwi, co raczej wyczułem w jej znieruchomieniu, niż usłyszałem, i wszedł czarny, oznajmiając Marcie, Joannie, że czas na obiad. Mnie nie zauważył czy może nie pozwolono mu zauważyć, zniknął natychmiast, a Marta rzeczowo wysunęła się z moich rąk i po sekundzie, ledwie godząc się jeszcze na moją obecność, powiedziała, że musi się przebrać.

Wyszedłem, już czekając na kolejne ustępstwa. I przez wiele dni nie stało się nic. Wtedy ja zrobiłem ruch, powiedziałem, że chcę szukać przejścia przez zonę, oznajmiłem to

Edwardowi podczas skąpego obiadu, jaki nam przynoszono z centralnej kuchni, a już po godzinie do domu Edwarda wszedł mężczyzna w uniformie prezydenckiej służby i kazał iść za sobą. Ruszyłem w stronę wzgórza gotów przyjąć propozycję ugody lub prawie gotów naprawdę wejść w zonę, prawie gotów, bo tej możliwości nie brałem jeszcze pod uwagę na serio.

Prezydent przyjął mnie w gabinecie, na piętrze swojego domu. Umieblowanie zmieniono, tym razem tylko częściowo, zacząłem podejrzewać, że dostosowuje się je zawsze do charakteru wizyty i rozmowy. Nie było biurka, pośrodku pokoju rozpostarto ogromny dywan, pokryty wzorem stylizowanych kwiatów, purpurowych i fioletowych, ich barwy, splątane, prawie fosforyzujące przyciągały wzrok, ciągnęły go wzdłuż meandrycznych linii i zmuszały do wchłaniania obcego, obezwładniającego rytmu. Stałem na progu i przez chwilę widziałem tylko dywan. Odurzony nim, pozwoliłem się prowadzić, usadzono mnie w szerokim fotelu, w którym już po chwili prawie leżałem, a prezydent spoczął przede mną na swym ciężkim, wysokim krześle, przede mną i nieco z boku. Skądś dobiegał wysoki, gęstniejący świst, nieznośny, urywał się i powracał znów, natarczywy i przenikliwy. Obracałem głowę, ale nie znalazłem źródła tego dźwięku, zdawał się płynąć zewsząd i leżąc w zbyt miękkim, zbyt szerokim, krępującym ruchy fotelu nie miałem obrony przed cieniutkim, mocnym hasłem, rozpraszającym uwagę i wolę - jak dywan przed chwilą. Przycisnąłem ręce do uszu, ale dźwięk przedostawał się i przez nie, odjąłem ręce natychmiast, rozżalony nieskutecznością obrony i przestraszony, bo ten ruch był zbyt spontaniczny, by nie stanowił naruszenia etykiety.

Wtedy zapalono światło, punktowe źródło umieszczone za plecami prezydenta kłuło oczy, zamknąłem je i otworzyłem, bo światło natychmiast zgasło. Jeszcze jeden błysk, tym razem z góry i potem już ciągle ich serie, z różnych kierunków, rażące i przebijające nawet zamknięte powieki.

Prezydent milczał długo, jak długo, nie pamiętam, ale miałem czas zapoznać się z dźwiękiem, światłem i dywanem jakby przygasającym w błyskach, by, gdy ustawały, zatętnić mocniej nieznośnym wzorem. Trzy ataki prawie mnie pokonały, a prezydent czekał spokojnie i dopiero kiedy ochłonąłem, skupiłem się i dałem do zrozumienia, że mogę skoncentrować na nim uwagę, spytał:

- Chcesz wyruszyć do żony?

- Tak.

- Dlaczego?

- Szukać wyjścia.

Wzruszył ramionami.

- Chcesz wyjść? - powtórzył.

- Tak.

- Po co?

- Szukać wyjścia.

Poruszył się, pomyślałem, że wezwie czarnych, a linie zawołał. Jeszcze raz powtórzył pytania, a ja powtórzyłem odpowiedzi. Zdawało się przez chwilę, że znaleźliśmy się obaj w pułapce rytuału czy konieczności i tylko pojawienie się jeszcze kogoś - czarnych?, techników? - mogłoby nas wyrwać z kręgu ciągle tych samych zdań. Ale prezydent nie zawołał nikogo.

Powiedział, że mogę żyć w Velvie i zająć jako lekarz miejsce wśród techników, a może nawet wśród ich kierownictwa.

Światła gasły i zapalały się chaotycznie, świst milkł i podejmował wibracje, prezydent mówił, modulując głos, by go precyzyjnie ku mnie przez wszystkie przeszkody.

- Trzeba szukać wyjścia - powtórzyłem jeszcze raz, zmęczony hałasem, blaskiem, wzorem dywanu, głosem. - Jeśli ekspansja ma się ziścić, musimy szukać wyjścia. Znaleźć drogę.

- Drogę - mruknął. - Porywa cię idea?

- Póki nie ma drogi, jesteśmy otoczeni nieprzebytymi obszarami.

Zasłaniałem się wiedzą wyniesioną ze studia, a on teraz ciągle pytał, czy chcę wyjść, bo marzę o ekspansji. Czy marzę o ekspansji? Czy odczuwam zapach, myśląc o idei.

Chciałem odpowiedzieć twierdząco. Płasanie wzorów, barw, światła przeszkadzało, wiodłem oczyma za meandrami linii, wracałem do punktu wyjścia i znów wyruszałem w splątany marsz, jeszcze raz i jeszcze. Nie byłem zdecydowany. Dyrektor powtarzał pytania, jego twarz, przecięta wąsikiem, ledwie majaczyła na krańcach pola widzenia, słabo, na tyle tylko, bym zdawał sobie sprawę z obecności człowieka. To trwało długo. Prezydent nie reagował na przykładowe, zgodne z prawami wyjaśnienia i żądał wyjaśnienia uczuć, czy kocham ideę, czy wielbię Velwę. Mogłem przytaknąć, ale istniało niebezpieczeństwo, że będzie oczekiwał wyznań szczegółowych i coraz bardziej szczerych, w których się zaplączę. I wtedy wolno mu będzie wprawić mnie w kołowrót ponownych przypomnień i rehabilitacji lub - wypuścić.

- Nie - odpowiedziałem cicho, gdy jeszcze raz domagał się wyznań o przywiązaniu do idei. - Nie. Chyba chcę odejść.

- To jest posłuchanie - rzucił natychmiast, nikłymi gestami wskazał dywan, światła, przechylił głowę, jakby sycił się świstem. - To jest posłuchanie - oznajmił tonem, jakim w parę dni później posłużył się w ostatniej rozmowie, by oświadczyć, że przerywamy audiencję. - Powiedziałeś, że chcesz iść do żony. Dlaczego chcesz odejść?

- Nie jestem^A człowiekiem Velvy! - zawołałem, rytm rozbijał mi skronie. - Chcę was opuścić...

Umilkłem, prezydent zachęcił mnie gestem, to jest posłuchanie, powtórzył cicho, pochylając się ku mnie i badając natężonym wzrokiem.

- Chcę was opuścić. Straciłem Martę.

Wstał nagle, z udręką patrzyłem, jak wychodzi poza światła, daleko od dywanu, do okna.

- Nie chcę Joanny - bąknąłem.

Chyba dał jakiś znak, uchwytne dla kogoś, kto nas obserwował, a może sam decydował o świetle i hałasie. W każdym razie natychmiast znalazłem się wyłącznie w dziennym blasku i w ciszy. Przymknąłem oczy i odpoczywałem przez chwilę.

- Marta - szepnął. - Marta. Rozmawiałeś z nią?

- Z Joanną.

Wzruszył ramionami, usłyszawszy sprostowanie. Poderwałem się i opadłem w miękkość fotela. Postanowiłem zostać w Velvie, bo on właśnie uznawał istnienie Marty. Wydawało się, że nadzieja znów trzepece niedaleko.

- Rehabilitacja niczego ci nie dała - powiedział. - Może Marta powiedziała za dużo.
- Marta - zwołałem. - Przecież jej nie było.
- Co ci mówiła? O Velvie? Co ci powiedziała?

Znów uczynił nieznaczny gest, ale natychmiast potrząsnął głową, jakby rezygnując z przywołania świstu i świateł.

- Sam byś tu nie doszedł. Prowadziła cię? My tylko czasem chwytamy naśladowców. Jak przeszedłeś pogorzelniska? Marta cię prowadziła?

- Pan nie wie?
- Nie mogę wiedzieć wszystkiego.

Jeszcze stał przy oknie, ale już rozglądał się, jakby badając ściany i drzwi, oddychał płytko, ale słyszałem ten oddech, lekkie, krótkie sapnięcia.

- Przez cały czas wiedziałeś? - zawahał się. - Że przyszedłeś?

Wrócił na swoje krzesło i czekał na odpowiedź, bo zwlekałem.

- Tak - powiedziałem wreszcie. - Wiedziałem. Ale teraz nie muszę wiedzieć. Chcę zostać.

- Bo ona jest Martą? - uśmiechnął się, prawie dobrodusznie. Umilkł i zastanawiał się, błędy, szepnął kilka razy, błędy.

Przypuszczałem, że mnie odeśle, do studia albo do Edwarda, raczej do studia, i z góry godziłem się na seanse przypominania, na ręce, gotowe bić, nawet na kolejną zmianę życiorysu. Jeśli on wiedział i przyznawał, że Marta jest Martą, przez całe życie mogłem czekać na szansę i doczekać się kiedyś.

- Rehabilitowani nigdy nie chcieli wychodzić do zony - oznajmił wreszcie. - Jesteś pierwszy. Więc naprawdę nie jesteś naśladowcą. Nie chciałem wierzyć.

- Dlaczego pan mi to mówi?

- Bo ty pójdziesz do zony. Czy chcesz, czy nie chcesz. Musisz pójść, jeśli nie uwierzyłeś we wszystko, co odpowiadałeś. Błąd nie może wychodzić poza studio. Wyjdiesz więc ty. I możesz wiedzieć, co ja wiem. Żebyś - wzruszył ramionami - miał szansę.

- Zmusicie mnie?

- W Velvie nie ma przymusu - uśmiechnął się. - Gdybym mógł cię zmusić, już byś szedł ku zonie. Byłaby tylko audyencja. Nie byłoby posłuchania. I rozmowy. Nie mogę cię zmusić. Nasze prawo nie zna przymusu. Muszę cię przekonać do wyjścia, skoro teraz gotów byłbyś pozostać. Ale pójdziesz. Za kilka dni. Po audyencji.

Nie odpowiedziałem, wstał, podszedł do drzwi i uchylił je. Przygotowałem się znów do obrony na wypadek, gdyby weszli czarni, ale nie wzywał ich, powiedział kilka cichych słów do kogoś, kto stał z drugiej strony. Wrócił do mnie. Siadając, niemal dotknął mojej twarzy.

- Możesz mówić szczerze. Cokolwiek powiesz, pozostanie między nami. I bez względu na to, co powiesz, pójdziesz do zony i może wrócisz do siebie. Twoje błędy pozostaną w studio.

- Przecież zona jest nieprzebyta - powiedziałem.

- Cokolwiek powiesz, opuścisz nas - uśmiechnął się znów. Po chwili, która wydała się zakończeniem rozmowy, dodał: - Gotów jestem nawet na pewne wyjaśnienia, ale i ja muszę dowiedzieć się, gdzie tkwi błąd. W rehabilitacji? Nie mogę sobie pozwolić na jego powtórzenie. Latawce wrastają w miasto i nie chcą wychodzić. Ty - tak. Za mało mamy ludzi.

Marta ci opowiadała o Velvie? Muszę wiedzieć.

Był zbyt szczery. Nigdy tyle nie mówił. Nie chodziło mu tylko o błędy.

- Więc Joanna to jest Marta? - spytałem.

- Przecież wiesz o tym - powiedział, mimowolnie i podejrzliwie spoglądając na drzwi. Czekał chwilę, potem jeszcze raz do nich podszedł i nasłuchiwał. -- Wyjdziemy - powiedział.

- Tu jednak za dużo uszu.

Poprowadził mnie, minęliśmy dwóch czarnych warujących przy schodach i jeszcze dwóch - obok klombu, na którym teraz kwitły drobniutkie kolorowe kwiaty, wyglądało to tak, jakby trawa postanowiła przybrać różne barwy. Szliśmy kawałek ścieżką, ale przed jej przemianą w pierwszą ulicę skręciliśmy omijając domy. Podnóże wzgórza porośnięte kasztanowcami przekształcało się dalej w nieuczęszczany skwer, zapuszczony i nieco dziki, może dlatego, że sąsiedował / . martwym lasem. Prezydent prowadził i oddalając się od swej siedziby młodniał, przecięliśmy skwer, wychodząc nad jezioro, którego wody dotykały prawie horyzontu z drugiej strony - tam zaczynały się pola uprawne. Prezydent zdjął marynarkę i - znów omijając miejską plażę, upstrzoną dziećmi, zagarnianymi pospiesznie przez opiekunki w małe regularne stadka, odprowadzany spojrzeciami i przytłumionymi głosami, które i mnie towarzyszyły - poprowadził do długiego pomostu, drewnianego, wychodzącego daleko w jezioro. Jego zdaniem chyba jeszcze nie oddaliliśmy się dostatecznie, gdyż odczepił jedną z kołyszących się łódek, wsiadł, podał mi wiosła i kazał odpłynąć od brzegu.

Zatrzymaliśmy się dość daleko, woda była spokojna, prezydent wyciągnął się na dnie łodzi i wskazał mi miejsce, od długiego czasu po raz pierwszy przypomniałem sobie, że lato dopiero się zaczyna, a upały, które odczuwałem podczas wędrowki, wcale nie zmalowały.

- Tak - powiedział, jakby nie było przerwy w rozmowie. - Joanna to Marta.

Przyglądał mi się ze spokojnym zaciekawieniem.

- To znaczy, że przyszedłem z nią przez pogorzelniska, że wszedłem do Velvy, a ona do niej powróciła. Że jest wyjście, są drogi. To może znaczyć, że i zona nie stanowi nieprzebytego obszaru.

- O zonie nie wiem nic.

- Były ekspedycje. Przecież wiem. Nie wracały?

- Marta też nie wróciła - powiedział. - Ani ty nie przyszedłeś. Kto wychodzi, nie wraca, a nikt nie przychodzi - powtórzył prawdę, którą wbito mi do głowy w studio. Wsłuchałem się w jego głos, ale brzmiał poważnie, nie znalazłem w nim drwiny. - Tak to jest - westchnął, poruszył się, stuknęła o dno łodzi bezwładna dłoń. - Nie ma wyjścia z Velvy. Nie ma do niej wejścia i dlatego skazani jesteśmy na bezowocne poszukiwania. Bo czeka nas ekspansja.

- Nie rozumiem - powiedziałem, gotów przez chwilę, czując jeszcze razy na swojej skórze, bronić prawd Velvy. - Dlaczego pan tak mówi? Dlaczego pan mnie... - potknąłem się na słowie, którego użył w gabinecie - zaprosił na posłuchanie?

- Posłuchanie? Powiedzmy, że to audyencja. Pierwsza. - Wzruszył ramionami, jeśli to w ogóle było możliwe w pozycji, jaką przyjął. - Kto wyrazi chęć wyjścia z zony, jest na niej przyjmowany. Najczęściej potem rezygnuje. Niektórzy idą. Ale ty zgłosiłeś się za wcześnie. Twoja chęć pójścia do zony była podejrzana. Poza tym, mówiłem ci już, że re habilitowani nigdy nie zdradzają ochoty do odejścia. Nigdy. Na ogół nie mają ochoty na nic, nadają się

ledwie na robotników, czasem mogą być kierowcami. A ty jednak stałeś się lekarzem.

- Nie jestem lekarzem.

- Na nasze potrzeby wystarczy. Tu nie ma chorób.

- Nigdy?

- Choroba, gdy się pojawi, likwidowana jest natychmiast. Jak i niebezpieczeństwo. Ty jesteś chory - /nów się uśmiechną] i znów szukałem drwiny w jego Kłosie, ale ani w uśmiechu, ani w brzmieniu słów nie znalazłem nic, co by wskazywało, że zapomina, kim Jest. Informował po prostu. - Chorych się izoluje, a po wyzdrowieniu trafiają do studia.

- A jeśli nie wyzdrowieją?

- To się nie zdarza - uciął. - Dlaczego chciałeś wyjść? Przecież tu jest Marta, a wydaje mi się, że byłeś do niej przywiązany?

- Stała się Joanną.

- To prawda - przytaknął bezosobowo.

Jakiś daleki krzyk przesunął się po wodzie ku nam. Prezydent dźwignął się i patrzył na brzeg.

- Już są - powiedział. - A zakazałem. Pilnują. - Znów opuścił się na dno łodzi. - Co do Joanny, nie wiem, w jakim stopniu nią jest. Przecież ty nie stałeś się Janem.

- Byłem nim i tak.

- Janem z Velvy. Nim się nie stałeś. Dlaczego oni wybrali ci to imię?

- To nie pan?

- Nie. Byłem zajęty. Przegapiłem. Oni są... - urwał.

- Wydawało mi się... - szepnąłem. Przynaglił mnie nikłym gestem. - Sądziłem, że to dlatego, iż za zoną jest...

- Twoje miasto... Byliby tak naiwni? Powiedziałeś, że tam jest miasto. Dlaczego? Nie mów! - zawołał natychmiast. - Nie chcę słyszeć o tych metodach. Musiałeś. No tak. Pojawi się nowy cel.

- Ekspansji - dokończyłem i przez chwilę wpatrywaliśmy się w siebie w całkowitym zrozumieniu.

Nie drgnął nawet, nie oderwał wzroku od moich oczu, gdy powiedział:

- Nie musisz swoich ostrzegać. My nigdy nie przyjdziemy. To nie jest podstęp.

Znów uniósł się i obserwował brzeg, zacisnął wargi, i wąsy, wysterczone nagle, przecięły jego twarz na pół długą, czarną linią, jak wtedy, gdy się śmiał, ale nie śmiał się, patrzył na brzeg i zaczął się spieszyć. Wiosłuj, szepnął klęcząc w łodzi i patrząc do tyłu, zaraz tu będą, uwolnili drugą łódź, wiosłuj na środek i mów.

- Co mam mówić? - spytałem. Jeszcze nie chwyciłem wiosel i nie spojrzałem na brzeg, nie ja chciałem odosobnienia.

- Prędeż - syknął - i nie daj się dogonić. Będziemy się zmieniali. Prędeż.

Wiosłowałem z całych sił, a prezydent, przychylny do mojego ucha, szeptał szybko, *pamiętaj, nie było tej rozmowy, pamiętaj, cokolwiek by się stało, nie rozmawialiśmy, po prostu pojechaliśmy się pograć na słońcu, okazałem ci przyjaźń, bo myślę uczynić cię mężem mojej przybranej córki, prędeż, prędeż, i mów, pamiętasz wszystko?, jak tu przyszedłeś?* Tak, powiedziałem, wiosłując, a on klęcząc koło mnie, miarowo, w takt moich ruchów kiwał się, by

być blisko moich uszu i ust. I nie uwierzyłeś w prawdy, które wypowiedziałeś w studio? Zawahałem się, trzy razy poruszyłem wiosłami, nim, mimo wysiłku, obróciłem ku niemu twarz i krzyknąłem, nie, nie całkiem. A teraz, pytał gorączkowo, spoglądając na to, co dzieje się za nami, a teraz nie wierzysz? Nie, krzyknąłem, bolały mnie ramiona, prezydent chwycił wiosła, zepchnął mnie z ławki i wiosłował, może jeszcze szybciej niż ja. Pójdiesz do zony, mówił, nie obchodzi mnie, co się z tobą stanie, pójdiesz i nie wrócisz, staraj się dotrzeć do twojego miasta i nie opuszczaj go nigdy, wędrowniku, i nie bój się, my nie przyjdziemy, sapał, mówił urywanymi zdaniami, skandując prawie zgodnie z ruchem wiosła, nie przyjdziemy, bo nie ma ludzi, nie mamy sił, szukamy ich, re-ha-bi-li-tu-je-my, przy-mu-sza-my, zostają z nami i pracują, ale ludzi ubywa. Urwał. Sprawdzał ukradkiem, czy mnie przekonał, ale teraz ja patrzyłem do tyłu, łódź za nami już oderwała się od brzegu i jeszcze zostając w tyle, nabierała pędu, wiosłowało dwóch, trzeci stał na dziobie i krzyczał, ale nie słyszałem go. Nie bój się, idź do zony. A Marta!, wrzasnąłem. Marta musi zostać tutaj, jest Joanna, to moja córka, była moją córką, musi zostać, skandował, ale wysiłek nie pozwalał mu mówić, wypuścił wiosła, teraz ja go odepchnąłem i nie sprzeciwił się, opadł koło ławki, chwytając spazmatycznie powietrze. Dlaczego?, zawołałem, dysząc ciężko, bo nie mamy sił, powiedział, ludzi ubywa mimo pułapki. Pułapki? Pogorzelnisko, powiedział, przez pogorzelnisko droga do pułapki, stażyści to wiedzą. Że mają tam iść w razie awarii, ale nie wiedzą, że wrócą do Velvy i zostaną poddani obróbce, i staną się innymi ludźmi, bo do Velvy nie ma powrotu, czasem przychodzą z nimi jacyś naśladowcy, tych też bierzemy, czasem z zony... Urwał. Z zony?, krzyknąłem. W zonie nie ma ludzi, zawołał, wiosłuj, krzyknął, bo na chwilę zapomniałem o pościgu, rozgarniałem ramionami powietrze, znów i znów, wiosłuj, powtórzył ciszej, zbliżają się. Odrzuciłem wiosła, dłonie piekły, w ramionach ciągnął się ból, a prezydent nie poruszył się. Mamy ze dwie minuty, powiedział. Dlaczego ekspansja?, spytałem szybko.

- Nie wiem - wrzucił ramionami. - To pozostało. Jako naczelne prawo.

- A nieprzebyte granice?

- Ktoś musiał je stworzyć - powiedział, przesuwając się na rufę i dając ręką przyjazne znaki zbliżającym się na drugiej łodzi. - Gdyby nie istniały... Wyjdiesz - rzucił ciszej już, bo tamta łódź pędziła prosto na nas, a człowiek na dziobie odpowiadał na jego znaki, krzycząc coś, czego nie rozumieliśmy - jak najszybciej. Zgoda?

- Bez Marty?

- Nie ma Marty i nigdy jej nie było - powiedział prezydenckim głosem, już wracał do niego i wypróbował. - Przynajmniej - jeszcze na chwilę był człowiekiem, z którym uciekałem w łodzi - tak mi się zdaje, ale będę to musiał sprawdzić.

- Dlaczego pan mi to powiedział?

Przez chwilę patrzył na mnie, miał sekundy na odpowiedź lub milczenie, jego obnażona twarz tchnęła smutkiem, rezygnacją, siłą i dumą. Przymknął powieki.

- To moja córka - szepnął.

Druga łódź przyhamowała i szerokim łukiem zbliżała się do nas.

- A więc, Janie - powiedział prezydent - zgadzam się na twoją wyprawę. W imię ekspansji! - zawołał, nie wiem już do kogo, do mnie, z zimnym szyderstwem, czy do czarnych, którzy siedzieli w drugiej łodzi, pozdrawiając ich.

Gdy wracaliśmy, a wiosłował jeden z czarnych, usadowiwszy się na rufie, prezydent opowiadał o Joannie.

- Żałuję - powiedział - że nie będzie tego związku, ale skoro chcesz wyruszyć...

Czarny strzygł uszami. Druga łódź, eskortująca nas, płynęła cicho obok. Tam też słyszeli słowa prezydenta, ale na ponurych twarzach obydwu czarnych nie pojawił się znak zrozumienia.

8.

- Za dużo awarii - powiedział Edward. Stojąc obok okna, nasłuchiwał. Przytaknąłem, ale nie zwracał na mnie uwagi, za dużo awarii, powtórzył, nigdy nie było tak wiele, a teraz, zdaje się, jeszcze jakieś błędy, zawahał się, błędy, powtórzył mniej pewnie, bo zawierał niejasnym pogłoskom, i popatrzył wreszcie na mnie: błędy w programie. Idzie ktoś chyba, szepnął nagle, nasłuchiwaliśmy obaj, ale na schodach, przy wejściu do domu, który Edward zajmował samotnie, ani za oknem nie było nic słychać. Stałem za jego plecami. Światła Velvy, do których już przywykłem, ostre i zawieszane wysoko nad ulicami i nad domami, niepotrzebnie ujawniające niehumanitarną pustkę wieczornych i nocnych ulic i potęgujące ich ciszę, pozwalały nam teraz widzieć daleko, ale nie nadchodził nikt. Dziś już nie przyjdą, powiedziałem, a Edward zachnął się i przez chwilę miałem wrażenie, że nawykowo uderzy mnie; jak w studio, ale opanował gest, przyjdą na pewno, powiedział, i w tej samej chwili zabrzmiało pukanie.

Czekaliśmy już wiele godzin. Od naszego wyjścia, Marty i mojego, z domu prezydenta, minęło tyle czasu, że prezydent musiał już postanowić, w jaki sposób mnie wykorzysta - jeśli nie myliłem się, jeśli przedwczoraj wypuszczenie Marty w strefę granicy nie było jakimś jemu tylko znanym podstępem, cofnięciem zgody czy nawet przymusu wyjścia w zonę. Ale opowieść Marty, te szczegóły, których nie rozumiała w niej, jasne tylko dla mnie, i jego słowa wskazywały, że jednak prezydent mnie potrzebuje, spodziewając się może u obcego znaleźć sposób na opanowanie sytuacji. Bo nie ulegało wątpliwości, że sytuacja wymknęła mu się z rąk, a może nawet nigdy nie była mu podległa, skoro starzy technicy bez jego wiedzy postanowili zgodzić się ze skazującym córkę prezydenta wynikiem losowania i skoro on w ogóle o zwyczaju losowania nie wiedział. A więc przywołał mnie z powrotem, a ja uległem, nie wiedząc, czy rzeczywiście mogę mu coś zaoferować. Bo w końcu nie wszedłem do zony.

To jedno musiałem zrobić, skoro zdradziłem swoje miasto, zmieniając trasę poszukiwań chłopca tylko dlatego, że jedynym fałszem w wyruszeniu i ceremonii komandora było podsłuchiwanie, musiałem to zrobić: pomóc prezydentowi w opanowaniu wrzenia czy podejrzeń, jeśli by wybuchły, postarać się pomóc, przyczyniając się w ten sposób do ponownego zamknięcia ekspansji w jej granicach, a raczej przeciwdziałać osłabieniu granic; prezydent nie wzywałby mnie, gdyby zagrożenie nie obejmowało nieprzebytej zony lub pogorzelska, tylko w tej jednej sprawie mógł mi ufać całkowicie. Wiedział, że nie chciałem otwarcia granic, bo nie poddałem się przypominaniu. Nie byłem człowiekiem Velvy, a tylko obcy mógł ze szczerym przekonaniem ratować ideę, zamykając ją w dotychczasowych granicach i nie pozwalając na próbę jej realizacji. Albo obcy, albo on, prezydent, dysponujący

wieloma danymi, czuwający nad przypominaniem i może układający program rehabilitacji, wprawiający w ruch ciężarówkę, ponieważ powinny być w ruchu, i nie dopuszczający do pytań, dlaczego mają być w ruchu. Albo obcy, albo on. Albo razem.

Wróciłem i gotów byłem pomagać, to należało się mojemu miastu i to winienem był dyrektorowi, który wypuścił mnie do zony, wiedząc, dokąd naprawdę idę. Katował córkę i oddzielał mnie od niej, ale pozwolił mi wyjść i zamknął mnie w studiu. Jeśli przywoływał z powrotem, musiałem mu zaufać. Wróciłem, choć jeszcze tak niedawno sterczałem pośrodku neutralnego pasa, prawie słyszałem zimną furię pilnującego, który przywarował przy tablicy, gdzieś w polu i nie mógł się podnieść, rozprostować, póki nie odszedłem dalej.

Tak było. Straciwszy Martę, postanowiłem wyjść, i prezydent nie tylko mi na to pozwolił, ale gotów był mnie wyrzucić z miasta. Rozmawiał ze mną na jeziorze, oddał mnie masażystie. Udzielił audiencji.

I wyszedłem.

Równina porośła trawą była gładka jak stół, gdzieniegdzie sterczały z niej niewielkie kamienie, układające się w przypadkowe wzory, w których oko poszukiwało regularności. Gleba, między źdźbłami trawy, popękała od długotrwałej suszy i pragnęła wody, trawa, jeśli to jednak była trawa, te czarne szczątki, nie pragnęła już niczego. A przecież o kilkaset metrów stąd zboże rosło już wysoko, więc woda tu była, jeszcze dostrzegałem zielonkawą linię, w której na skraju leżał ten typ i obserwował mnie, niepewny, czy nie zmarnuję jego czasu, wracając, w czym nie będzie mi mógł - jeszcze - przeszkodzić. Bo ciągle stałem przed granicą. Puściłem się biegiem i stanąłem, z lęku przed zmęczeniem. Ostrzegano mnie także przed zmęczeniem. Kto zmęczy się w zonie, nigdy z niej nie wyjdzie, powiedział kiedyś masażysta. A przecież nikt nigdy z zony nie wychodził. Zaśmiałem się, rzuciłem na ziemię, byłem sam, pozbyłem się, padając, wzroku śledzącego, nikt nie mógł mnie zawrócić i zatrzymać, nie było Marty.

Siadłem, skrzyżowałem ramiona, tłumilem chichot, \diamondde mnie, próbując się ukryć w trawie, odpełzał szczupły kształt, widziałem go dobrze, pokryte ziemią i trawą, umazane kurzem ciało. Człowiek? Rzuciłem się nań, umknął długim skokiem, jak to zrobił?, wprost z ziemi?, poderwał się i z niewiarygodną szybkością, niewielki i skulony, rwał w głąb stepu, a potem zniknął, ale zanotowałem kierunek, ruszyłem za nim, runąłem w jamę, zakotłowało się, wyśmignął, nim wydostałem się na powierzchnię, był już daleko, a tuż przy mnie, pode mną w jamie wibrował długi, paniczny krzyk.

Tam była Marta. Zeskoczyłem do środka raz jeszcze, dotknąłem jej, skuliła się i odpełzła powolnym ruchem, ukrywając twarz w ziemi, w stronę najciemniejszego kąta, chwyciłem ją za ramiona, wyrывała się, uderzając głową w moje barki, potrząsałem, krzyknęła jeszcze raz i zamarła, podtrzymywana, prawie wisząc w powietrzu.

Potem, długo później, Marta ostrożnie wyswobodziła się, stanęła pewnie na dnie zagłębienia, chwyciła jakiś korzeń, podciągnęła się i wydostała na powierzchnię, poczekała, zwrócona w stronę tablic, aż stanę obok niej.

- Zachowałam się jak idiotka - powiedziała. - Przez chwilę myślałam, że to ty i... dotknęłam go, a potem myślałam, że walczysz, bo on na pewno przyszedł z zony. Czekałam tu na ciebie.

Nie odpowiedziałem. Obszedłem jamę i zatrzymałem się po drugiej stronie, jama dzieliła nas teraz i mogłem odejść do zony, musiała zaczynać się gdzieś tutaj.

- Czekałam na ciebie - powiedziała. W podróży, znanym mi kombinezonie, spiętym tak, jak wtedy, gdy zbliżaliśmy się do Velvy, brnąc przez lasy i pogorzelska, mogła być znów Marta, którą znałem. Kombinezon, noszący ślady wędrówki, poznawałem smugi popiołu ciągnące się przez materiał, miał mi pewnie przypomnieć, że szliśmy razem - ale już odchodziłem w stronę zony.

- Uważaj - powiedziała - bo wejdiesz w zonę. To już tutaj. Nie będziesz mógł wrócić.

Kontynuowałem marsz, bardzo wolno, małymi, odmierzonymi krokami, wypatrując granicy, ale granica na pewno nie wyróżniała się niczym na tym pustkowiu.

- Jestem Marta - dobiegła mnie spokojna informacja. Była pewna, że się zatrzymam. I stanąłem.

Jeszcze nic się nie zmieniło, ale już wracałem, omijając jamę, zapomniawszy o człowieku czy kształcie człowieka, który wymknął się w stronę zony i teraz może obserwował nas, oczekując - tak jak i tamten, strażnik w zbożu, wypatrujący z zielonawej linii koło ostrzegawczych tablic. Już, od tej chwili, nie szedłem do domu, by przyznać się do zdrady i oczekiwać kary (ale nie wierzyłem, że mnie ukarzą), szedłem ku Marcie, okrążając jamę, wracając może do Velvy albo rozpoczynając inny długi marsz, jeszcze nic nie było wiadomo: co mamy robić, dokąd się udać?, szedłem ku Marcie, bo przyznała, że nią jest.

Uśmiechała się, rozpoznawałem ten uśmiech, zapamiętany kiedyś przez chłopca i zapamiętany przeze mnie, prosty, ale skojarzony ze smutkiem, którego wcześniej w nim nie było.

- A ty jesteś Janem - powiedziała, gdy stanąłem koło niej. Powiedziała to tak, jakby chciała na chwilę bodaj przywrócić nastrój naszego marszu.

- Którym Janem? - spytałem, może zabrzmiało to zbyt gorzko. - Tym sprzed Velvy czy tym z Velvy?

- Przecież to jest to samo, jeśli ja jestem Marta.

Te słowa mogły brzmieć jak zagadka, ale nie dla mnie. Wziąłem jej dłoń, uniosła ją, podnosząc i moją rękę, przyciągnęła do ramienia i zmusiła, bym ją objął.

- Co mamy robić? - spytałem.

- Co chcesz - powiedziała. - Możemy wrócić albo iść tam...

Wiedziałem, że patrzy na zonę.

- Nie mogę wrócić - powiedziałem. - Prezydent zabronił.

Wskazała ręką tu tablicom. I powiodła nią ku zonie. Jeszcze nie przekroczyliśmy granicy.

- Nie chodzi o to - potrząsnąłem głową. - To nic, że nie wszedłem w zonę. Nie mogę wrócić. Ale mogę cię zabrać ze sobą.

- Po co szukasz drogi? - spytała. - Tam jest twoje miasto? Wiesz, co będzie, jeśli znajdziesz przejście?

- Nie będzie nic.

- Kłamiesz - rzuciła się na mnie, tak nagle, że upadłem. - Kłamiesz - syknęła stojąc nade mną. - Jesteśmy gotowi do ekspansji. Poszłam za tobą, żeby cię zatrzymać. Żebyś wrócił. Prezydent godzi się na nasz ślub. Mówią o tym wszyscy, rozmawiał z tobą, a ty odchodzisz?

Powiedział mi...

- Byłaś Joanną.
- Byłam. Dlatego odchodzisz? Jestem Martą. Dla ciebie jestem Martą.

Nie wiedziała chyba tego, co ja wiedziałem. Leżąc jeszcze, przypatrywałem się Marcie i pomyślałem, że jeśli przyznaje, iż jest Martą, będzie także musiała opuścić Velwę.

- Powiedziała to ojcu.
- Że jesteś Martą?
- Tak.

Opowiedziała chaotycznie, że poinformowano ją o rozmowie prezydenta ze mną i o mojej decyzji wyjścia, że wpadła do gabinetu i prosiła, by mnie zawrócono, że prezydent nie robił nic, stał i patrzył, a potem pochylił głowę i nie wiedziała nawet, czy prezydent słucha.

Rozumiałem, że przekonywał się w tej chwili, iż i ona nie zapomniała wędrówki.

A potem krzyknęła, że jest Martą, ale on nie kazał jej wyjść i udać się do zony, przyskoczył do drzwi, które ciągle obserwował z trwogą (jakby to była jego stała obsesja), wyjrzał i wrócił do Marty, a potem manipulował przy biurku i błysnęło światło, rozległ się gwizd, zaczęła się audyencja, a może posłuchanie, pozorne chyba, i Marta, obezwładniona setką wielokrotnie powtarzanych pytań i ich rytmem, odpowiadała: tak, pamięta wszystko, tak, jest Martą, tak, jest jego prawdziwą córką.

Widziałem prawie tę scenę, dźwignąwszy się z ziemi, przytulony do dziewczyny, wsłuchany w jej słowa, w których znów brzmiały sformułowania Marty i znany mi ton, i znajdowałem dawne jej gesty, jakby lalka, jaką stworzyli w studio, rozsypała się nagle na kawałki, uwalniając wreszcie istotę, którą znalazłem w kielichowa tej dolinie, która mnie znalazła - to okazało się zaraz, bo opowiedziała wreszcie, jak przygotowywana do lotu, uczestniczyła w losowaniu i na nią padł los, ona (wyciągnąwszy czerwoną gałkę w głębi studia, w obecności trzech techników, których ani wcześniej, ani później nie widział a, trzech starców, którzy dawno powinni odbyć swój pogrzeb), ona miała być ofiarą, oddaną po to, by znaleźć drogę albo przynajmniej nowy cel. I dlatego wyruszyła wcześniej, wystartowała przed innymi i mijając miasto naśladowców widziała z góry, jak dopiero zbierają się ze swymi konstrukcjami i jak jej pojawienie przyjmują ze skupieniem, wyciągnąwszy ręce, minęła miasto naśladowców i zapuściła się nad las, wiedząc, że opadnie albo w lesie i może zginie, albo poza nim, aż wreszcie muskając prawie korony drzew, dotarła do polanki, spostrzegła zbocze, którego już nie miała szans przebyć, i dojrzała mnie, i poczytała to za traf, który musiał się zdarzyć, skierowała maszynę w korony drzew, by nie rozbić się o suchy stok, i utkwiała w nim resztą pędu. Nie mogła już ukryć szybowca, dlatego nie pozwoliła mi patrzeć nań potem, zeszła na ziemię i położyła się obok mnie, obolała i zmęczona długim lotem, zasnęła, a gdy się obudziła, zobaczyła mnie nad sobą.

I to wszystko opowiedziała prezydentowi, który krążył po pokoju, wlepiwszy wzrok w ściany, ostrożnie i przewidująco, by nie patrzeć na córkę.

- Nie wiedziałem - powiedział. - Nie wiedziałem o czerwonej gałce. Więc jesteś Martą. Ale nie powiedziałaś o tym nikomu?

Zaprzeczyła, westchnął z ulgą i wznowił marsz wokół ścian, ale teraz nie pilnował już oczu i Marta widziała, jak spadają na nią zniecka, a potem umykają i powracają znów, jesteś

moją córką, powiedział, kim byli ci trzej? Nie znam ich, odpowiedziała, nigdy ich nie widziałam. Starzy? Tak, bardzo starzy.

Wahał się, kazał Marcie zamknąć się w sypialni i czekać, ale po chwili wtargnął tam za nią i jeszcze raz upewnił się, czy nikomu nie mówiła, kim jest. Przysięgła, na ekspansję, znów wypadł z sypialni i długo nie wracał, a potem pojawił się z technikami, z twoim wujem, powiedziała Marta, i z tym niskim, w jej obecności, ku zdumieniu obu, zmusił ich do opowiedzenia o programie rehabilitacji i przypominania, zastosowanym wobec mnie i Marty, technicy opowiadali przygnębionymi głosami, Marta zrozumiała, że zawinili, to co?, krzyknął prezydent w którejś chwili, że moja córka?, to co z tego?, odpowiadali cicho, zbliżając się do niego bardziej niż technikom wolno, mruczeł prawie, z paniką, wyjaśnienia do prezydenckiego ucha, a on, szarpiąc wąsy, których dotychczas jedynie dotykał, wykrzykiwał swoje, to co, że moja córka, to co, że on z nią przyszedł, nie wolno wam było łagodzić, a potem, jakby przypomniał sobie coś, jeszcze raz wybiegł z pokoju, zostawiając Martę z pełnymi uszanowania^A ale zszokowanymi technikami, i zaraz wrócił, zapowiedziało go wołanie na korytarzu, jego wołanie, kazał zatrzymać moje wyjście, przecież, powiedziała mi Marta, zatrzymano cię, prawda?, miałaś wyjść wcześniej?

Przytaknąłem, zatrzymano mnie i jeszcze raz, choć program testowania się zakończył, zaprowadzono do masażysty, który znów przejrzał ekwipunek i nie znalazł w nim wad. I potem poszedłem.

Więc prezydent wrócił, technicy stanęli sztywno pod ścianą, mówcie, krzyknął do nich, co jeszcze wiecie. Co jeszcze?, powtórzyli jednogłośnie, a potem niski, jakby wyzwolony, zaczął mamrotać prawdy o Velvie, zaczynając od najbardziej oczywistych, Velva jest miastem, Velva pamięta to, co pamiętać powinna, Velva jest wierna idei, idea musi iść w świat i idea nie zginie, a potem doszedł do granic, które są nieprzebyte, i umilkł nagle, wybałuszywszy oczy, a potem podjął, wyliczając granice, i wspomniał wreszcie, choć powinien o tym mówić wcześniej, o ekspansji, to długo trwało, ale prezydent nie przerywał, słuchał z dziwną fascynacją, jego wargi, zarażone żarliwością niskiego, zaczęły powtarzać słowa, przyłączył się wysoki, ten Edward, i teraz recytowali już prawdy we trzech, recytowali je, jak podczas wieców, akademii i pogrzebów, dochodzili do końca kanonu, nie wdawali się w cytowanie obowiązujących interpretacji i wznawiali od początku, Velva jest miastem, Marta zatkała uszy, musiała krzyknąć i może ten krzyk przebił się przez ich mamrotanie, bo prezydent ucichł nagle, zobaczyła to, bo nie mogła usłyszeć, zawołał coś i umilkli również tamci, odjęła ręce od uszu, kim są trzej starzy technicy?, spytał.

- Zwierzchnikami - odpowiedzieli wysoki i niski.

- Jakimi zwierzchnikami? - zawołał prezydent, a tamci wznawili recytację, była inna niż poprzednia, mówili o technikach i ich obowiązku i o cichych pomocnikach prezydenta, którzy działają w studio, troszcząc się o szlify, o szlify?, krzyknął prezydent, o szlify dzieł, jakie prezydent powołuje do życia. Prezydent przerwał im, dlaczego ich nie znam?, zawołał. Zna ich pan, odpowiedzieli, i znów zaczęli recytację, nie znam, przerwał im znów, umilkli, spoglądając po sobie, i nawet niski wyglądał tak, jakby się ocknął raz na zawsze.

- Pan ich nie zna? - spytał szeptem.

- Co cię to obchodzi? - odpowiedział prezydent i kazał im odejść, zamknąć się w swoich

mieszkaniach i nie wychodzić, póki im osobiście, osobiście nie pozwoli, a potem zwrócił się do Marty, pójdź w strefę granicy, powiedział Marcie, i zawróć go albo idź z nim, on będzie wiedział, opowiedz mu wszystko i dodaj ode mnie, że jeśli zna jakiś sposób, żeby mi pomóc, niech wraca, a jeśli nie zna albo nie chce pomagać, niech idzie w zonę, a ty idź z nim, będziesz bezpieczniejsza. I powiedz mu, dodał, gdy wychodziła, a nie musiał zezwolenia powtarzać dwa razy, powiedz mu od razu, że jesteś Martą.

- Idziemy! - rzekłem.

- Wracamy - odezwała się jak echo. - Nie ściągaj na swoje miasto ekspansji. On kazał i to powiedzieć.

- Boisz się jej?

- Nie. Ale chcę mieć Jana.

- On mi obiecał.

- Nie wiedział, co obiecuje. Nie wiedział - poprawiła - że nie może obiecywać. Ci trzej, on o nich nie wiedział! - wykrzyknęła ze strachem. - Pamiętaj o studio.

- On mnie zmusił do wyjścia.

- Bronił ekspansji i granic - szepnęła.

- Jednego i drugiego jednocześnie?

- Istnieją tylko razem - powiedziała i nie mieliśmy już o czym mówić. Staliśmy długo nad jamą. Potem wróciliśmy.

Pozwoliłem Marcie poprowadzić się z powrotem, ku zbożom, w których czaił się strażnik, czarny, zdumiony naszym powrotem i ukazaniem się Marty do tego stopnia, iż nawet nie usiłował się kryć, powstał i postępował za nami w pewnej odległości wielkimi, mechanicznymi krokami, jak nakręcana, spanikowana do obłędu zabawka. Wracaliśmy, natknęliśmy się po drodze na uszkodzoną i porzuconą ciężarówkę, coraz ich mniej zostaje, szepnęła smutno Marta, a potem inne ciężarówki dogoniły nas i otoczyły, przypierając do wysokiego żywopłotu, ograniczającego drogę, kierowcy wyskakiwali i wyglądało na to, że nie będą bawić się w namawianie nas do zajęcia miejsc, a po prostu wsadzą do szoferek i każą jechać, a sami zagrają o to, którzy z nich są wreszcie wyzwoleni od monotonnego podtrzymywania jazdy. Marta знаła ich sztuczki lepiej ode mnie, krzyknęła, w imię ekspansji, przystanęli na chwilę, ale znów postąpili do przodu, powtórzyła okrzyk, znów zawahali się, tym razem krócej, i zbliżali do nas, w rytmie jej okrzyków, a wtedy strażnik, o którym zapomnieliśmy, przydał się na coś, odezwał się, wyzwolony grożącym nam niebezpieczeństwem z oszołomienia, i ukazał swą czarno odzianą postać, rozpierzchli się w szczękę ciężarówkowych drzwiczek i ruszyli szybko, by tylko nie zapamiętał ich twarzy.

Marta podprowadziła mnie pod dom Edwarda, kazała wejść do środka i czekać na wiadomość, zastałem Edwarda siedzącego w apatii przy jadalnym stole, wpatrzony przed siebie mamrotał uświęcone formułki a nad jego głową, nad drzwiami, wisiał symbol ekspansji i portret prezydenta, upiększony, powiedziałem mu o Marcie i o sobie kilka słów tylko, i to go wyrwało z osłupienia, zaczął pytać, prawie nie słuchając odpowiedzi, a potem stanął przy oknie i czekał. Prezydent zakazał mu wychodzić, powtarzał w najwyższym bólu, zakazał, zakazał.

Potem, następnego dnia, przyszli po mnie, a on został, powtarzając o zakazie - o zakazie,

który był prawnie zabroniony - wróciłem po kilku godzinach, z poleceniem, bym czekał, a on stał u okna, zapadł zmrok, a Edward jeszcze tam trwał, ale coraz częściej, czując moją obecność za plecami, odzywał się, opowiadał o sobie, mechanicznie, by zapełnić ciszę i oczekiwanie, za dużo awarii, powiedział potem, i znów patrzył, mówił, a gdy wyraziłem wątpliwość, zgasił ją krótkim: na pewno przyjdą, a wtedy zabrzmiało pukanie.

Wpadł niski, nie poznałem go, bo ospałość zeszła z jego twarzy i porzuciła ruchy, mamy iść, mamy uciekać, powiedział, Joanna kazała, musimy uciekać, wiadomość od Joanny?, upewnił się wysoki, ale widać przyjął polecenie od razu, bo oszczędnymi ruchami zgarniał jakieś drobiazgi do kieszeni, zgasił światło, coś go zbudziło i kazało otrząsnąć się z szoku, jaki wywołać zakaz, szepnął: idziemy, zbiegliśmy po schodach, niski prowadził, skręciliśmy natychmiast w nie oświetlony zaułek o ślepych ścianach, a potem jakąś furtką, nie wiem, skąd się tam wzięła, ale była, zaskrzypiała, wydostaliśmy się na otwartą przestrzeń, znów więc uciekałem, ciepła, gorąca ciemność otulała mnie, spojrzałem w górę i zobaczyłem gwiazdy wokół księżycy, jaskrawe i nieruchome, jak zawsze; potykając się na gołej ziemi pobiegłem, (tam było światło, zostawiłem ich w tyle, a może to oni pozwolili mi pójść do przodu, może niski miał takie instrukcje, światło wskazywało wejście do niewielkiego budynku, szarpnąłem drzwi, zachęcony okrzykiem niskiego, nie ustąpiły, przesunąłem się wzdłuż ściany, inne światło, z okna, padało z góry, skoczyłem, chwyciłem framugę i podciągając się powoli, odkryłem półuchylone szyby, zamalowane na białą, i szczelinę między nimi, wiedziałem, dostrzegając już grupę kobiet i dziewcząt spoczywających w kłębach pary, to była łaźnia, teraz poznałem, widziałem ten budynek i dziś właśnie przypadał dzień kobiecych kąpiele, kobiety, nagie, poruszały się spokojnie, krople wody i potu snuły się po ich ciałach, któraś mogła mnie zobaczyć, ale nie patrzyły w okno, z tłumu wyłoniła się Marta i naga podeszła do okna, przycisnąłem twarz do ciepłej szyby, by nie patrzeć, ale widziałem Martę w półprofilu, gładkie wychylenie jej biodra i spłaszczenie brzucha, spadającego w słabo widoczny w perspektywicznym skrócie, ciemny trójkąt łonowy.

Pojawiła się obok mnie, czekaj na dole, tchnęła, zeskoczyłem, wróciłem pod drzwi, ale pozostałem w cieniu, wyszła po chwili, jeszcze naga, niosąc w ręku wążek odzieży, szybciej, powiedziała, poszedłem za nią w ciemność, światło dobiegało tu i kładło się niespokojnie na jej ciele, nie, to ona, stojąc i rozkładając ubranie, poruszała się w nieuchwytnym rytmie, starałem się nie patrzeć, ale widziałem drżący płas ciemniejszych sutek, twardych teraz, w chłodniejszej od łaźni nocy, i samowolnych.

Zabrzmiały słowa, ktoś, kobieta?, nie, to niski, swym miękkim, piersiowym głosem zawołał nas, poczekaj, powiedziałem, chcąc przedłużyć jej obecność, nie można, szepnęła, później!, i pomknęliśmy w ciemność, zbiegliśmy nad brzeg jeziora, skoczyliśmy do łodzi, innej niż ta, którą płynąłem z prezydentem, większej, spóźniacie się, znów głos niskiego, prezydent nie może czekać. Prezydent, parsknęła Marta, prezydenta tu nie ma, został w mieście. Niski sapnął i zaczął gramolić się z łodzi, ale Marta zawołała, że prezydent kazał słuchać jej właśnie, Joanny, szybciej, powiedziała, wiosłujcie, teraz zobaczyłem, że na dnie łodzi znajdowała się jeszcze jej matka i jakaś inna młoda kobieta.

Marta cicho przedostała się do techników, przywołała mnie i opowiadała szybko, że prezydent kazał jej się ukryć, ale w mieszkaniu nie można już, zgromadziło się pełno ludzi,

oczekujących na przyjęcie przez prezydenta, kazał się ukryć i polecił obydwu technikom, którzy wtedy nas rehabilitowali, schronienie przygotować. Pomyślała o łaźni, ale dziś dzień kąpieli kobiet - gdy podeszła do łaźni, nie mogła już udać, że o tym zapomniała, miała tylko tyle czasu, by zawiadomić niskiego i przyłączyć się, zgodnie z regulaminem, do kąpiących.

Dlaczego uciekamy?, spytał Edward, nie wiem, powiedziała, mamy się ukryć, on, wskazała na mnie, i ja, i moja matka, i wy. Ale dlaczego? Polecenie prezydenta, szepnęła i przestali pytać. Przypuszczałem, że kłamała, bo rankiem, gdy czarni przyszli po mnie, zobaczyłem prezydenta i rozmawiałem z nim, zresztą musiała wiedzieć, że domyślam się jej kłamstw, ale wierzyła też, że jej zaufam, więc milczałem i nawet tam, pod łaźnią, nie krzyknąłem, dlaczego kłamałaś, choć kłamała rano i miała kłamać teraz, w obronie., broniąc siebie i mnie?, zdradzając ojca?

Bo rano zaprowadzono mnie do prezydenta i znów znalazłem się w gabinecie, i prezydent nie usiłował nawet przez chwilę badać mnie czy pytać, powtórzył jedynie to, co sugerowała w strefie granicy Marta: iż potrzebna jest moja pomoc. Ale nie wierzyłem mu prawie, bo w pobliżu zony, gdyśmy wracali ku osłupiałemu strażnikowi, Marta mówiła, wspominała wprawdzie o pomocy, lecz potem w kuchni Edwarda, który sterczał w nie mniejszym osłupieniu przy oknie, opowiedziała o zonie rzeczy, które - gdybym je znał wcześniej - kazałyby zaniechać jakiegokolwiek myśli o wędrówce. Bo znów, szykując obiad nam - Edwardowi i mnie - i łamiąc zatem etykietę, a potem zbierając się do wyjścia, przewidywała, i znów pojawił się w tych przewidywaniach Celes, którym omal, przez jej przewidywania, nie stałem się pod wpływem badań w studio, pojawił się Celes, naśladowczy, ale groźniejszy niż kiedykolwiek. Prezydent musiał wiedzieć o przewidywaniach, bo wszak przewidywała Marta, a nie umiała więcej, niż umieli ludzie w Velvie.

Przekazałem prezydentowi i tę jej wizję, a on, gdy gubiłem słowa lub nie rozumiałem niektórych z nich, podpowiadał je bezbłędnie, a więc i on przewidywał, opowiadałem, jak opowiadała ona.

Weszlibyśmy (przewidywała Marta) w zonę, przecinając ją ku północy. Trawy po horyzont, wznoszący się wiatr i słońce bijące w plecy przyspieszyłyby marsz. Nocowalibyśmy, znużeni do ostateczności, pozbawieni żywności, którą zgubiłem w jamie, pod gołym niebem, obok pasma krzewów, pogryzając ich liście, by stłumić suchość w gardłach. Marta jęczała przez sen i "nie pozwoliła mi wypocząć, jęczała, mamrocząc: Joanna, Jan, Celes, aż do wczesnego świtu i razem z nim zerwała się, gotowa mimo zmęczenia do dalszej drogi. Skoro idziemy, powiedziała, musimy się spieszyć, bo nie wiadomo, jak daleko rozpościera się pustynia. Ruszyliśmy więc, a wtedy, po kilku zaledwie minutach marszu, zamajaczyły na północy białe płachty, najpierw jako niegroźne punkciki, potem jako budowle z wiotkiego materiału, oddalone jeszcze. Zatrzymaliśmy się, Marta wypatrywała, ale budowle wydawały się opuszczone i postanowiliśmy dotrzeć do nich, bo może w ich pobliżu znaleźlibyśmy jeśli nie ludzi, to przynajmniej wodę i pożywienie. Budowle przybliżyły się jednostajnie, ich kształty, nigdy nie widziane w naszej strefie, przypominały mi jednak coś znajomego, potem dopiero, gdy byliśmy zbyt blisko, zrozumiałem, że geometryczność ścian to odwzorowanie

latawców, ale było za późno, weszliśmy na wydeptaną ścieżkę i w tej samej chwili z ziemi wokół nas, z płytkiej transzei powstałoby ludzie, a wśród nich Celes, przewyższający wszystkich wzrostem, Celes, który podszedłby do nas z prostym uśmiechem i z wyciągniętymi rękoma, nie czekaliście na mnie, zawołał, ale was znalazłem, teraz będziemy razem, teraz poprowadzicie, i zbliżywszy się, dotknąwszy naszych posłusznie wyciągniętych rąk, rzuciłby się nagle na mnie i obezwładnił na krótką chwilę, dostateczną jednak, by dopadli nas inni, nie pozwalając uciec ani poruszyć się. Potem skrępowani znaleźlibyśmy się w budowlu (namiocie, podpowiedział słuchający mnie prezydent), naprzeciw stołu, przy którym posilał się rozrywając zbrykietowane porcje dziadek Celesa. Jadł powoli, rzucając na nas śliskie spojrzenia, ale nie rozkazał rozwiązać nam rąk i nie rozkazał nas karmić. Siedzieliśmy tak długo, oplątani jego wzrokiem, a inni, Celes i mężczyźni, którzy nas schwytali, kolejno podejmowali zgromadzone na stole brykiety i wychodzili z namiotu.

- Spotkaliśmy się jednak - powiedział dziadek Celesa. Skończył jeść, powstał zza stołu, który składał się z metalowych nóżek i naciągniętego nad nimi płótna, przybliżył do nas i nagle uchwycił Martę, podniósłby ją i powłókł w kąt namiotu, ku stercie noży i zaostrzonych kijów.

- Nie! - krzyknęła. Chwycił nóż i przeciął więzy, Marta upadła na ziemię i dźwigając się powoli, wpatrzona w niepojętą stertę, wołała, w imię ekspansji, jak wtedy, gdy osaczyli nas kierowcy ciężarówek.

- Ekspansji - powtórzył starzec i z nikłym uśmiechem przeciągnął ostrzem noża po otwartej dłoni.

- W imię ekspansji - powtórzyła, ale to go nie powstrzymało.

(Opowiadała, krzątając się po kuchni, jakby opowiadanie nie zajmowało jej uwagi, a wylewało się słowami niezależnie od niej, oni nie mogliby się tam znaleźć, zawołałem, przecież twierdzą, że latawce nie przejdą lasów. Ale dziadek Celesa powiedział coś o skrępowaniu sznurkami, prawda?, zaprzeczyła. Po co mieliby wchodzić w zonę, uciekliśmy w innym kierunku, zawołałem jeszcze raz, tak głośno, że Edward poruszył się chyba przy swoim oknie, usłyszeliśmy jego kroki. Nie wiem, ale byliby tam, powiedziała, i powiedziałabym im o ekspansji. Nie kłamiesz? Nie, zaprzeczyła spokojnie, nie zdziwiła się, że zarzucam jej kłamstwo, wiedziałam, że będziesz mnie podejrzewał, dlatego mówię ci to dopiero tutaj, gdy już wróciliśmy, żebyś tam, koło zony, nie sądził, że opowiadam po to, byśmy właśnie wrócili.

- Więc tak by było?

- Tak, powiedziała, posłuchaj...)

- Dość. Znam to - powiedział prezydent. - Przewidywanie przeprowadzone prawidłowo, ale nie rozumiesz się na tym, chłopcze. Tak by było, gdybyś poszedł z Martą, a miałeś przecież iść w zonę sam. Skierowałbyś się bardziej na zachód i wyszedłbyś tam, gdzie chciałeś wyjść. Jednakże wchodząc w zonę z Martą, zaufałbyś jej znajomości terenu, instynktownie, nie pamiętając, że Marta znać go nie może, i natknąłbyś się na ludzi Celesa, jeśli on istnieje. Ale nie poszedłeś i nie poszedłbyś, bo przewidywanie to nie realność i ich tam nie ma, bo nie mają na co czekać. Nikt się tam nigdy nie pojawi.

- Nie wierzę panu.

- Musisz. Przecież wróciłeś i to ja cię zawróciłem.

- Nie wierzę panu - powtórzyłem. - Jeśli można przewidywać, to można przewidywać różne warianty. Nie znam wariantu, który mówiłby o tym, co by się ze mną stało, gdybym poszedł sam.

- Nie ma takiego wariantu - powiedział poważnie - nie ma, musisz to zrozumieć -- znów spoglądał na drzwi - kto miałby go opracować?

- Pan - powiedziałem. - Albo Marta. Albo ktokolwiek.

- Można pracować nad zdarzeniami, w których miałby uczestniczyć ten, kto przewiduje - powiedział prezydent. - Nie mogę układać twojego horoskopu. Mogę ułożyć swój. Nie wiem, co robi Marta, nie wiem, co by robiła, wiem, co robisz ty, bo tu jesteś, ale nie wiem, co będziesz robił za dwie godziny i jutro i, ponieważ nie wiem tego, sięgam w przyszłość zaledwie na godzinę. Bo potem, jeszcze później znów się zetkniemy, ale ponieważ nie wiem, jaki wówczas będziesz, nie umiem przewidzieć także naszej wspólnej przyszłości.

- Nie rozumiem.

- Marta przewidywała, co by się stało z wami, gdybyście nie rozstawali się ani na chwilę i tylko do momentu hipotetycznego rozstania jej przewidywania sięgają. Swoją własną przeszłość Marta może przewidzieć tylko do chwili, w której zetknie się z nowymi ludźmi, tymi, którzy nie wystąpili jeszcze w rzeczywistości.

- Ale przewidywała więcej.

- Bo Celes nosi w sobie siebie i swojego dziadka, i swoją matkę. Przewidywanie sięga trochę dalej, o godzinę, dwie, potem nie na wiele się zdaje. Mogę przewidzieć, że zetknę się dziś z pewnymi ludźmi, i przewiduję pewne zdarzenia, które nastąpią, jeśli teraz, w tej chwili otworzę drzwi. Ale nie otwieram ich i przewidywanie już się zmienia.

- Teoria przewidywania- mruknąłem.

- Teoria przewidywania. Tak to nazywamy. Jakoś trzeba nazywać. W praktyce na nic się ono nie przydaje. To tylko balast. Atawizm - machnął ręką.

- To po co ona mi opowiadała? - spytałem.

- Dziewczyna. - Uśmiechnął się. -- By cię związać ze sobą. Wierzysz mi?

- Nie wiem.

Wzruszył ramionami, nagle zmęczony, ruszył znów w marsz po pokoju, który kontynuował w czasie przekazywania mu przeze mnie opowieści Marty, i przerwał tylko na chwilę, nie masz innego wyjścia, mruknął, zdaje się, że ktoś cię szuka. Kto?, spytałem. Nie wiem, podejrzewam, w każdym razie ktoś cię szuka, by ogłosić, że wszedłeś w zonę i by poddać cię ponownej rehabilitacji. O Marcie jeszcze nie wiedzą, ale to kwestia czasu. Nie, zawołałem. Niestety. Będziesz mi musiał pomóc, powiedział głośno, zbliżając się do mnie, nie lubisz tego lasu?, prawda?, stoi bez pożytku od zawsze, zawsze był martwy, teraz kamienieje, ja też go nie lubię, ale muszę go chronić, jako świątynię mądrości, choć nic w nim nie ma poza rozwalonymi zabudowaniami i częściami metalu. Rozwalonymi?, spytałem, wy burzycie zabudowania?, choć rosną z ziemi? Zaśmiał się, może one nie dorosły, powiedział, słowa, różne słowa, może nie dorosły, tak, tam mogą być niedorosłe zabudowania i rozkwitający metal, rozumiesz, ale nic z nich nie będzie, jak z tego lasu, który wyrósł, a nie zieleni się. No,

idź, powiedział, idź, wezwę cię przez Martę albo przez techników, nie wychodź z domu Edwarda.

Nie wychodź z domu Edwarda, powiedział, ale ja wcale do domu Edwarda nie dotarłem. Na dole, w sieni prezydenckiej rezydencji, trzech techników i dwóch czarnych szeptało cicho. Kiedy stanąłem na schodach, urwali rozmowę, słyszeli moje kroki i unieśli twarze, oślepienie tajemnicą, dla jakiej się zgromadzili, tak pomyślałem, podnieśli twarze, nie widząc mnie, a może nie poznając przez długą chwilę, nie mogli mnie poznać od razu, bo przecież wiedzieli, że poszedłem do zony, wszyscy o tym jeszcze wiedzieli, i moje pojawienie się w mieście musiało być tak niepojęte, że raczej brali mnie za obcego niż za rehabilitowanego Jana. Tak było przez dłuższą chwilę. Powoli, z coraz większym wysiłkiem schodziłem, a potem ich wiara w moją nieobecność skruszała nagle, uznali widać, że wróciłem mimo niemożności powrotu i rzucili się, jednocześnie (to mnie uratowało, bo stłoczyli się u podnóża schodów, przyciskając do poręczy i ściany), w górę, zawróciłem bez wahania, szarpnąłem drzwi prezydenckiego gabinetu, prezydent czekał, wiedział, przewidywał, krzyknąłem to, pan wiedział, odepchnął mnie i zatrzasnął drzwi, pan wiedział, krzyknąłem, prędeż, syknął, wyrwałem się, musiałeś przez to przejść, wychrypiał, jeszcze się opierałem, ciągnął mnie, odmawiając wyjaśnień, nie mamy czasu, wsłuchał się w tumult na schodach, odtrącił jakieś krzesło i wyciągnawszy do mnie rękę, którą po sekundzie wahania jednak uchwyciłem (prawie nie zwrócił uwagi na niesłychane dotknięcie), rzucił mnie, naprawdę rzucił ku oknu.

Otworzyłem je szarpnięciem i nie zważając na las, który ścielił się skruszałymi wierzchołkami tuż pod oknem, skoczyłem, zawisnąwszy na moment na rękach, i przedierałem przez zarośla, odrzucając ich oślizłe, wilgotne macki. Potem zawróciłem, dom było widać, prezydent stał w oknie i patrzył za mną, z tyłu, za jego plecami zobaczyłem niejasne sylwetki, ustawione w karnym posłuszeństwie, prezydent odwrócił się do nich, odesłał gestem, a potem przywołał mnie, tą samą dłonią, którą ich wypędził z gabinetu. Po rynn timerz się na górę, ale nie dotknąłem okna, było daleko, próbował mi pomóc, nie dosięgnął, przeczekał w lesie, powiedział, ja się tymczasem zorientuję, co się dzieje, wróc później, dam ci znak, przeczekał w lesie, nie zwracaj na las uwagi. Więc znów skoczyłem, ale teraz las stanął przede mną w całej swej ohydnej martwocie i tylko największym wysiłkiem i największym strachem przełamałem pierwsze jego gałęzie, i z największym wstrętem położyłem się na jego ziemi, czekając.

Słyszałem krzyki za domem prezydenta, zobaczyłem kilka sylwetek uważnie przepatrujących załomy w przybudówkach szop, potem znów zabrzmiały okrzyki, skandowane i jednoczesne, ale nie rozróżniłem słów, a może ich nie znałem. Prezydent nie pokazywał się w oknie, wydawało mi się jedynie, że widziałem czającą się w gabinecie Martę. Potem zaczął zapadać zmrok i w domu prezydenta zapalono światła, jednocześnie we wszystkich oknach, jakby dom był pełen. Krzyki umilkły, okna jaśniały w kierunku lasu, ale nie było w nich ludzi, te fragmenty pokoiów, które mogłem dostrzec, wydawały się puste. Nie było zimno, lecz skamieniały las rządził się własnymi prawami, wilgoć atakowała mnie, szorstkie źdźbła dostawały się pod ubranie, szczękałem zębami i wierciłem się, starając nie tracić z pola widzenia gabinetu na piętrze.

Nie zauważyłem, kiedy nadszedł czarny, a jednak stał, musiał stać od dłuższej chwili, bo

nagle zobaczyłem jego ciemną postać nade mną, w pozycji spokojnej, oczekującej, jakby lekko znudzonej, i biel twarzy nad ubraniem, twarzy bez rysów, jakby ciemność czy las nałożyły na nią prześwitującą maskę. Leżałem nieruchomo, a i on nie poruszał się, choć już wiedział, że go dostrzegłem, stał nade mną o krok, zawisł nad moim ciałem, jakby wahając się, czy je przykryć swą czernią i pochłonąć, leżałem, a on czekał na dogodną chwilę albo na moją reakcję, mogłem prawie słyszeć jego oddech. Dom jarzył się światłami, ale zapomniałem o gabinecie prezydenta, czarny stał nade mną w pozycji swobodnej, naturalnej i tylko jego nieruchomość i nieznaczne pochylenie zdradzały jeszcze, że przyszedł do mnie, wiedział, gdzie mnie szukać.

- Niech pan nie zwraca na mnie uwagi - szepnął wreszcie, głosem pozbawionym intonacji, jakbyśmy rozmawiali już przedtem, długo i przyjacielsko. - Proszę patrzeć w okna. Niech pan uważa na gabinet. On tak kazał.

Nie odpowiedziałem, ale nie poruszyłem się, śledząc go ciągle, o ile możliwe było śledzenie tu, w lesie i ciemności.

- Gabinet - powtórzył. - On kazał panu przypomnieć, że da znak. I to przesyła.

Wydawało mi się, że nie drgnął, ale jednak tuż obok mnie coś upadło miękko, posunąłem dłonią i natrafiłem na paczuszkę, owiniętą w arkusz, sztywny i nieco śliski.

- Niech pan je. Ja poczekam - powiedział czarny miękko, opiekuńczym głosem, ale znów przysiągłbym, że zwracał się ku lasowi czy w przestrzeń, a nie do mnie. I nadal stał nade mną w niewymuszonej, a jednak czujnej, pochylonej pozycji, jakby bał się, że umknę, ale bał się trochę tylko i pozorował jedynie czujność, spodziewając się w rzeczywistości, iż może mi ufać.

- Dlaczego pan...

- Niech się pan nie boi - przerwał mi. - Ja nie przyszedłem po pana. Proszę leżeć, jeść i patrzeć. On pana wezwie.

- A pan?

- Pójdę z panem. Kazał mi być z panem.

- Niech pan tak nie stoi.

- Nie zobaczę mnie - powiedział i zaśmiał się cicho. Po raz pierwszy coś ludzkiego wydobyło się z jego ust. - Jestem czarny - i znów zaśmiał się, jakby kpina, żart przywracały mu nieco indywidualności. - Poprowadzę, gdy nadejdzie czas. Nie jest pan akrobatą - stwierdził czy raczej zapytał, jakby był świadkiem mych wyczynów na ścianie domu.

- Czego pan chce ode mnie? - spytałem.

- On nie jest pewien, czy wie wszystko. Czy ma dostateczne dane.

- Powiedział to właśnie panu?

- Zawsze się kogoś ma -- odparł spokojnie. - On nie ma danych.

- I ja mam je dostarczyć - szepnąłem tak cicho, że nie powinien dosłyszeć, ale odpowiedział.

- On ma nadzieję, że pan coś wie. Mogę już pytać?

Przełknąłem szybko ostatni kęs i znów, zapominając o oknie, podniosłem głowę, by mu się przyjrzeć.

- Już mnie pytali, wiele dni.

- Wiem - wyjaśnił. - Ale tam są pewne szczegóły... To nie ma być przypominanie - powiedział i wyglądało na to, że znów bezgłośnie się śmieje. Miał stanowczo zbyt wiele życia, jak na czarnego. Czarni, pozbawieni mimiki i własnej woli, nie zdradzali nigdy inicjatywy, jakiej im nie nakazano. Z wyjątkiem czarnego, który szedł za mną do zony. Był to mężczyzna młody i - wtedy mi się wydało, niesłusznie - chyba niedoświadczony, bo nie opanował zdumienia i z własnej inicjatywy uratował nas przed zakusami kierowców.

- Pan szedł za mną do zony?

- Tak. Dlatego wiem, że pan tam nie wszedł, i dlatego mogę tu być. A oni nie chcą wiedzieć, że pan nie wszedł do zony - powiedział zbyt długimi zdaniami i zbyt wieloma.

- Szukają pana?

- Tak - może znów się śmiał. - Jestem niewygodnym świadkiem.

- Dla kogo?

- Dla nich. Musiałem stanąć po stronie... - zawahał się, pierwszy raz. - Jestem człowiekiem prezydenta - powiedział pospiesznie.

- Niech pan pyta.

- Pan wiedział o Velvie, zanim pan przeszedł przypominanie - powiedział tak szybko, jakby od dawna jedynie czekał na moje przyzwolenie. - Skąd?

- On wiedział - mruknąłem. - Nie ja. Chłopiec. Od niego.

To mu widocznie niczego nie wyjaśniało, ale nie odezwał się i znów, wydawało się, zmartwiały, jak las, w którym byliśmy, jakby miał zadać tylko to jedno pytanie i na tym wyczerpywało się jego zadanie. Jego indywidualność, tak wyrazista w zestawieniu z innymi czarnymi, nie była jednak jaskrawa.

- Chłopiec - dodałem, ale znów nie poruszył się, więcej, w jego nieruchomości pojawiło się niezrozumienie i rozczarowanie, które umiał mi przekazać bez słów i gestów. - Jest ode mnie niezależny - mówiłem - postępuje według własnych praw. Czasem, później, to, co on przeżywał, częściowo spotyka i mnie.

Nie mogłem mu nic więcej powiedzieć, bo nie było nic więcej do powiedzenia.

- On wiedział o Velvie, przeżył pierwsze spotkanie, które potem i ja przeżyłem - dodałem prawie z rozpaczą. - On...

- Rozumiem - powiedział nagle czystym, silnym głosem. - Rozumiem. Pójdę i powiem mu. Wrócę...

I zniknął, zanim miałem czas zaprotestować, podnieść się i pójść za nim, rozpląnął się w ciemności tak szybko, że nie wiedziałem nawet, czy cofnął się, czy przeszedł przez wyrwę w płocie, którą i chłopiec tu się kiedyś dostał.

Znów czekałem, namacałem pomięty arkusz i zacząłem, obserwując dom, składać go i rozkładać, poczułem pod ręką kształt latawca i upuściłem go, a potem znów szukałem i badałem brzegi załamań, żeby dowiedzieć się, jak naśladowcy to robią i jak ja to zrobiłem, ale w ciemności nie rozeznałem sposobu i odrzuciłem znów arkusz; pomknął w powietrzu, a potem spadł, dość daleko, usłyszałem suchą gałązkę, jaką potracił.

Nie wiem, jak długo czekałem, ale potem, po minutach czy kwadransach drzemki, nieświadomego czuwania, otępienia, czarny znów stał nade mną, w tej samej pozycji, swobodny, a jednak lekko nachylony.

- Idziemy - powiedział i wtedy zobaczyłem postać prezydenta w oknie.

Minęliśmy dziurę i ostrożnie, trzymając się ścian domu - wyczuwałem dłońmi służącą się wilgoć, której za dnia nie było - przekradaliśmy się obok szop, wsunęliśmy przez wysokie, piwniczne okno, lekko uchylone, do czarnego pomieszczenia, wymacaliśmy schody i weszliśmy na parter. Dom, jasno oświetlony, wyglądał jak opuszczony, stąpaliśmy po przywieszonych do ściany schodach cicho, nasłuchując, czarny obracał ku mnie nieruchomą twarz (tak, to był ten, - który czyhał na granicy pól), ostrzegął, potem uchylił drzwi dyrektorskiego gabinetu, wskazał mi przejście i - gdy wszedłem - pozostał na straży, a potem i on, przywołany przez prezydenta, znalazł się w pokoju, wysłuchał rozkazu i po chwili przyniósł pudło, przedziurawione szklanym owalem, manipulował przy nim.

Prezydent pytał, on - wskazał na czarnego - opowiedział mi o chłopcu, dlaczego nie mówiłeś o nim wcześniej?, prawie krzyczał na mnie, dlaczego nie mówiłeś? Nikt mnie nie pytał, odpowiedziałem. Opowiadaj, rozkazał, więc zacząłem znów opowiadać, spiesząc się, nie wyjaśniając logiki życia chłopca, nie zważając na nieprzekładalność jego uczynków na nasz język, opowiadaj, popędzał prezydent, a czarny, tkwiący przy pudle w pozie technika, niestosownej dla niego, pochylony nad gałkami i kołkami, zdawał się nie słyszeć i nie istnieć, gdy opowiadałem to, czego przekazania nikt żądać ode mnie nie miał prawa. Ale ulegałem, zakładając, że dyrektor wie, co czyni.

Wspomniałem o labiryncie i zawahałem się, bo był w nim i chłopiec, i może ja, i może coś z przewidywań, które mimo nieobecności Marty w tych zdarzeniach ujawniały się niepewnością widzenia. Prezydent, słuchając do tej pory z ciekawością, ale bez podniecenia, zdenerwował się nagle, ponaglał, kilka razy przerwał, a potem wymienił z czarnym parę zdań, których nie rozumiałem, padały cyfry, litery, hasła, wiedziałem tyle, że rzecz dotyczy archiwum, tak, wtrąciłem się, archiwum, tak mówił sowiooki.

- Na pewno? - spytał prezydent i na chwilę odwrócił się do czarnego. - Byłeś tam?

- Ja. Albo chłopiec. A może cień chłopca, bo...

- Widziałeś?

Wzruszyłem ramionami. Prezydent czekał, a potem wydał czarnemu polecenie, na owalu na mgnienie oka pojawiła się kobieca głowa, a potem załopotwały nagle znane mi korytarze, tłum pędził, nie było dźwięku, a potem znów zobaczyłem, w niejasnych obrazach, urywanych i drgających, szarzejących od czasu do czasu (a chwilami obraz zastępowała nieskazitelna, bucząca biel), sterty pakunków, skrzyń, kształtów, wydobywanych silnymi strugami światła z ciemności, na nich znów litery układające się w niepojęte słowa, a zaraz kilka głów pochylonych nad elektryczną baterią, ledwie ją poznałem, bo pewnie była na tym obrazie w całości, a może przerośnięta nadmiernie (wokół złomowiska koło mojego miasta znajdowaliśmy jedynie zaczątki tych baterii, elektrycznych, ułamki, z których kiedyś miało coś powstać), i koniec, znów biel, szczepek kołków i wyprostowanie czarnego oznaczające koniec pokazu.

- Tam byłeś? - spytał prezydent głuchym głosem, którego znużenie przestraszyło mnie bardziej niż wszystko, co do tej pory w Velvie się działo.

- On tam był - powtórzyłem. - Chłopiec. Albo ja.

- I wyszedł wprost do Velvy?

- Tak. Ja wyszedłem. I było tak, jakby chłopiec mnie przeprowadził.

- Och. Ciebie przynieśli - powiedział, odsłaniając tym lekceważącym zdaniem tajemnicę mojego pojawienia się u wejścia do szop. - Ale mogli cię przenieść i tam. Pokazać. Po co? Ktoś z tobą rozmawiał? O tym... archiwum?

- Nie.

- Nikt? - spytał i nie czekając na odpowiedź rzucił: - Ale byłeś tam albo on był, ten chłopiec. W każdym razie wiesz, że..jest. Istnieje. Po co? Tam było dużo ludzi? - zwrócił się do mnie szybko.

- Tak.

- A tu są potrzebni. Po co się ich tam trzyma? Kto ich trzyma?

Spojrzał na technika, jakby zamierzał jeszcze raz popatrzeć w obrazy z pudła, ale zrezygnował, więc to istnieje, mruknął, i tobie to pokazali, po co?, po co?, może po to, byś potem umiał przeciwstawić się przypominaniu?

- Dlaczego? - krzyknąłem.

Wzruszył ramionami i jakby zmartwiał, nie rozważając, nie przypuszczając, nie planując już niczego, jakby oddawał się konieczności czy wyrokowi, który już mógł przewidzieć. Powiedział, że ktoś mógł uodpornić mnie na przypominanie i rehabilitację, w jakim celu?, czy po to, bym przyniósł do Velvy to, co oni nazywali błędem i tępił stanowczo, aż do pozbawienia człowieka życiorysu? Ktoś miałby wprowadzać w Velwę szansę na złamanie granic (bo tak to teraz wyglądało), choć granice były nieprzebywalne, wprowadzać niebezpieczeństwo, ukazując mi przed seansami w studio, przed rehabilitacją i przypominaniem, jak inni, tam w labiryncie czy w archiwum, badają przedmioty i marzą o wyjściu, badają bezskutecznie, usiłując dowiedzieć się ich przeznaczenia, a może usiłując sobie ich przeznaczenie przypomnieć? Tamci szukali przejścia i wierzyli, że istnieje, tumulty mogły wynikać ze starcia wielu grup, które doszły w badaniach do innych rezultatów, tamci buntowali się i pokonywali nawzajem, pozostając w równowadze bez wyjścia i niewiedzy.

- Nikt ich tam nie trzyma - powiedziałem nagle.

- Ale tam są. I widocznie ktoś o tym wie. Ktoś w Velvie - powiedział prezydent tak szybko, jakby tylko czekał na moje słowa, doszedłszy wcześniej do takich samych wniosków.

- Tamci szukają wyjścia.

- Tylko ta grupa, na którą się natknąłeś albo którą ci pokazano. I ta grupa nie ma nadziei, że sobie przypomni.

- Przypomni?

- Wszystko jest przypominaniem - powiedział. - Już przez to przeszedłeś.

- Ale niedokładnie - zdenerwowałem się. - Wasz program widać nie jest doskonały - dodałem z zadowoleniem, z nadzieją, że go dotknę.

- Bo tam byłeś. W archiwum. Nie wiem tylko, po co. Czy wiesz - spytał - że ty ze wszystkich ludzi widziałeś najwięcej? Może to jest odpowiedź. Ktoś dostał w ręce unikat i wykorzystał go.

- Po co?

- Nie wiem. Mam nadzieję, że nie wiem - poprawił natychmiast własną odpowiedź.

Nie chciał mnie już słuchać i nie chciał dzielić się własnymi przypuszczeniami.

- Masz coś jeszcze? - zwrócił się do technika i ten pochylił się znów nad gaikami, zaczął wybierać ich kombinacje, pojawiały się migawkowe obrazy, ale nie było labiryntu, nie, zaprzeczałem, nie, tego nie widziałem, ale nie słuchali mnie prawie, nie, tego też nie, nie, nie, umilkłem wreszcie, obrazy biegły, raz jeszcze przemknął labirynt i grupa ludzi snujących się wzdłuż ścian, szukających wyjścia czy przypominających sobie - dlaczego wszystko jest przypomnieniem?, dlaczego on tak powiedział, spytałem bezgłośnie, dlaczego przypomnieniem, co mi przypomniano, dlaczego przypomnieniem.

- Patrz - prezydent uważał jednak na mnie, miałem widzieć, co dzieje się na owalu, w pudle, obraz właśnie znieruchomiał, zobaczyłem ujęcie z góry, z wysoka, przedstawienie miasta czy budowli, u ich podnóży czarne pudełka zdawały się zapełniać całą przestrzeń.

- To było - zawołałem - to było na ścianie w domu Celesa, to widział chłopiec i to przewidziała Marta.

Ował zgasł natychmiast, prezydent milczał, a czarny, wyprostowany i znowu zdumiony, wpatrywał się w nas obu.

- Myślałem, że to spreparowane - powiedział dyrektor.

- Tego nie ma - stwierdziłem z uzasadnionym przekonaniem. - To tylko on widział. Chłopiec.

Prezydent nie słuchał mnie, myślałem, że to spreparowane, powtórzył, a potem rzucił się ku czarnemu i teraz razem, pracując zgodnie, znów wybierali kombinacje: nie, mówił prezydent, sięgaj dalej, do zapomnianych zapisów, jeszcze dalej, jak najdalej - a na owalu pudła znów wykwiwały obrazy, często ruchome, pełne ludzi i twarzy, zbliżonych i wymownych, czasem włączał się także dźwięk, ale były to tylko odgłosy, okrzyki, kroki jakby, warkoty i nigdy prawie - słów, a jeśli słowa, to zniekształcone lub układające się w bezsensowne ciągi.

Wreszcie przestali szukać, prezydent usiadł za swym biurkiem, a czarny zastygł przy pudle, oni nie mieli już czego szukać i nie mogliśmy nic wyjaśnić. Wydawało mi się, że słyszę szelesty w domu, za drzwiami gabinetu, ale mogłem się mylić, ani czarny, ani prezydent nie reagowali na nie.

On, prezydent, już wtedy wiedział o kłęsce, a my, czarny i ja, być może przeczuwaliśmy ją, być może - nie jestem dziś pewien, czy zdarzeń późniejszych nie rzutują na tamtą chwilę, w której dyrektor zrezygnował z działania. Cisza i bezruch mogły być odpoczynkiem, a słowa, jakie wreszcie padły, próbą podsumowania dotychczasowych postępow poznania.

Ale były wyznaniem, formułowanym głośno, jakbyśmy mieli być jego świadkami: czarny jako przyszła niewinna ofiara, ja jako przyszły kronikarz. Może prezydent znów przewidywał i jego przewidywania sięgały aż dzisiejszego dnia. Wydaje się to nieprawdopodobne, ale jego przemowa, wyznanie, jego otwartość nie tłumaczyły się ani chwilowym rozgoryčeniem, ani ojcowską troską, ani prezydencką lekkomyślnością. Z mojego miasta wyniosłem wiarę, że nic się nie dzieje przypadkiem - i na pewno prezydent nie pozwalał przypadkowi zrodzonemu z jakichkolwiek emocji ujawnić się i działać. Chociaż, kto wie? Nie dopilnował, by technicy poddali Martę przypomnieniu bardziej skutecznemu i rehabilitacji całkowitej. Może nie przypuszczał, że pozwoli sobie na pobłażliwość. Ale może na nią liczył. Nie, przypomnienie, któremu poddano Martę, przypadkiem nie było - mogło być, z jego punktu widzenia, błędem.

A wyznanie, które wyrwało mu się tuż po pokazie, w chwili, w której uświadomił sobie znaczenie obrazów i powiązał je z moimi słowami? Błąd, poddanie się logice błędu, konieczność? Prowokowanie losu wreszcie? Na pewno nie przypadek - na pewno zadał sobie gwałt, formułując zdania.

Pochyliwszy głowę, tonem człowieka, któremu szczęście wymknęło się z rąk tylko dlatego, że go nie rozpoznał, powiedział:

- Myśmy to traktowali jako fałszywe zapisy, bezwartościowe, jako zapisy pozbawione nawet błędu, który można by wykorzystać. Nie wiedziałem o ich prawdziwości - dodał po chwili, krótkiej jak mgnienie, choć wyliczonej - ale oni muszą wiedzieć, oni wiedzieli przez cały czas i istnieli w głębi studia w moim imieniu, ale przeciwko mnie. W imię ekspansji, lecz przeciwko Velvie.

Te słowa nie mogły się ułożyć w tak patetyczną frazę przypadkowo, jestem pewien, że milcząc przedtem, siedząc za biurkiem i przewidując klęskę, ułożył je, byśmy zapamiętali pięknie brzmiące poddanie i byśmy je mogli potem powtarzać, powtarzać, że prezydent pięknie się poddał. Albo że rozumiał konieczność poddania, choć mógł walczyć z wielkimi szansami na zwycięstwo.

- Czerwona gałka, rehabilitacja Marty, twoja rehabilitacja - wyliczał, ledwie zwracając ku mnie spojrzenie - twoja prośba wyjścia, wyznanie Marty, wasz powrót, zapisy. Przygotowano błąd. Wybrano moją - podkreślił to słowo - córkę. Błąd - rzucił jeszcze zagadkowo - trzeba wykorzystywać bez względu na to, skąd pochodzi.

Znów umilkł, jakby zastanawiając się, czy dodać wyjaśnienie do wyliczenia faktów, skrzywił się lekko, poruszył głową i zrezygnował.

- Wrócisz do Edwarda - powiedział. - Nie teraz, rano, on cię przeprowadzi - wskazał na czarnego. - To jeszcze mogę zrobić. Wrócisz do Edwarda i będziesz czekał. Może mi się uda - szepnął.

Czarny skinął na mnie i wyszliśmy, nie pożegnawszy się, znów sunęliśmy obok ścian, skrzypnęły drzwi szopy, czarny prowadził, natknęliśmy się na szereg spań, tak przypuszczałem, a rano zobaczyłem, że nie myliłem się.

- Połóż się - powiedział czarny - ale nie śpij. Zaraz świt, potem przyjdę do ciebie.

Znikł i wrócił dopiero po kilku godzinach, przyniósł śniadanie, poczekał, aż zjem, a potem ukradkiem przeprowadził mnie do skweru z kasztanowcami, stamtąd było już blisko do domu Edwarda. Tam mnie zostawił. Dotarłem do Edwarda nie zaczepiany przez nikogo, zresztą na ulicach mimo pełnego dnia nie było ludzi, Edward znów czekał przy oknie i zobaczywszy mnie otworzył drzwi, a potem wrócił do okna i powtarzał, że prezydent zakazał wychodzić, zakazał, zakazał, uciekłem do kuchni, lecz jego mamrotanie i tu mnie dochodziło, zatykałem rękami uszy. Wreszcie nadszedł wieczór i zabrał nas niski.

Nie widziałem logiki w wydarzeniach, choć istniała. Przygotowano stratę, jaką poniosłem, stratę Marty - i wtedy postanowiłem wyjść w zonę, by wrócić do swojego miasta. Wyszedłem, potwierdzając domysł, że za zoną żyją ludzie. Zawrócono mnie, znów posługując się Martą. Bo Marta znów nią była. I to przygotowano, niedbale czyniąc z niej Joannę. Zbyt niedbale. Zawrócono więc mnie i ją i podsunęto prezydentowi problem do rozwiązania, problem nierozwiązalny. A prezydent? Wszedł w pułapkę. Więc kiedy uciekaliśmy nocą przez jezioro,

rozstrzygnięcia już się dokonały.

Płynęliśmy szybko, technicy wzięli się do wiosł, Marta usiadła przy matce i nie znanej kobiecie, a ja, na dziobie, wypatrywałem, czy nie ma przeszkód na drodze. Znów była noc i ucieczka, przywykłem do ucieczek i chłodno planowałem kierunek przyszłego marszu, bo nie wątpiłem, że wylądowawszy będziemy musieli przeciąć pola i dostać się dalej, by tam przeczekać lub przekroczyć granicę. Marta mogła to wiedzieć, jeśli nie kłamała, bo w domu Edwarda pojawił się niski, a nie czarny, którego się spodziewałem, prezydent zaś - zdaje się - stracił z niskim łączność czy też nie chciał jej nawiązywać, rezerwując techników do innych zadań. A więc nie przyszedł czarny i podejrzewałem, że Marta działa na własną rękę, choć obecność jej matki mogła potwierdzać wiedzę i zgodę prezydenta.

Płynęliśmy szybko, ale niedługo: przed nami zapaliły się liczne, słabe światełka - wpłynęliśmy w obszerne półkole innych łodzi, które, gdy technicy przestali wiosłować, zbliżyły się i głos ciemności zawołał nas w imię ekspansji. Edward odpowiedział, jedna z łodzi trąciła burtę naszej, w świetle zobaczyłem, że pełna jest techników, którzy z nich przeskoczył burtę i kazał zawracać. Poprosił. Edward zawahał się, technik zacytował nowy rozkaz prezydenta, a Marta nie zaprotestowała, przylgnęła do matki i objęła ją, towarzysząca im kobieta zaniósła się głośnym, nieprzystojnym płaczem. Zawróciliśmy, Edward i niski wiosłowali pod nadzorem nowo przybyłego technika, a inne łodzie bezgłośnie postępowały blisko, z tyłu. Dobiliśmy do pomostu i szybkim orszakiem, otoczeni przez techników, którzy pilnowali nas, ale jednocześnie rozmawiali ze sobą, jakby wiedzieli też, że nie zamierzamy uciekać, przeszliśmy, obok łaźni, przez skwer pod górę, do domu prezydenta. Technicy wpuścili nas, Martę, jej matkę, kobietę, Edwarda, niskiego i mnie, i zatrzymali się przy drzwiach.

W połowie schodów oczekiwał prezydent, ubrany na czarno, w galowym stroju, zza jego pleców spoglądał na mnie z góry, z prawie przyjacielskim pozdrowieniem, czarny, który był w lesie, który szedł do granic miasta, człowiek dyrektora.

- Kazałem was wyprzedzić i zawrócić - powiedział prezydent. Marta krzyknęła i rzuciła się ku niemu. - W imię ekspansji - dodał i dziewczyna zatrzymała się w pół skoku. - W imię ekspansji - powtórzył wypowiadając każdą sylabę, jakby wyrzucał na stół dowody porażki, odwagi, zawodu i wiary.

Dał znak, gęsiego przesuwaliśmy się obok niego i obok czarnego, odsunęli się, oparli o ścianę i liczyli nas, kwitując przejście Marty, jej matki, kobiety, techników i moje prawie niewidocznym zmrużeniem oczu. Byliśmy znów wszyscy razem w oblężonym domu, razem z rozkazem prezydenta, który zdecydował się przegrać.

Zebrałiśmy się w gabinecie. Czekaliśmy, wsunął się czarny i szeroko otworzył drzwi, wpuszczając dyrektora. Prezydent policzył nas raz jeszcze, jakby spodziewał się zastać tłum, a zastał garstkę.

Potem kazał nam odpoczywać, obaj technicy zeszli na dół i ułożyli się równolegle przy drzwiach frontowych, matka Marty zabrała swą towarzyszkę do pokoiów na dole, Marta poszła za mną korytarzem i też zamknęła się w swoim pokoju, stałem przez chwilę pod drzwiami pomieszczenia, w którym mieszkaliśmy do niedawna z Edwardem, pchnąłem je, nasłuchiwałem kroków i okrzyków z zewnątrz, były prawie niedosłyszalne, nie rozbierając się

rzuciłem na spanie i natychmiast...

...(chłopiec i inni) w ciągle uroczystym orszaku, nie łamiąc ani na chwilę przyjętego na granicy porządku stanęli, by przypatrzeć się z góry wzorom skał czy budowli, rozciągniętych aż do linii horyzontu. Prezydent objął je niespodziewanie radosnym, nie, zaskoczonym gestem i obrócił się do chłopca:

- Poznajesz? - spytał.

Skinąłem głową, choć nie poznawałem, ale pewność jego głosu zmuszała do przytaknięcia.

- Poznaję - powiedziałem.

- Twój labirynt - rzekł i jeszcze raz powtórzył jest, jakby przyciskał strukturę leżącą na dole do piersi.

To było raczej miasto z pudełkami, lecz pudełka podziały się gdzieś, przestrzeń między domami, jeśli to były domy, zawaliły widoczne nawet stąd złomy skał czy ścian. Prezydent ruszył i jednocześnie z nim drgnął orszak, schodzili w dół po stopniach, które nie przybrały jeszcze ostatecznych kształtów, jak nie przybrało ich miasto, chłopiec pomyślał, że być może kształty kiedyś były ostateczne, ale zawstydził się tej myśli, bo postanowił wracać do siebie, porzucić orszak gdziekolwiek, nie wskazywać kierunku, choć nie wiedział, czy orszak jest nieświadomy położenia miasta chłopca. Obaj technicy musieli pamiętać swe pytania i odpowiedzi, a także podstęp, jakiego się dopuścili w czasie rehabilitacji. Chłopiec postanowił porzucić orszak, a jeśli się uda, zabrać zeń także Martę, zabrać, jeśli Marta się zgodzi. Jeśli się zgodzi, bo chociaż w zonie pozwoliła znów nazywać się Martą, a nazywali ją tak także i inni, technicy, czarny, prezydent, matka i jej pomocnica, to jednak wyszła z Velvy - chłopiec obserwował przecież wchodzący w zonę orszak -- w zgodzie z prezydentem i opiekunami.

I chłopiec wspominał też, że w namiocie dziadka Celesa na próżno szarpał więzy. Starzec wymachując bezsensownie nożem nad głową Marty pytał o ekspansję i Marta usiłowała odpowiedzieć, śledząc migotliwe węże zataczane przez ostrze tuż obok jej twarzy, a chłopiec każde jej słowo pokrywał okrzykiem. Starzec patrzył na niego nieruchomym spojrzeniem, znów pytał Martę. Marta odpowiadała, chłopiec krzyczał. Potem wszedł Celes i zbliżył się do chłopca, starzec pytał, Marta, obezwładniona wirującym wokół jej głowy nożem, odpowiadała, a Celes mocował się z chłopcem, usiłując zmusić go do milczenia, i nagle, pchnięty mocniej, przewrócił się pociągając chłopca, przeturlaliśmy się do nóg Marty, ostrze mignęło i spadło na moje ręce, związane z tyłu, szarpnął i był wolny, obydwoma dłońmi, z całej siły, opadł na twarz Celesa, zerwał się, skoczył do Marty, a starzec odrzucił nóż i zaśmiał się, bierz ją, powiedział, przecież jej nie ma. Bierz ją, nie jesteś nam potrzebny.

Znów powrócił na swoje miejsce za stołem i patrzył, jak macam powietrze w poszukiwaniu Marty, potykając się o bezwładne ciało Celesa, nie ma jej, powtarzał, śmiejąc się, nie ma jej, możesz iść, więc wybiegłem, szukając śladów Marty, namioty skryły się nagle i nie odnalazłem już ścieżki do nich, sztuczka starca, którą starannie przygotował. A potem zobaczyłem zdeptaną ziemię, pod gołym niebem, obmacałem ją w poszukiwaniu, czego?, nie było nic, tylko ślady moich stóp, zawracałem w kierunku Velvy, wiedząc, że nie wrócę, bo z zony nie ma wyjścia, ale spostrzegłem, daleko, sznur tablic i zieleniejący pas, może czarny

strażnik jeszcze tam czekał, przywarowałem na granicy, przekroczyłem ją, a strażnik, jeśli "krył się w zbożu, nie podniósł się, doszedłem do jamy, znalazłem ekwipunek z żywnością, wodą, narzędziami i znów zawróciłem do zony, a wtedy spoza tablic wysunął się wężyk ludzi, zbliżali się dostojnie, na przedzie prezydent, za nim czarny strażnik, matka Marty i towarzysząca jej kobieta, Marta, Celes i dwaj technicy, szybko znaleźli się obok mnie, wstałem i przyłączyłem się do nich nie powitany ani jednym spojrzeniem, wsunąłem się w lukę między Martą i technikami i dopiero w tej chwili orszak zamknął się, utworzył całość, szliśmy miarowym krokiem, niezmęczeni, posilając się w marszu i w marszu przekazując sobie nawzajem wodę. Chłopiec starał się podejść do prezydenta, ale szyk orszaku nie pozostawił luk, a wyglądało na to, że wyłamanie się na bok także jest niemożliwe, Marta nie odpowiadała na pytania.

Wieczorem ze szczytu dojrzeliliśmy w dole miasto, prezydent zwrócił się do chłopca przypominając labirynt, pytając o archiwum, ale w dole było tylko miasto z obrazu na ścianie u Celesa, i po stopniach, wyrąbanych w skale czy wyrosłych z niej, zeszedliśmy w dół. I tam rozbito obóz.

Rano, po śniadaniu, prezydent odpoczywał. Marta, od wczoraj milcząca, podeszła do chłopca.

- Prowadź - powiedziała.

- Nie - odpowiedział chłopiec.

- Prowadź - powtórzyła jeszcze raz. Gdzieś, mimo braku wody, zdążyła się oczyścić, uczesać i doprowadzić ubranie do porządku. Czysta, schnąca i nieskazitelnie ubrana siedziała na płaskim kamieniu, który mógł być progiem nie istniejącego domu, na skrzyżowaniu kilku wylotów niskich ulic, po ich bokach sterczały niedorośle domy, których ściany wyciągały się w górę i miały wyciągać coraz wyżej jeszcze wiele lat.

- Czy ty jesteś? - spytał chłopiec, zbliżając się do niej i chcąc dotknąć.

Odpłynęła nagle, między wyciągniętą ręką chłopca i jej ramieniem powstała luka, i powstawała na nowo, ilekroć przesuwiał się ku dziewczynie.

- Nie ma jej - zaśmiał się Celes. - Ale prowadź.

- Nie - powiedział. - Nie będę prowadził. Nie wiem, po co weszliście w zonę. Nie możecie powrócić. '

- Poprowadzisz - powiedziała, tym razem nie prosiła już. - Prowadzisz albo wyjdziemy na namioty naśladowców i oni będą naśladować ideę, a nie znają pojęcia zony i granicy. Jeśli odrzucili nieprzeżytość, jeśli są tutaj, nie bojąc się lasów, jeśli przyszli bez latawców, mogą pójść wszędzie, a znajdą drogę.

- Nie - powiedział chłopiec. - Ich też nie ma. Ich tylko przewidziałas.

- Patrz - powiedziała i zobaczył na urwisku, wysoko nad nami, na skraju czaszy obejmującej miasto z tej strony, punkciki namiotów. Celes biegł ku nim.

- Ciebie nie ma - powtórzył chłopiec i jeszcze raz spróbował dotknąć ręki dziewczyny.

- Nie ma mnie - zgodziła się. - Ale pójdę z tobą do twojego miasta.

- Z ideą?

- Idea pozostała w Velvie.

- Więc i oni jej nie poznają! - zawołał chłopiec i wskazał na namioty. Nie było ich już. -

Ale my ją znamy. Niesiemy ją.

Obydwa technicy prowadzili ku nam prezydenta, utykał lekko.

- Poprowadzisz? - powiedziała znów.

Prezydent przystanął nad nami, technicy ostrożnie posadzili go obok Marty i prezydent objął córkę, lekko, ale wyraźnie dotknął jej.

- Ty jesteś - powiedział chłopiec. - Nie.

Zerwał się z płyty, na której leżał do tej pory, i odszedł, nie patrząc na obozowisko, dziewczynę, prezydenta, ludzi, wszedł w ulicę, której niedoroste ściany długo nie mogły go zakryć przed oczyma tamtych, ale ściany wyciągały się jednak w górę i w końcu osiągnęły zawrotną wysokość, dotykając nieba, a ulice, zbyt wąskie dla tych wysokości, prowadziły go bezsensownie, kapryśnymi liniami, tak że stracił kierunek i zorientował się dopiero znalazłszy się na obszernym placu, pośrodku którego sterczał ze skały skamieniały człowiek o postawie wędrowca. Rzuciłem się do ucieczki i znów błądził w meandrach pustego miasta, coraz bardziej dojrzałego, domy nie rosły już, gdzieś tam zaopatrzony się w drzwi i szyby w oknach, gdzieś tam i bruk zdążył się już scalić, a potem domy zamknęły się nade mną, tunel, gwałtownie zwężony, prowadził prosto jak strzeł, a z innego korytarza wypadł tłum i momentalnie stratował leżących, wrzask rozrywał uszy, rozległy się detonacje, gryzący dym buchnął z sali, a tłum nad nami kłębił się szukając drogi, uciekajcie, krzyknąłem i rzuciłem się w ciemność, za mną liczny tupot, przystanąłem, przepuściłem ich i znowu biegłem, a potem zostałem sam. W ciemności.

Skądś z daleka jeszcze nadciągały odgłosy, ale łatwo było je wziąć za przypadkowe szmery, potraskiwanie drewnianego stropu, jeśli w ogóle był tam strop, stukanie mysich łapek, znalazł się sam tak całkowicie, że zwątpiłem we wszystko, co stało się w ostatnich godzinach, w sowiockiego i w grupę jego towarzyszy, i archiwum, i tłum.

Uskoczył w najbliższy otwór nowego tunelu, bo prze- grzmiał obok wieloosobowy, zdeterminowany oddział.

I znów cisza. Musiał iść.

Dalej było światło i najpierw znów chciał się cofnąć, światło ciepłe i żywe, w jego snopach warował kurz, spadało z góry, wyszedł przed dom, to nie była Velva. Miasto, tu ukształtowane znów prawie do końca, ciągnęło się dziesiątkami ulic, było je widać, bo opadało z boczem ogromnym i płaskim, porośniętym regularnymi kępami drzew, a dalej znów przechodziło w ulice.

Z tyłu wyłoniła się Marta i dotknęła chłopca.

- Poprowadzisz?

- Tak - powiedział.

- Nie bój się. Przecież mnie nie ma.

- Nie boję się - szepnął i uśmiechnął się do niej, a potem uchwycił jej dłoń i wykręcił boleśnie. Dziewczyna patrzyła na chłopca spokojnym wzrokiem, nie wyswobadzając ręki, poprowadzisz, powtórzyła. Z ulicy, którą przyszła, wynurzył się zakurzony orszak, a za nim, w regularnych szeregach, postępowali surowi technicy, zbratani z naśladowcami.

- Poprowadzę - powiedział. Powalił dziewczynę i znów uciekał, a ściany gwałtownie zawijały się w górę tworząc strop tunelu, zawrócił, orszak stał nad dziewczyną, technicy w

regularnych licznych szeregach oczekiwali karnie, pochylił się, podniósł Martę i trwał w przykłęku.

- Musimy iść - powiedział ironicznie prezydent. - Ludzie czekają. W imię ekspansji zbieraj się i chodź. Nie umkniemy. Ani ty, ani ja.

Wstałem (znów ja) i panowałem nad ciałem.

Prezydent ciągle w galowym stroju, czarnym i jeszcze dumniejszym niż zwykle, przyozdobionym rzędem błyszczących blaszek na prawej piersi, stał na progu mojego pokoju i czekał.

- Zbieraj się - powtórzył. - Czekamy na dole. Zaraz się rozpocznie. Szybciej, chłopcze.

Uśmiechnął się. Słyszałem głosy za oknem. Musiało być tam wielu ludzi, głosy zlewały się w niewyraźny, niski pomruk.

- Nie martw się. Przejdziemy przez to - powiedział prezydent. - Na dole, przy drzwiach - powtórzył i wyszedł.

10.

Rankiem, na dole prezydenckiego domu, kiedy już skupiliśmy się obok drzwi, Marta ledwie ojca zauważyła, umknęła szorstko, kiedy usiłował przywitać ją, może nawet dotknięciem - zarejestrowałem ruch ręki przemykający obok pleców dziewczyny, wydał mi się niezwykle i, choć niedługo byłem w Velvie, niestosowny - a potem, obrócona do nas plecami, przeżywała jego, jak to potem powiedziała, zdradę.

Z domu prezydenta wyprowadzono nas wkrótce potem, nie czekaliśmy długo, szpaler czarnych i techników wytyczał szlak, jaki mieliśmy przebyć, obok klombu, zdewastowanego, pokrytego jedynie ogołoconymi badyłami i śladami butów, ścieżką w dół, potem zwarte szeregi zanikły, ale zastąpił je tłum szarych mieszkańców Velvy, którzy ustawieni wzdłuż ulicy, z jednej i z drugiej strony, odprowadzali nas milczącymi, posępnymi spojrzeniami aż do dworca. Wspięliśmy się po szerokich stopniach, minęliśmy pierwsze z niezliczonych szklanych drzwi, znaleźliśmy się w ogromnej hali, którą przygotowywano już do uroczystości. Człowiek w czerni, w kurcie przybranej srebrnymi naramiennikami, przepasany srebrną szarfą, ceremonialnie, cofając się i patrząc nam w twarz, pociągnął orszak ku bocznemu pomieszczeniu, w którym długie szeregi ławek, pustych, powitały nas bezruchem. Zamknięto za nami drzwi, także szklane, i przez nie widzieliśmy fragmenty przygotowań. Prezydent rozglądał się po ścianach, jakby szukał na nich znaków, wiercił się, wreszcie ostro skinął na kobiety: matka Marty natychmiast zapukała do drzwi i powiedziała, że musi wyjść. Wyprowadzono ją i jej towarzyszkę, a Martę, która postępowała za nimi, prezydent nieoczekiwanie zatrzymał. Kierownik czarnych (jego funkcje wyjaśnił mu Edward) wrócił po chwili, a kiedy zameldował, że kobiety odpoczywają, dyrektor wskazał na techników. I ich wyprowadzono.

Oczekiwałem, że zabiorą także i mnie, zbliżyłem się do Marty, by pytać ją o przyszłość, a

może, by się pożegnać, bo zdarzenia znów rozwijały się z niepojętą logiką, ale pożegnania może nie były w zwyczaju, Marta spojrzała na mnie obojętnie i przesunęła się na ławce, jakby dając miejsce. Usiadłem, wspominając jej dawne gesty i słowa, ale nie ośmieliłem się odezwać. To ona wiedziała, jak należy się zachowywać, i pewnie oczekiwała, że będę ją naśladował.

Kierownik czarnych pojawił się znów w towarzystwie niskiego mężczyzny, ubranego w strój technika - łysy i dość tęgi stanął, odprawiwszy kierownika, przed prezydentem, nie górował nad nim, choć dyrektor siedział. Nachylił się, a raczej udał, że się nachylił, bo przygięcie obejmowało tylko głowę, która nagle znalazła się na poziomie wąsów dyrektora. Wyglądało to tak, jakby się kłaniał, zrozumiał to i wyprostował się natychmiast, nie zyskując tym jednak przewagi.

- Zrobiłem, jak pan prosił j- powiedział niespodziewanie dudniącym głosem. - Macie trochę czasu. Opóźnimy - zatoczył ręką - to wszystko.

- Kazałem! - głos prezydenta brzmiał znacznie bardziej władczo niż zazwyczaj.

- Czy coś jeszcze? - spytał grubas, cofając się po tym okrzyku i niespokojnie spoglądając na drzwi, przy których, z drugiej strony, czuwał kierownik czarnych.

- Nie chcę z tobą rozmawiać - powiedział prezydent. - Nie z tobą. Ty... Chcę mówić z nimi.

- Jestem następcą - zasapał grubas.

- Zrobiłem, co do mnie należy, i zrobię, co mam zrobić, ale nie chcę z tobą rozmawiać. Chcę mówić %/. nimi - powtórzył prezydent.

Gruby cofnął się aż do ściany i przez chwilę prezydent i on, następca, mierzyli się spojrzeniami, uzbrojeni w swe godności i siłę, w końcu następca, nie uległszy, wpatrzony w ciągle nieruchome oczy prezydenta, zaśmiał się cicho.

- Jak chcesz - powiedział. - Jeśli ci zależy.

Machnął lekko tłustą dłonią, kiwnął głową, odwrócił się i odchodził niedbale, ale przy drzwiach, kiedy już kierownik czarnych odstępował i uchylał przed nim drzwi, zatrzymał się znów.

- Byłeś dobrym prezydentem. Będą cię chwalić, wiesz o tym, ale chcę, byś wiedział też, co ja myślę. byłeś dobrym prezydentem. Nigdy nie przypuszczałem, że można cię zastąpić.

Skończył i jakby rozważał czy słuchał tego, co powiedział. Jeszcze raz ukazał twarz. Obracał się ku nam powoli, jednocześnie przyciskając drzwi i zamykając szczelinę, którą utworzył czarny.

- Ale teraz ty już nie wierzysz - stwierdził, nagle. - I nie zrobisz tego, co masz zrobić.

- Zrobię - odpowiedział natychmiast prezydent. - Przecież zgodziłem się - z wahaniem szukał sformułowania i niechętnie je podał - ustąpić.

- Nie - powiedział następca - ciągle myślisz, że to był błąd.

Prezydent przytaknął.

- To był błąd, który należy wykorzystać - powiedział uroczyście, jakby posługiwał się uświęconą formułą.

Następca wahał się. Przesząpił z nogi na nogę, dotykał lekko drzwi, ale nie odchodził, nie zważał na rozstrojenie kierownika czarnych, który bezradnie dreptał po drugiej stronie szklanej

tafli, usiłując zrozumieć zwłokę.

- Wierzysz? - spytał wreszcie gruby i znów pochylił się, komicznie rozstawiając nogi i zastygając w pozie słuchacza. - Powiedz. To ważne.

- To oni pytają?

- Nie rozumiem cię. Kto? - sapnął gruby i potrząsnął głową. - Wszyscy pytają. Nie - zaprzeczył sam sobie. - Ja pytam. Ja znam konsekwencje tego, co się stało. Ale wszyscy będą oceniać.

-- Wierzę - powiedział prezydent bez zapału. - Idź już.

Następca pchnął drzwi, czarny szarpnął je do siebie, gruby przygarbił się i przystanął jeszcze raz, nie mógł się rozstać z prezydentem, nie otrzymawszy wyraźnej odpowiedzi na nie sformułowane pytanie.

- Wiesz, że nie chciałem...

- Wiem - rzucił sucho prezydent. - Idź. Nie obawiaj się.

- To się zawsze może zdarzyć. Każdemu. Mnie też.

- Tak - przyznał prezydent po chwili milczenia. Do tej pory siedział nieruchomo, utkwivszy wzrok przed sobą, w miejscu, które następca opuścił już dawno. Teraz spojrzął na niego, ruch głowy, nieskończenie spowolniony, zawierał przyznanie, zgodę na to, co się stało: - Nie mam do ciebie żalu. Myślę, że nie zawiedziesz.

- Ja mam inne zadania - powiedział grubas i uśmiechnął się. - Dziękuję - powiedział prawie bezdźwięcznie, a raczej przesłał to słowo prezydentowi jedynie ruchem ust, jakby było zabronione lub wyklęte.

- To ja dziękuję - odparł prezydent. - Wierzę i zrobię, co mam zrobić - dodał szorstko. - Idź.

Gdy zostaliśmy sami, dyrektor przywołał nas, niemal natychmiast po odejściu następcy, kiedy tylko zamknęły się drzwi. Ruszyłem ku niemu bez wahania, ale Marta jeszcze przez długie sekundy pozostawała na swoim miejscu. Począł, aż się zbliży.

- Siadajcie - powiedział.

Marta wcisnęła się na koniec ławki, przechylona prawie za poręcz, byle tylko oddalić się od ojca, ja przycupnąłem między nimi. Dyrektor wyprostował się i ponad moim ramieniem spoglądał na dziewczynę.

- Musisz uwierzyć - powiedział. - I Jan także. Musicie uwierzyć, bo zginiemy.

- Już giniemy - parsknęła Marta. - Dlaczego nie przyszedłeś? Dlaczego zawróciłeś łódzie?

- Nie zamierzałem przyjść. Myślałem, że wy będziecie mogli się usunąć poza miasto, a potem wrócić do Velvy. Po moim pogrzebie.

- Chciałeś... sam! - krzyknęła Marta.

Skinął głową, tak szybko i prosto, że zdawał się dziwić jej okrzykowi, jakby godzenie się na samotny pogrzeb i samotną śmierć stanowiło jego codzienny obowiązek. Marta zaprzeczała mu przyciskając błędne dłonie do ust.

- Ale już po twoim odejściu - powiedział i popatrzył na nią, chyba po raz pierwszy, zamyślnym, ojcowskim wzrokiem - wnioski się zmieniały, bo zmieniały się wydarzenia.

Przytaknął sam sobie, jakby jeszcze raz, błyskawicznie, sprawdzał prawidłowość

rozumowania.

- Musiałem was zawrócić. A raczej musiałem doprowadzić do tego, by was schwytano, i to jako zamieszanych czy też stojących po mojej stronie. Żebyście i wy mieli swój pogrzeb. Razem ze mną.

Nie pozwolił mi nic powiedzieć. Nie umrzesz, tchnął prosto w moje oczy, nie bój się, będzie tylko pogrzeb. Przecież ona wie, skinął w stronę Marty, i się nie boi.

- Boję się - powiedziała.

Prezydent zaśmiał się cicho.

- To nie ten strach. Przecież wiesz.

W wielkiej sali zaczęli gromadzić się ludzie, przepływali grupkami obok drzwi, zaglądając przez nie, aż czterech czarnych, ustawionych do nas plecami, osłoniło nasze schronienie przed spojrzeniami tłumu. Zgiełk monotonnie przeciskał się przez ściany, gromadzono chyba wszystkich mieszkańców Velvy.

- To już zaraz? - spytała Marta.

- Nie. Mamy czas. Prosiłem o zwłokę - powiedział i dodał szybko: - Musicie zrozumieć. Obaj technicy nie wyzwolą się prędko z rutyny i pogrzebu. Mój czarny za mało wie. Kobiety się nie liczą. Pozostajecie wy.

Obejrzał się na drzwi, czarni, stojąc plecami do nas, trwali w mechanicznej nieruchomości, zapletli ręce z tyłu, rozstawili nogi i bez drgnienia odpierali nacisk tłumu. Prezydent pochylił się ku mnie, dał Marcie znak tak rozkazujący, że mimo niechęci usłuchała, prześliznęła się po ławce do nas.

- Nie mogę przewidzieć, co będzie - szepnął. - Nie umiem. Ale wyjdziemy do zony. Nie rozproszą nas. Mam nadzieję. Jeśli się pomyliłem, mogą nas rozproszyć. A może przez rutynę. Bo zawsze rozdziela się grupy.

Dostrzegł moje zdumienie, przytaknął szybko, tak, tak, przecież pogrzeby muszą się odbywać i czasem wychodzi kilka osób jednocześnie, nie rozumiesz?, westchnął płytko, pochylił się ku nam jeszcze bardziej i zaszeptał prędko, nie pytajcie teraz, nie zważaj na konwenans, syknął jeszcze do Marty, tu może być podsłuch, nie wiadomo, co technicy zmajstrowali, nie wiadomo, kto słucha, jeśli tamci, to w porządku, ale jeśli przypadkowe uszy?, więc słuchajcie, mogą nas rozproszyć, jeśli nie było szczegółowych instrukcji, mój następca nie wszystko wie, a raczej może nie wszystkiego sił,- domyślił, zbliżcie się, więc jeśli nas rozproszą, spotkamy się w internacie, ty wiesz o nim, zwrócił się do Marty, wiesz?, przytaknęła cicho, jest na przedłużeniu ścieżki z miasta, dokładnie na wprost, znajdziecie kierunek, o techników się nie troszczcie, obaj widzieli plan, a z matką mnie nie rozdziela, więc pamiętajcie, w internacie. Po co, spytałem, co to jest internat? Na wprost, na przedłużeniu, powiedział, jakby nie słyszał pytań, musimy być razem. Po co?, powtórzyłem. Zobaczysz, szepnął, to był prawie jęk, wyrwany mu, jak sądziłem, przez niewiedzę, brak danych, nieumiejętność przewidywania, musimy, powtórzył, musimy być razem, błagał natrętnie, jakby wierzył, że zebrawszy nas potrafi i w zonie stworzyć grupę, którą będzie mógł rządzić, nie rozstawał się ze swoją władzą, chciał ją zabrać poza granicę. Po co?, szepnąłem uparcie, a Marta bez słowa miękkiem ruchem, który odczułem wzdłuż barku i ramienia, przyłączyła się do mnie.

Milczał, a potem zaszeptał odmierzonymi zdaniami, jakby już miał plan (i miał go, lecz czy mogłem przewidzieć?), jakby wiedział, co będziemy robić, a wiedział, szeptał, że teraz ma więcej danych, więcej wniosków, bo tamci ujawnili się, chcąc nie chcąc, musieli się ujawnić, skoro zmusili go do rezygnacji i do akceptacji ich błędu, zamierzonego i zaplanowanego błędu, teraz wie już prawie wszystko, a błąd, skoro się stał, należy rozwijać i śledzić. Po co?, powtórzyłem, a wtedy odsunął się od nas, bo w moim oschłym głosie nie znalazł obietnicy i nie mógł znaleźć: postanowiłem, jeśli nas wyprowadzą do zony, zabrać Martę,, iść do mojego miasta, uprzedzić o ekspansji i pilnować granicy, choć ekspansji, wiedziałem, nie należało się spodziewać.

Zrozumiał, że nie przyjmuję rozkazu, ale tkwił w ławce, oddaliwszy się od nas, przez chwilę zagubiony, zrezygnowany, ale natychmiast przypomniał sobie swe plany czy cel, musimy, powiedział i uciął od razu, jakby to słowo, musimy, przstraszyło go dźwięczeniem w wysokim, pustym pomieszczeniu, wśród oczekujących ławek, które się nigdy może nie zapelnia, nigdy, jeśli nie będą grzebali jednocześnie całego miasta, a to, myślałem, Velvie na razie nie groziło - uciął, milczał i po raz pierwszy pochylił się, zgarbił, zapomniał na kilka chwil o swojej pozycji, objął głowę rękami, a spoza nich wysuwały się jak niepotrzebne przecinki koniuszki wąsów, powiniście mnie słuchać, powiedział, prawie chlipnął, przecież to przez was, wy wnieśliście do Velvy błąd zbyt duży i nie dający szansy - zachnąłem się, przed chwilą mówił o zaplanowaniu błędu i wykorzystaniu go - Marta i ty, popatrzył na mnie przez rozwarte palce, ty, ty wniosłeś błąd nie ujawniając wszystkiego, co wiesz, a było twoim obowiązkiem ujawnić, nawet jeśli cię nie pytano, ty, powtórzył i jego ograniczone palcami spojrzenie wydało mi się nagle chytrym mamieniem, pułapką, w jaką wciągał nas, Martę i mnie, pułapką udającą załamanie tego człowieka, który zastawił ją i żądał litości.

Dobrze, szepnął po jeszcze jednej pauzie, zagranej, a może szczerzej, dobrze, dodał głośniej, bo nie reagowaliśmy ani słowem, ani ruchem, oderwał bezużyteczne ręce od twarzy i ukazał teraz, znów zwodniczą, sieć zmarszczek wokół oczu, muśnięciem, mimowolnie prawie, przypomniał swą siwiznę, jakby pogłębioną ostatnio, przesunięciem dłoni pokazał skrzywienie ust, zbyt ostentacyjne, dobrze, powtórzył, powiem wam, jak było, zrozumiecie konieczność.

Mówił głośno, prawie tak głośno, że Marta przestraszonym spojrzeniem wskazywała taflę drzwi i czarnych. Prezydent lekceważąco zatrzepotał palcami, tamci nie usłyszą, możemy być spokojni, nikt nas nie usłyszy, a podsłuch, spytała Marta, podsłuch?, i znów ten lekceważący gest, na pewno nie ma podsłuchu, słuchajcie.

Byli zatem ci trzej starzy technicy, o których prezydent nie wiedział, choć mienili się jego pomocnikami i choć powinni dawno mieć pogrzeb, istnieli w głębi studia, a on nie wiedział o nich, nie wiedział wyprawiając mnie tak pospiesznie do zony, gdy okazało się, że nie poddałem się do końca przypominaniu i pozostałem sobą, wysłał mnie - i teraz przypominał swą dobroć - dając szansę, ratując córkę, tak, chciał ratować Martę, ryzykując wszystkim, ale tamci technicy i to przewidzieli, przygotowali się. Nie wiedział o nich, póki nie porozmawiał z Martą, a i wtedy ich nie docenił, wysyłając Martę przede mną, by mnie zatrzymała, nie docenił, a oni i to przewidzieli, przewidzieli i czuwali, i zareagowali, kiedy Marta przywiodła mnie do 'miasta z powrotem, zareagowali, gdyż prezydent stwarzał kolejny błąd, który mógł się okazać zagrożeniem, ale oni i ten błąd zaplanowali już wcześniej, wyzyskali szansę, bo

wprowadzenie mnie z zony do miasta, człowieka, którego nie poddało się ponownemu przypominaniu i rehabilitacji, pozwalało im na następny krok.

A dyrektor jeszcze się ludził, jeszcze polegał na swym stanowisku i zamierzał pozwolić żyć w Velvie Marcie, którą znów nazywał Martą, i mnie. Wprowadzał więc do miasta dwoje ludzi, którzy mieli świadomość podobną do świadomości jego, prezydenta, którzy stwierdzali ponadto, iż są wyjścia i wejścia - a to przecież bzdura, stwierdził stanowczo - którzy musieli w końcu dojść do fałszywego, ale niepokojącego wniosku, iż ekspansji nie realizuje się nie z powodu terenowych przeszkód, a dlatego, że brakuje ludzi, że ludzi jest coraz mniej mimo funkcjonującej rzekomo pułapki na pogorzelskich, mimo umożliwienia powrotu tym, którzy spadli po drugiej stronie w szybowcach. I tych dwoje ludzi mogłoby pomyśleć, że tylko kiedyś, gdy spadło się po drugiej stronie, nie wracało się naprawdę, mogłoby pomyśleć, że teraz istnieje pułapka, a przedtem jej nie było, że pogorzelska kiedyś, dawniej groziły śmiercią, a może wcale nie istniały?

- Przecież pan mówił mi - zawołałem - że...

- Mówiłem - przytaknął. - Byłem zmuszony. Wydawało się, że tak będzie najlepiej.

Westchnął, wyprostował się i powolnym spojrzeniem powiódł po ścianach.

Mówił to, co wydawało się potrzebne i mogło być skuteczne. Ale zapomniał o niebezpieczeństwie. Jeśli Marta lub ja, jeśli któreś z nas pomyślałoby, że choć kiedyś ludzi też było mało, więc granica i nieprzebycie istniały, ale ludzi było dość, by pozwolono sobie na stratę jednego czy dwóch w lotach wywiadowczych, jeśli któreś pomyślałoby, że potem ludzi stało się mniej, jeśli skojarzyłoby to z datami (bo gdy ludzi stało się mniej, wtedy prezydent był już prezydentem, wszystkim wiadomo, że powołano go na stanowisko bardzo wcześniej, po tajemniczym zniknięciu jego ojca), jeśli Marta lub ja przypuścilibyśmy, że to on podjął decyzję o otwarciu pogorzelskich i usytuowaniu obok nich pułapki, o zamienieniu studia badawczego i nauczającego w ośrodek rehabilitacyjny, pozornie tylko zachowujący dawny charakter, jeśli...

- To co? Jeśli byśmy tak pomyśleli? A tak nie było?

Marta chwyciła mnie za ramię i próbowała uciszyć, nie, nie, on tego nie zrobił, to tylko przypuszczenia, przypuszczenia, lkała prosto w moją twarz, przypuszczenia, nie rozumiesz?, zawsze było tak, jak jest, zawsze, jej ręka zatłukła o moje plecy, wydawało się, że raz na zawsze złamała niechęć do dotykania innych.

- Jeśli byście tak pomyśleli?

Jeśli byśmy tak pomyśleli, jeśli... Można by wówczas przypuścić, że w mieście jest sporo ludzi, którzy wychodzili i wrócili, ale nie pamiętali wyjścia i powrotu lub, co gorsza, udawali niepamięć. Pojawialiby się ci, którzy ucierpieli, a mieszkańcy miasta widzieliby ich, ale nauczyliby się nie poznawać, bo przecież wiadomo, że nikt nie powraca, przyjmowano by zatem, że ci, którzy się pojawiają, są innymi ludźmi, rehabilitowanymi, a wcześniej pokaleczonymi i pozbawionymi pamięci już przy starcie. I sprawcą tego stanu miałby być prezydent? Nie. I jego córka miałaby taką mieć o nim wiedzę i taką weń niewiarę?

Prezydent szeptał fascynując się własnymi słowami i hipnotyzując nas nimi, spoglądając od czasu do czasu na czarnych zagradzających szklane drzwi, tłum wciąż szedł, przybywało go, prezydent oglądał ludzi i znów szeptał, ale był to szept donośny i przenikliwy, często

przechodzący przy ważniejszych zdaniach w zwyczajny, relacjonujący głos, mówił i przekonywał, budząc, próbując budzić w nas współczucie, i nas też oglądał, jak czarnych i tłum, szybkimi, ostrożnymi spojrzeniami, których nie powinniśmy dostrzegać.

Znów chciałem mu zaprzeczać, ale miał już Martę po swojej stronie, powiedziałem więc tylko, że nasza wiedza czy niewiedza nie ma znaczenia, nie wyszłaby poza nas dwoje, oboje mieliśmy świadomość, czym grozi rozpowszechnianie wiadomości - a Marta natychmiast przeszkodziła mi i poprosiła, by odpowiedział na moje niemądre zarzuty, a prezydent z przenikliwym smutkiem oznajmił, że nie mógłby znieść sytuacji, w której własne dzieci, bo traktuje mnie jak syna, nie ufałyby mu bez zastrzeżeń. Jeszcze raz spróbowałem wyrazić wątpliwość, teraz jednak nawet nie udawał, że słucha, zaczął się spieszyć.

Były awarie, powiedział, ale tylko awarie przy starcie, a ci, którzy naprawdę wylecieli, wracali zawsze na swych maszynach, i oto Jan, rehabilitowany, zdradza przedwczesnymi marzeniami, których ludzie poddani terapii w studio, skrępowani uzyskanymi osobowościami, nie mają nigdy, zdradza, że pamięta lub wskrzesza coś, czego nie było, pozorną przeszłość, gdy w rzeczywistości nie przeżył jej, i zaraża Martę, która przyciśnięta do muru, opowiada, co z nią rzekomo zrobiono, gdzie wysłano, gdzie mnie znalazła, jak powróciła. A prezydent miałby godzić się na mrzonki, zaczynać wierzyć w trzech techników, miałby odsyłać chorych na dodatkowe przypominanie?

- Żałowałem córki - rozczulił się.

Ci trzej starzy technicy, podjął prezydent po chwili, wiedzieli o tym, musieli wiedzieć.

- Więc istnieją? - zaśmiałem się. - Istnieją czy są przywoływani w razie potrzeby?

Nawet nie drgnął, teraz nie mówił do mnie, zwracał się do Marty, która chłonęła słowa jak objawienie znów stawiające rzeczy na swoje miejsce, powoli przesunąłem ręką przed jej oczyma, nie opuściła powiek: może akceptując jego słowa, nie słyszała ich, zanurzona we własnych zamierzeniach?

Ci trzej technicy, powiedział, zareagowali szybko, ich natychmiastowe posunięcia, zniknięcie ludzi przy kamerach, ruch wśród czarnych oznajmiały, że prestiż prezydenta zmniejsza się gwałtownie. I ja, Jan, nie pomogłem, a potem, gdy ujawniłem istnienie chłopca (nigdy go nie kryłem - szepnąłem), gdy ujawniłeś już widzenie chłopca, kontynuował obojętnie prezydent, i pozwoliłeś skojarzyć stare zapisy z realnością, dostrzegłeś istnienie jeszcze jednego świata, świata archiwum, a odkryłeś go nie bez woli i wiedzy starych techników, i kiedy ja wreszcie, tu prezydent podniósł głos, przywiązałem do tych twych widzeń i odkryć właściwą interpretację, którą ci trzej starzy, wypluł prawie to słowo, znali już wcześniej, wtedy było już za późno, bo to już nie ja działałem. Musiałem się poddać, zgodnie z ich oczekiwaniami, i muszę realizować ich błąd, ich zamierzenie, i wierzyć, bo teraz wolno mi już tylko wierzyć, by zmasać winę, wierzyć i realizować, teraz ja mam odwrócić własne decyzje i plany, skierować...

Mówił tak głośno, że czarni usłyszeli dźwięki i jeden z nich drgnął, odwrócił się i patrzył na nas. Prezydent oddychał szybkimi, drobnymi haustami, zaniepokojona Marta wstała i uklękła przy nim, gładząc jednocześnie obydwie dłonie ojca, dłonie spoczywające teraz bezwładnie na kolanach, lekkimi drgnięciami podkreślające rytm słów, gładziła je - niesłychana czułość, na którą prezydent pozwalał.

- Rozumiesz? - spytał.
- Pan prowadzi grę.

Roześmiał się, śmiech przetoczył się po sali długim echem i uciał zniecka. Przymknął oczy, jakby w próbie powrotu w przeszłość, znieruchomiał, jedynie wąsy poruszały się leciutko, zdradzając obecność nie wypowiedzianych słów.

- Nie - powiedział. Nie zwracał uwagi na Martę, kierował się ku mnie, jakby, pewien już wierności i poddania córki, musiał teraz tylko mnie pozyskiwać. Chytrą, której niedawno wypatrywałem w jego twarzy, ulotniła się, nie było już pułapki: uznał, że zawiodła lub że nie jest potrzebna.

Przyznawał, że istnieją technicy, jakimś cudem zdołał chyba przekonać Martę, że przed chwilą, gdy zaprzeczał, gdy twierdził, że obowiązujące w Velvie oficjalne prawdy są prawdami obiektywnymi, był szczery, a teraz przyznając, iż istnieją technicy i ich plan, kłamie, by mnie pozyskać, uspokoić, ugłaskać, zachęcić do wspólnej wędrówki. Była z nim. Nie wierzyła w trzech techników, choć to oni kazali jej losować i oni wcisnęli jej fatalną gałkę, nie wierzyła w ich istnienie, bo przeszła przypominanie i ono znów zaczęło ją obowiązywać, może czuła się Joanną?, nie wierzyła, bo on zaprzeczył ich istnieniu i wiedziała, że nie powinni istnieć. Teraz przyłączała się do jego pozornych kłamstw, które powinny być według mnie prawdą, zachęcała go do mówienia, mnie do słuchania i do wiary, przytakiwała tak usilnie, że nie mogłem rozbijać jej nadziei, nie mogłem pytać, wątpić i zaprzeczać.

Powiedział, że starzy, spowodowawszy lekki niepokój wśród techników i czarnych, wyzwoliwszy go sobie tylko znanymi metodami, czekali, dali znać, że wiedzą i czekają.

- Nie oni działali - zawołał nienawistnie i natychmiast zniżył głos, jeszcze raz wodząc wzrokiem po ścianach. - Ja musiałem zrobić wszystko za nich i nie wahałem się ani przez chwilę.

Teraz był chyba szczery, ale to nie była szczerość przeznaczona dla mnie czy dla Marty. Opowiadał, jak było, bo tylko w ten sposób mógł mnie pozyskać, ale wkładał w relację za wiele goryczy, swojej własnej goryczy po raz pierwszy głośno formułowanej i może dającej jakąś satysfakcję, choćby cieniutką nić zadowolenia z własnej samowiedzy.

- Czekali i ufali mi - powiedział - bo, nie wiem już jaką koleją, oni kiedyś ustawili mnie na stanowisku, nie ojciec, nie następstwo pokoleń, zrozumiałem nawet - mruknął najcichszym z szeptów - że ojciec zniknął, bym mógł objąć jego funkcję, a może ojciec popełnił błąd i usunięto go, rezygnując z pogrzebu tylko po to, by mnie pozostawić w nieświadomości. Rządziłem, przestrzegając praw, gdyż wtajemniczony w ustrój Velvy, musiałem ich przestrzegać. Zbyt ciężko, coraz trudniej utrzymać miasto, w którym ubywa ludzi. Nie musieli więc działać, zmusili mnie, bym cię wypytał...

Opowiadał, że wypytując mnie o labirynt i kojarząc relację z zapisem, wiedział przede wszystkim, co czeka Velwę, która pozbawi się idei i zamknięcia. Idea i niemożność jej realizacji utrzymywały Velwę w równowadze, a prezydent nieświadomie, w porywie serca, z miłości do córki - położył ostrożnie rękę na głowie Marty, a Marta nie cofnęła się - dopuścił do niebezpieczeństwa.

Tak sądził, ale przecież nim sterowano.

Mówił i już jakby do niczego nie chciał nas nakłaniać, mówił tak chaotycznie, że ledwie

chwyciłem sens, a prawdopodobnie nie wszystko rozumiałem. Mówił, jak zapomniał o Edwardzie i niskim, których uwięził, polegając na ich posłuszeństwie i zamierzając wykorzystać w rozgrywce ze starcami, bo zanim im uległ, nie mógł znieść ich tajemniczego istnienia, a potem, kiedy odstąpił od sprzeciwu i podjął walkę przeciwko samemu sobie, zapomniał o technikach, a oni (i tu jeszcze raz - powiedział -- przekonał się, że starcy działają na rzecz Velvy, według własnych koncepcji, ale na rzecz Velvy, nie myślą o zagarnięciu..., zastanawiał się chwilę, podjął: władzy), technicy, trwali w uwięzieniu, bo obaj do końca byli mu posłuszni, a teraz muszą uczestniczyć w tym wszystkim, rzucił ręką ku drzwiom, bo byli uwięzieni, a więc poddani przymusowi i hańbie, ale o tym nikt w Velvie nie może wiedzieć, pójdą więc z byłym prezydentem, dla dobra miasta. Zapomniał o nich, bo prowadził walkę przeciwko sobie, zaplanował ucieczkę Marty, której opowiedział o niebezpieczeństwie, zaplanował, próbując nas ochronić, i szybko zmienił zamiar, mieliśmy mu towarzyszyć, by wszystkie zarodki niebezpieczeństwa wyrwać z miasta, a więc musiał nas pociągnąć za sobą, nas, żonę i jej pomocnicę, techników, czarnego, wszystkich, którzy cokolwiek wiedzieli, pociągnąć, by następca miał pole oczyszczone i by mógł działać zgodnie z prawem, ideą, zamknięciem, dla dobra miasta. Spowodował naszą ucieczkę i zadbał o to, by na jeziorze czekano na nas, a więc ujawnił zdradę kilku najbliższych mu osób, usankcjonował w oczach mieszkańców własny upadek i jednocześnie zadeklarował lojalność.

Prezydent wznosił ręce i zawołał, a tłum podchwycił okrzyk, zawołał jeszcze raz i powtarzał wołanie kilkakrotnie, a tłum jak echo odzywał się tuż po nim:

- W imię ekspansji.
- Ekspansja.

Dopiero teraz na stopnie zaczął się wspinać następca. Stał obok prezydenta, zawahał się i odsunął, może maskując swój niski wzrost, i on także wznosił ręce i krzyknął, a tłum mu odpowiedział. Kierownik czarnych podszedł również, podał prezydentowi czarny przedmiot, prostokątny, z czerwonymi wypustkami i złożonymi literami, prezydent chwycił go za zwisającą rączkę, podniósł do góry i okrzyki powtórzyły się znowu. Wtedy, ująwszy przedmiot, przypominający teczkę, w jakich uczniowie gromadzą swoje zeszyty, w obie ręce, wysunął go ku następcy, który ujął ostrożnie za rączkę, podniósł przedmiot gwałtownie i potrząsnął. I znów okrzyki, okrzyki, okrzyki, Marta zasłoniła uszy.

W ciszy, jaka za chwilę zapadła, wprowadzono i nas na podwyższenie, wszystkich. Stanęliśmy za prezydentem i następcą, następca wysunął się do przodu i zaczął przemawiać. Okrzyki: w imię ekspansji, powtarzały się z regularnością wahadła, a następca opowiadał o życiu i rządach prezydenta, tłum krzyczał, następca czekał na ucichnięcie okrzyków i znów sławił prezydenta, a potem opowiadał o Velvie, którą prezydent rządził. Były to pochwały, których dorosły człowiek nie powinien przyjąć, były to pochwały rażące uszy, przesadne, używane w stopniu najwyższym i w czasie przeszłym, zrobił, zawsze był, powtarzało się ciągle, jego niedościgły wzór, tego zwrotu użyto kilka razy, a jednak w mowie następcy nie znalazłem ani jednego konkretnego, ani jednego przykładu, była to apologia zawieszona tyłko na słowach. Potem następca mówił o żonie prezydenta, krócej, jako o towarzysze życia, używając znów słów zbyt wielkich i unikając konkretnego, potem o obydwu technikach, którzy tak się zasłużyli w ośrodku badawczym i zachowawczym, wspomniawszy o czarnym i je go

wiernej służbie, o pomocnicy żony prezydenta, uczynił pauzę, która nie była przeznaczona na okrzyki, ale tłum na okrzyki ją wykorzystał i następca z niezadowoleniem zamachał rękami, a rząd czarnych w dole czujnie ruszył, by uśmierzająco wmieszać się w ciżbę, następca uczynił pauzę, a potem sięgnąwszy za siebie obydwoma rękami, wyciągnął do przodu nas, Martę i mnie, takim gestem, który miał jakoby kiedyś w swym domu uczynić Celes, i w martwej ciszy następca opowiadał o naszym bohaterstwie, o tym, jak oddaliśmy, Marta i ja - życie za ideę i za Velwę, to jest za wszystko, co drogie sercom obywateli, jak oddaliśmy je nie wahając się, dumnie spełniając szczytną misję, obowiązek, a tłum w dole przerywał mu po każdym słowie i wył, już zapomnieli o prezydencie, wyli, sławiąc bohaterów, a następca mówił, że naród nigdy nie zapomni o dwojgu młodych ludziach, którzy oddali swą przyszłość dla ekspansji, dla Velvy, trzymał mnie mocno za ramię, niespodziewanie chwyliwymi palcami, i nie mógłbym, próbowałem, wyzwolić się z tego uchwytu inaczej niż nurkując pod barierkę, która odgradzała nas od skraju podwyższenia.

Nie ruszałem się więc, patrzyłem na stojący w dole ludzki potop zachęcany przez czarnych do okrzyków, podchwytyjący okrzyki, wydawane przez kilku rozstawionych w różnych rejonach sali rosnących techników z tubami w dłoniach, słuchałem wiwatów na cześć Marty, córki miasta, której imię świętymi zgłoskami wyryte będzie po wieczne czasy w naszych mózgach, i słuchałem wiwatów na cześć mego bohaterstwa, okupionego życie m, na moją cześć, człowieka, którego imię na równi z imieniem Marty będzie wiecznie drogie społeczeństwu i młodzieży, młodzieży przede wszystkim, bo to ona podejmuje dzieło przez nas posunięte do przodu i ona je dokończy, znajdując dla ekspansji ujście, choć - tu następca zreflektował się szybko - oczywiście pogorzeliśko, zona i morze po wsze czasy pozostaną nieprzebyte.

Więc oddaliśmy życie, a tłum wiwatował, rozchyliły się ogromne drzwi naprzeciwko nas i na ramionach kilkunastu ludzi wpłynęły do sali nasze portrety, Marty i mój, ogromne, kolorowe, upiększające, i jednocześnie następca krzyknął, zagłuszając hałas w dole, że naszym imieniem, imieniem bohaterów nazwie się od tej pory studio, a przed nim staną nasze posągi. Obejrzałem się, prezydent zniknął za plecami kierownika czarnych, ukrył się, nie dla niego były teraz oklaski i uświęcanie, miał być, po oddaniu mu hołdu, sławiony, ale i zapomniany, być może zapomnienie stanowiło brzemię, którym dodatkowo obciążyli go trzej starzy technicy.

Następca skończył i wreszcie cofnął swoje ręce, poruszyłem się jednocześnie z Martą, chcieliśmy zniknąć z oczu stojących na dole, ale wystąpił kierownik czarnych i obwieścił, że czarni przyjmują także nasze imiona, czarni szczytą się, że byliśmy wśród nich, lecz nie zdążyliśmy założyć ich strojów tylko dlatego, iż oddaliśmy życie za ideę, i znów powtórzył wszystko, co mówił następca, a tłum w dole krzyczał, podniecany przez ludzi z tubami, krzyczał, a nasze portrety górowały nad salą, piękne, kolorowe, wpatrzone w nasze twarze umarłymi spojrzeniami bohaterów.

Potem mówili inni, przedstawiciel techników, który potrzasał naszymi rękami w nadmiernej gestykulacji, ten się zacinał nieco, przedstawiciel szarych, wznoszący okrzyki częściej niż poprzednicy i mniej mający do powiedzenia, dodał jedynie do poprzednich wystąpień, iż szarzy ludzie pragną zapewnić nowego prezydenta o swym nieustającym przywiązaniu w imię idei i bohaterów. Następca natychmiast podchwycił niezręczny zwrot

przedstawiciela, w imię idei i bohaterów, zakrzyknął, sala milczała, lecz czarni znów ruszyli między tłumem, technicy z tubami rozwrzeszczeli się i zdezorientowana masa krzyczała coraz pewniej, w imię idei i bohaterów, w imię ekspansji i bohaterów, a szary delegat pęczniał z zadowolenia, chciał jeszcze mówić, otworzył usta, wtedy kierownik czarnych delikatnie sprowadził go na dół. Jeszcze śpiewano, jeszcze krzyczano, ale niewiele z tego dotarło do mnie, to trwało kilka godzin, przemówienia, wiwaty, okrzyki, wnoszenie i wynoszenie portretów, i znów przemówienia, wreszcie sprowadzono nas na dół, tłum wychodził szybko, popędzany przez czarnych.

Pogrzeb powinien rozpocząć się zaraz po akademii, ale gdy zakończono przemowy, manifestację i okrzyki, ktoś przypomniał sobie, że trzeba zmarłych nakarmić. Nie odprowadzono nas już do prezydenckiego domu, kto wie, czy dom tymczasem nie przechodził metamorfozy, gotując się do przyjęcia nowego dyrektora, podano jedzenie (usługiwali czarni, ciągle jeszcze obwieszeni srebrnymi naramiennikami) w bocznej salce dworca, zestawiając w jeden rząd kilka z wielu stojących tam prostych stolików. Przy obiedzie nie towarzyszył nam nikt, ani następca, ani kierownik czarnych, a nawet i usługujący, wniósłszy dania, usunęli się - jedynie przez szklane drzwi, prowadzące na gładkie nawierzchnie wystających nad ziemię betonowych pomostów, szerokich i wygodnych, widać było czarnych i ich przywódcę, oczekujących na nas. Ludzie z sali, w której odbywała się akademie, wypłynęli do miasta, słyszeliśmy okrzyki - prawdopodobnie na cześć następcy, zbyt oddalone, by je zrozumieć. Prezydent jadł szybko, nie patrząc na nikogo, Marta usiadła obok mnie, lecz i ona, spoglądając od czasu do czasu na ojca, wydawała się zajęta wyłącznie jedzeniem, jej zdecydowane, zbyt kanciaste ruchy zdradzały jednak, że zmusza się do spożywania posiłku i udawania apetytu.

Jedliśmy szybko, prezydent milczał, toteż milczeliśmy i my, ciągle respektując jego złożoną w inne ręce władzę, a potem wstał od stołu i czekając (zatrzymał nas gestem, gdy chcieliśmy wstać także, naśladując go), aż skończymy, przechadzał się po sali. Połknąłem jeszcze kilka kęsów i przyłączyłem się do niego, ale nie chciał już opowiadać, choć znów zagadnąłem o ostatnie dni - i oto jesteśmy w poczekalni przed ostatnią podróżą, powiedział i zaśmiał się, jakby to był żart czy aluzja, zapatrzył się na betonowe pomosty, między którymi rdza powlekała równoległe linie metalu. Przystanęliśmy. Nie wiem, czy oni wszystko przygotowali, mruknął, nie mają przecież wprawy.

- Co przygotowali? - spytałem.

- Ekwipunek - zdziwił się. - Przecież ruszamy do zony.

- To jest pogrzeb - powiedziałem.

- Och tak - wzruszył ramionami i jego wąsy drgnęły, zapowiadając uśmiech. - Tak, pogrzeb, ale kiedy znajdziemy się po drugiej stronie granicy, kiedy nas stracą z oczu, to może być ekspedycja, kto wie?

- Ekspedycje nie wracają - upierałem się bezsensownie, bo przecież wszystko już było jasne. - Sam pan powiedział, że wysyłano je i nigdy nie wracały.

Zastukał palcem w szybę, jeden z czarnych szybko zwrócił się ku niemu, ale prezydent odesłał go ruchem ręki. Znów zabrzmiały słabe okrzyki. Miasto kontynuowało manifestację. Prezydent wodził oczyma wzdłuż pasów metalu, odprowadzał je aż do końca budynków, tam łagodnym łukiem zakręcały i ginęły z pola widzenia.

- Ekspedycje nie wracają - powtórzył. - A skąd wiesz - spytał z nie uzasadnionym smutkiem, ale i ze szczytą ironii, gładząc swój wąs - kim byli członkowie ekspedycji, i skąd wiesz, kim się stali, wróciwszy i przeszedłszy przypominanie i rehabilitację? Mówiłem, że ludzi jest mało.

- Mnie pan mówił, żebym nie wracał.

- Ciebie wypuszczałem. Przecież wiesz - zniecierpliwiał się, sprawdził, że nikt już nie siedzi przy stole, podszedł, opuszczając mnie, do szklanych drzwi i zapukał.

Znów szpaler czarnych i techników doprowadził nas do wyjścia, stanęliśmy tam, a kierownik czarnych szeptem ustawił orszak, prezydent na początku, potem żona i pomocnica, potem technicy i czarny, na końcu, w pewnej odległości, bo mieliśmy odbierać specjalne honory, Marta i ja. Ruszyliśmy, skądś odezwały się uroczyste dźwięki i miały nam towarzyszyć do końca drogi. Szliśmy przejściem między tłumami, wiwatującymi i obsypującymi nas kwiatami, a najwięcej ich spadało koło Marty i mnie, znów słyszałem, w imię bohaterów, w imię ekspansji, w imię idei i bohaterów, prowadzono nas niepostrzeżenie odmykającym się w tłumie przejściem, nie było jasne, kto je odmyka, mijaliśmy budynki, które ledwie znałem, bo w tej części miasta znalazłem się tylko raz, a potem zbliżyliśmy się do studia, zmuszono nas do postoju, na naprędce zbudowane podwyższenie wspiał się nieznajomy technik i wykrzykiwał coś, ale nie rozróżniałem słów, tłum je zagłuszał, staliśmy, wybuchły okrzyki, obserwowałem prezydenta, który nieruchomym spojrzeniem świdrował drzwi studia, ale drzwi nie poruszyły się, poszliśmy dalej, mijaliśmy wzgórze z prezydenckim domem, na wzgórzu czernieli ludzie, dom wydawał się opuszczony, minęliśmy kolejne ulice, dom Edwarda, który Edward oglądał, wykręcając głowę tak długo, jak długo się dało, pociągany przez niskiego, mamrocącego pod nosem, co?, wiadomości, uświęcone formułki, wysłuchane przemówienia?, dotarliśmy do drogi, minęły nas nie ustające w ruchu ciężarówki, dygocące pudłami, z których odpadło wiele desek, ukazując puste skrzynie, ciężarówki muszą być w ruchu, szepnąłem do Marty, skinęła, tak, powiedziała, i zawsze są w ruchu, dziękuję, uśmiechnęła się. Za co?, spytałem. Przypomniałeś mi, że nie wszystko się kończy.

I już był skraj miasta, pola, rząd tablic. Tłum, który wiwatował na ulicach, a potem zbierał się za naszymi plecami i szedł w jednostajnych, podniosłych dźwiękach, zajęczał jakąś pieśnią - szliśmy wolniej, bokiem przecisnął się następca i kierownik czarnych, za nim przedstawiciele techników i szarych obywateli, wyprzedzili nas i prowadzili teraz oni, szpalery ludzi zrzędy i zanikły, pola rozpościerały się po obydwu stronach, przed nami tylko tablice.

Myślałem, że tu znów będą przemówienia, lecz zatrzymaliśmy się na chwilę tylko. Następca zaintonował nową pieśń, głośniejszą zabrzmiała muzyka, teraz dopiero dojrzałem całą grupę ludzi z instrumentami, tłum z dala krzyknął i zapłakał, muzyka urwała się nagle, następca wypowiedział kilka słów pożegnania, wezwał do minuty ciszy i bezgłośnie ruszyliśmy, posuwistym krokiem, narzuconym przez prezydenta, ruszyliśmy, prezydent przekroczył granicę tablic pierwszy, my za nim, patrzyłem na najbliższą mi:

Uwa... odczytałem, nie... czeństwo, ZONA ZA...

i minąłem ją, szedłem, nie oglądając się, Marta wsunęła rękę pod moje ramię, zaciążyła, podtrzymałem ją, prezydent poruszał się ciągle tym samym krokiem, posuwistym, unieruchomiwszy tułów, i szliśmy tak dość długo, dość długo, by tłum zmalął, a wtedy

prezydent, nie obracając się, spytał, czy widać ich jeszcze, widać, odpowiedziałem, szedł więc dalej, ciągle tym samym krokiem, ponowił pytanie i odpowiedziałem, że widać, widziałem ich, stojących obok tablic, krzyczących chyba, otaczających następcę, nowego prezydenta, nas nie dostrzegali, a prezydent pytał jeszcze kilkakrotnie, lecz weszliśmy już w prawdziwą zonę, gdy mogłem w końcu odpowiedzieć: nie widać. I wtedy zatrzymaliśmy się.

11.

Zona to miejsce dość suche - zauważył po kilku godzinach czarny. Jego płaski głos, zwykle pozbawiony intonacji, zabrzmiał odcieniem kostycznego humoru.

Wlekliśmy się przez płaski teren porośnięty perzem, szarym od kurzu, upał męcząco podrygiwał w takt naszych kroków, świta, zachowując szyk, zatraciła spoistość, kobiety oddaliły się od prezydenta, a my - by ich nie wyprzedzać - zwolniliśmy i prezydent, jak czarny przewodnik, brodził przed nami w przejrzystym kurzu, oddalony i odcięty. Zona naprawdę mogła szokować mieszkańców Velvy przyzwyczajonych do jeziora i licznych strumyków, towarzyszących ulicom w regularnych, wyścielonych kamieniami łóżyskach. Dawno już straciliśmy z oczu tłum i tablice, nawet strefę graniczną, szliśmy trzymając się długiej wyrwy prowadzącej prosto na północ, w której niegdyś ciekła może woda, teraz pełzną jej dnem piach, tak drobny, że drgnięcia gruntu, spowodowane naszymi krokami, podnosiły zeń prawie niematerialne obłoczki.

Orszak, rozciągnięty i rażący w odświętnych strojach pogrzebowych, włókł się coraz wolniej, monotonia marszu i sztywność ubiorów powodowały, że przypominaliśmy procesję nie ludzi już, a ich widm. Wyciągnąłem spod ubrania pas, jedyną pamiątkę z mojego miasta, i założyłem go, zapiąłem, badając, czy układa się dostatecznie luźno i porządnie na marynarce.

Marta spojrzała na mnie, skinęła głową i ściągnęła krótką, rytualną kurtkę, rzuciła ją na ziemię, zawróciłem, podniosłem i zwinąłem ją w ciasny kłębek, mogła się przydać nocą.

Obok wyrwy, powtarzając jej nieliczne zakręty, ciągnął się ledwie widoczny, niewyraźny szlak, deptaliśmy go, szlak utrwalony przez zwierzęta, nie przypuszczałem, że przez ludzi, pod wieczór ślad ten zaprowadził nas do czegoś, co mogło być sadem, jabłonie, grusze, brzoskwinie, z owocami już zawiązanymi, wszystkie znane mi gatunki drzew owocowych w równych szeregach ciągnęły się wiele kilometrów i dawno zapadła noc, gdy wreszcie dobrnęliśmy do jego granicy, niskiego kamiennego murku.

O sadzie nie wiedzieli w Velvie, tak chciałem myśleć, ekspedycje albo o nim nie mówiły, poddane przypominaniu, albo szły inną drogą, w tym sadzie posililiśmy się resztką zapasów, spożyliśmy ostatnie krople wody i przetrwaliliśmy, nie kładąc się, nasłuchując i milcząc, do rana.

Świt ujawnił, że murek był biały, sięgał mi ud. Przekroczyłem go, łamiąc porządek orszaku, a inni bez słowa poszli za mną, za murkiem rozpościerał się gąszcz krzewów, przecięty krętą ścieżką, wszedłem na nią i przedostałem się na płat ziemi, wyłożonej na pół potrzaskanymi płytami, ograniczony ścianami trójskrzydłego, piętrowego domu. Budynek był

zaniedbany, biały niegdyś tynk opadał ogromnymi płatami i dziedziniec, na którym się znalazłem, mroczny, bo słońce jeszcze nie wzniosło się nad budowlę, zawalony był kawałami tynkarskiej zaprawy, rozkruszone zaścielały wolną przestrzeń, pokrywając luki w płytach. W białym pyłe widniały liczne, to wyraźne, to rozmazane ślady butów i nagich stóp. I rąk. /

Szyby w oknach na wszystkich piętrach porozbijał wiatr lub ludzie, ich szczątki sterczały z ram, okna o stylistyce przyjętej w Velvie - o większej szerokości niż wysokości, były ciemne, w wielkim wejściu na zawiasie wisiało skrzydło drzwi, drugiego nie było, inne wejście zabito na glucho deskami, zmurszałymi już, wszedłem ostrożnie, nie czekając na orszak - zatrzymałem się na skraju dziedzińca cicho, ale jakby bez zdziwienia - z uwitych gałęzi gniezdnych spań czujnie wypelzały figurki ludzi i bezszelestnie znikwały. Zawołałem, ale nikt mi nie odpowiedział, spenetrowałem kąty, a orszak ciągle jeszcze nie wszedł do domu, nie było nikogo. Nie było nikogo także na piętrze, wspiałem się nań i przeszukując słyszałem kroki orszaku, głos prezydenta spokojnie powiał przez dom, rozkazujący i godny, a potem podniósł się nagle wołając mnie.

Zszedłem na dół, orszak stał pośrodku pierwszej sali, skupiony w ciasny węzeł ludzi, nie zbliżyłem się do nich, kawałek po kawałku zacząłem badać główną salę i wkrótce pod ułamkami tynku, pod kilkoma rzuconymi nieomal na środku belkami, odkryłem otwory, prowadzące w dół, zbyt małe, bym mógł się precyzyjnie, nie próbowałem zresztą, bo nie wiedziałem, jak są głębokie, zlustrowałem sąsiednie sale, a skupiony orszak obserwował mnie, sale nieco mniejsze, ale zrujnowane i zagospodarowane podobnie: wszędzie gniazda, resztki pożywienia - pędów, wczesnych owoców, kości roztrzaskanych kamieniami. W ostatniej sali, na takim samym jak inne legowisku, leżał nagi chłopiec, drobny i brudny, nachyliłem się nad nim, przeraziłem starą, pobrużdżoną twarzą, ale to był chłopiec, może dziesięcioletni, cechy anatomiczne nie mogły mnie mylić, nie miał nóg, kikuty ujawniały zabliznione rany.

Nie zareagował, gdy go oglądałem, urywanie, szybko wciągał powietrze i wypuszczał je z głośnym bulgotem, ręce drapały korę gałęzi, na których leżał. Zauważyłem, że sąsiednie legowiska, dwa tu jeszcze były, nieco od niego odsunięto. Trąciłem chłopca, nie otworzył oczu, szyja i usta pracowały ciężko, lecz pierś podnosiła się tak niemrawo, że mogło to być złudzenie. Napięta skóra na żebrach, również stara, spływała potem, chłopak rzeził, bulgotał, drapał gałęzie, rozejrzałem się za wodą, ale nie było jej w pobliżu, zdecydowałem się i z własnego naczynia nalałem mu w usta parę kropel, ostatnich, zlizął je chętnie i otworzył oczy, a zobaczywszy mnie, uczynił paniczny, daremny wysiłek, by odpełznąć. Patrzyliśmy sobie w oczy, był dziki, ujrzałem tak skoncentrowany strach i nienawiść, że mimowolnie odstępiałem. Ale niedaleko. Po chwili znów zamknął oczy i nieskoordynowane ruchy ciała nabrały intensywności, a potem pewnego rytmu.

Nie znałem tej choroby i nie mogłem mu pomóc. Szelest dartej kory, chrypliwe zmaganie się z płucami, konwulsyjne drgania to trwało zbyt długo, bezustannie, a potem przyspieszyło, zwielokrotniało, napięło do ostatnich granic i ruch ustał. Już nie żył. Krzyknąłem, •odpowiedziało echo i pospiesznie oddalające się szelesty, skoczyłem za nimi, gorączkowo rozgrzebywałem dziury, rwałem je rękami, chwyciłem grubą gałąź, waliłem w cegły, ukryte pod roztrzaskaną posadzką, natrafiłem na żelazną belkę i zacząłem ryć obok niej, gdzieś w dół walił się gruz, słyszałem głuchy łomot, potem mogłem przejść, bez namysłu zwiesiłem nogi i

zwalilem się w podziemiu, przeleciałem ze dwa, trzy metry, ocknałem się na pagórku gruzu, światło biło ze szczelin w bocznych ścianach, ze szczelin nad moją głową, i patrzyło na mnie dwadzieścia parę oczu, dwadzieścia parę rąk, trzymających gałęzie wyciągnęło się w moją stronę. Umknęła spod nóg skudłona suka, niosąca w pysku martwego szczeniaka.

- Tam umarł chłopiec - wykrztusiłem, ale nie odpowiedział nikt, nie zmienili pozycji, jakby nie słyszeli, tylko gałęzie podsunęły się bliżej i ich suche koniuszki zaczęły dotykać mojego ubrania, badać je, cofnąłem się, gałęzie poszły za mną, gorączkowo gramoliłem się w górę, rozkrwawiłem ręce o gruz, a gałęzie sięgały mnie coraz natarczywiej, wreszcie uchwyciłem krawędź, podciągnąłem się i znów znalazłem w wielkiej sali, gdzie nieruchomy orszak oczekiwał ciągle w tym samym miejscu.

- Tam umarł chłopiec! - powtórzyłem głośniejsz, prawie z krzykiem, orszak, obcy mi, zwinął się w ciaśniejszą grupę i cofnął nieco, musiałem wyglądać strasznie, oblepiony gruzem i prochem.

Zawróciłem i zajrzałem w piwnicę, ci w dole cofnęli się nieco, ale gałęzie sterczały ku górze, w moją stronę, to byli starcy i kalecy, w kącie, za załomami muru leżało kilka niemowląt. Twarze ludzi naznaczone były tym samym piętnem, co twarz zmarłego, wielu oddychało z równym jak tamten wysiłkiem. Powstałem, tam w dole cofnęli się, jakby obawiając się mego skoku, kije i gałęzie odgradzały ich ciągle od dziury, którą poszerzyłem. Okrążyłem pomieszczenie, słyszałem za sobą ciche kroki prezydenta, orszak trwał martwo pośrodku sali, rozbity teraz, z głęboką wyrwą pośrodku, czynioną przez nieobecność wodza.

- Nie masz czego szukać - szepnął idąc za mną. - To tu. Tutaj mieliśmy dojść.

- Po co? - odwróciłem się i spojrzałem w jego oczy, na pół przysłonięte powiekami, szare, nieruchome, jakby za chwilę miały zamknąć się na zawsze i pozwolić mu żyć w ciemności.

- Zobaczyc. Moze zostac?

- Skąd pan wie? - krzyknąłem, krzyk powrócił echem, gdzieś zatupotało.

- Byłem prezydentem - uśmiechnął się i uśmiech zastygł na jego twarzy, poniżej wąsów, niezależny od oczu i równie trwały, jakby miał mu pozwolić w tej ciemności śmiać się z niej bezgłośnie.

- Mamy tu zostac?

- Nie - powiedział łagodnie. - Nam nie wolno pograżyc się w spokoju, jaki tu jest. Mówilem ci wczoraj. Nie - potrząsnął głową i obracał się ku orszakowi, nie spuszczać ze mnie przymkniętych oczu. - Mamy wiele do spełnienia - powiedział donośniej, suchym, metalicznym głosem, którego władczość starał się stłumić, którego władczość przykryła nowa nuta, znałem ją z głosu Marty, tak brzmiał jej głos, kiedy przewidywała i opowiadała. Ale on nie przewidywał, przybrał ten ton i modulując głos, podnosząc go w ciągle tym samym spokojnym rytmie i przyciszając do szeptu, mówił, co mamy robić, a orszak, poddany mu, przybliżał się, był to rytm spokojny, lecz pod jego rozlewnym nurtem ukryły się drgania innej częstotliwości, na frazy nakładały się zdania, krótkie i urywane prawie w pół słowa, a dalej jeszcze brzmiały słowa, dobierane w przedziwny sposób, nagle poznałem to następstwo, spowolnienie i przyspieszenie, monotonię i zaskakujące zgrzyty, tak drżały dźwięki w jego gabinecie podczas audiencji, tak wydobył ze mnie przyznanie, że nie zapomniałem czy nie przypomniałem sobie w studio tego, co miałem sobie przypomnieć, chciałem krzyknąć, ale

było za późno, jego przymknięty wzrok więził mnie, a orszak podpłynął ku nam i otoczył nas, byliśmy sami w tej sali, a prezydent opowiadał, jak walczył o Velwę i jak wszystko sprzysięgło się przeciwko niemu, jak ograniczenie, nieprzebytość granic dławily ideę i trzeba było ofiary, by nieprzebytość przełamać, ofiary, jaką złożył, złożył w niej się bie i swych bliskich, bo nie wystarczyła Marta, którą trzej starcy wysłali w bezpowrotną podróż, nie, nie lotem pokonuje się przestrzeń, lotem się ją bada, nieprzebytość należy złamać stąpając po niej, mamy misję, powiedział, misję do spełnienia i dlatego wyszliśmy.

- To był pogrzeb! - krzyknąłem. Chciałem ich obudzić, a może raczej przywrócić śnieniu, w jakim się znaleźli po pogrzebie.

Prezydent zaśmiał się krótko, nie, powiedział, przyszedliśmy do internatu, by go zobaczyć, ale pójdziemy dalej. Mamy misję. Do niej wystarczą umarli. Nie brakuje ludzi, nigdy nie brakowało.

- Mamy tu zostać - powiedziałem z resztką nadziei. - Tu jest dom i sad.

- Nie - odparował spokojnie, modulując starannie głos - nie zostaniemy tu, mamy misję, którą przyjąłem.

Znów krzyczałem, ale nie słuchał, a tamci także nie słuchali, odepchnęli mnie, przyparli do ściany otaczając prezydenta, który mówił o misji, jeszcze parokrotnie, zza ich pleców, wykrzykiwałem, ale nie słyszeli, więc roztrąciłem ich, rozstąpili się bezwolnie i pchnąłem go, powoli osunął się na ścianę, a czarny i technicy ujęli mnie z tyłu i odrzucili. Prezydent zamilkł. Wytrącony z rytmu swych słów, zamilkł, a orszak odpływał od niego powoli, rozpraszał się wreszcie i znów po całej sali rozstawili się ludzie, poznawałem: Marta, jej matka, pomocnica, Edward, niski, czarny. Prezydent trwał przy ścianie w pozie, jaką przybrał pchnięty na nią, rozkrzyżowawszy ręce, przytuliwszy głowę do muru, i patrzył na mnie, nadal tym zamkniętym spojrzeniem, poprzez powieki, przebijał swą ciemność i patrzył na mnie, uśmiechając się w swej ciemności.

- Nie przeszkodzisz mi - powiedział. - Mamy misję do spełnienia. A ty wyszedłeś z nami.

Lecz załamałem jego wpływ, nie zwracali na niego uwagi, poczęli chodzić po sali i oglądać ją, osobno, samotni i zawstydzeni, budzący się czy usypiający, nie wiedziałem, oglądali salę, jakby miała być ich domem, prezydent śledził ludzi, milczał, musiał czekać na dogodniejszy moment. Pozostawiłem go, snującego bezgłośnie swe wizje misji, wróciłem do martwego chłopca, otaczały go postacie z podziemia, kilkoro w łachmanach, siedzieli przy posłaniu zmarłego, wydając ciche dźwięki. Znów poszedłem do dużej sali, orszak w rozproszeniu trzymał się ścian, a prezydent obserwował ludzi, otworzyłem torbę, poszukałem, znalazłem kawałek chleba i wracałem do umarłego, gdy natknąłem się na sporego chłopca, drugiego już chłopca o starej twarzy, nie uciekł, patrzył na mnie, podałem mu chleb, pociągnął nosem, wziął ostrożnie, nadgryzł i zjadł błyskawicznie. Był także kaleką i także nie miał żyć długo, bezwładna ręka o zakrzywionej dłoni zwieszała się wzdłuż ciała, łachmany nie kryły zapadnięcia płuc, nogi, drżące i kabłąkowate, ledwie go utrzymywały, tylko twarz, mimo brudu i starości, była piękna.

Znów chodziłem po pomieszczeniach, po piętrze, chłopiec podążał za mną, wreszcie pociągnął mnie za rękaw, by wprowadzić do pokoju, którego nie zauważyłem. Był taki sam jak inne, lecz chłopiec rzucił się pod okno i ułożył na gałęzistym spaniu, należącem widocznie

do niego, a potem usunął na jego brzeg. Położyłem się, sądząc, że tego żąda. I tak było. Objął mnie chudymi ramionami i przycisnął twarz do mojego ramienia. Chyba naprawdę płakał, bo gdy uniósł twarz, kurz na niej przecięty był licznymi koleinami. Znalazłem w nim podobieństwo do Marty, ale Marta była starsza i nie zużyta.

Chodziliśmy długo wokół domostwa, chłopiec - nie dowiedziałem się jego imienia, pokazywałem palcem na siebie i mówiłem Jan, wskazywałem palcem na niego, chwycił palec i wpychał go do ust - zbierał z drzew zielonkawę jeszcze czereśnie, celnym rzutem zatłukł wróbla i łupy znosił na płaski kamień, leżący tuż koło murku. Potem krzyknął ostro, przybiegło kilkoro dzieci, tu było dużo dzieci, młodszych od niego, może dwu-, może trzyletnich, przyniosły dwoje niemowląt i błyskawicznie pochłonęły to, co on uzbierał.

Te dzieci też były kalekie, ale ich kalectwo nie pochodziło z wypadków, wyglądało na wrodzone czy nabyte w chorobach. Chłopiec już nie jadł, może chleb go nasycił, dzieci rozbiegły się i znów zostałem z nim sam.

Spieszyłem się, chciałem pilnować prezydenta i orszaku, ale nie mogłem zostawić chłopca, a on nie dał się prowadzić.

- Gdzie są wasi rodzice? - spytałem, wiedząc już, że mnie nie zrozumie, a może nie zechce zrozumieć. - Gdzie mama?

- Mama - wychrypiał nagle i wskazał ręką prosta ku Velvie, a potem obrócił się wokół osi i wskazał w przeciwną stronę, w głąb zony: - Mama.

Wróciliśmy do domu, chłopiec dyszał ciężko, był zmęczony, chwycił moją rękę i pociągnął obok rozproszonego orszaku (uspokoilem się, prezydent stał na swoim miejscu i milczał, wlepiając przykryte powiekami, chytre spojrzenie w Martę), poszliśmy na górę, chłopiec wyciągnął się na posłaniu, po chwili znieruchomiał i oddychał spokojnie. Spał. Wstałem cicho i zeszedłem do sali, w której leżał umarły, wielkie sine muchy oblepiły mu twarz, wokół krzątało się kilku starców, podsuwali pod legowisko wielkie gałęzie i spychali je w stronę wyjścia, pomogłem im. Tak, przesuwając zwłoki na gałęziach, przebrnęliśmy przez pokoje, minęliśmy ludzi w sali, chodzących sennie wzdłuż ścian, nie zwrócili na nas uwagi, doszliśmy do wyjścia położonego naprzeciw tego, którym dostaliśmy się do domu, tu starcy pchnęli mocniej, ciało spadło z gałęzi i potoczyło się po kilku stopniach, podeszli i - nadal gałęziami, unikając bezpośredniego dotknięcia - przesuwali je w głąb sadu, bo i tu był sad, po tej drugiej stronie. Nie pomagałem im już, nie zwracali uwagi ani na moją pomoc, ani na moją obecność, postępowalem w pewnej odległości, trwało to długo, aż wreszcie ciało dosięgło głębokiego dołu w ziemi i stoczyło się weń, zajrzałem, okropny smród wydobywał się z głębi, zatkałem nos i patrzyłem, na dole kłębiło się rojowisko much, ohydnych ptaków, rzuciłem gałęzią, ptaki z furkotem odleciały, na stosie żółkłych, niewielkich kości, czaszek, czasem jeszcze nie pozbawionych resztek ciała, leżał martwy chłopiec, cofnąłem się targnięty mdłościami, wymiotowałem długo, grabarze odeszli. Trzeba, pomyślałem, odejść.

I jednak wróciłem do gmachu, i jeszcze raz obserwowałem oznaki śmierci na twarzach ludzi, obudziłem chłopca, długo nie otwierał oczu i bałem się, i trząsałem nim, aż oprzytomniał, mama, powiedziałem i wskazałem ręką poza dom, patrzył na mnie dysząc, mama, zerwał się i poszedł gdzieś, zostawiając mnie, a potem wrócił z innym dzieckiem, dziewczyną, rówieśniczką, ale bez porównania mniej zużytą i mniej kaleką, ma-ma, powiedział i dotknął

dziewczyny, ma-ma, zrozumiałem, położyłem rękę na jej głowie, nie zdobyłem się na więcej, dotknąłem chłopca, żegnając go, ująłem dziewczynę za ramię i pociągnąłem w dół, chłopiec szedł za nami, popiskując, płacząc znów, ale bez skargi, spieszyłem się, w gardle utkwiły wzbierające wymioty, w sali na dole puściłem dziewczynę, chłopiec zatrzymał się w progu, musimy iść, powiedziałem, musimy stąd iść.

- Co, nie spodobał ci się internat? - zachichotał prezydent. - Musimy iść - powtórzył. - Mamy misję.

Wybiegłem z domu i przystanąłem, trzymając dziewczynę za ramię. Orszak zbierał się z tyłu, słyszałem, jak ludzie wsuwają się na przeznaczone im miejsca, ale nie ustąpiłem, byłem pierwszy, prezydent stanął obok mnie, widziałeś, szepnął, musimy iść, zatrzymaliśmy się tylko dlatego, żebyś wiedział, że masz prowadzić, nie można tu zostać. Jego oczy, ciągle zakryte, badały sad przed nami, chyba nie dostrzegł nawet dziewczynki, która czekała obok mnie, musimy iść, powiedział, prowadź, przewodniku nasz, kiwnął głową i westchnął ciężko, jakby szaleństwo na chwilę go opuściło. Ruszyliśmy i podążyliśmy znów prosto na północ, przez sad. Był tu może bardziej marny, starszy, może bardziej zdziwały czy niedorosły, nie znałem się na tym.

Dziewczynka prowadziła; delikatnymi ruchami wsuniętej w moją rękę dłoni wskazując kierunek. Od czasu do czasu obracała ku mnie twarz, szliśmy przez sad, gęsty, ograniczający widoczność, i dziewczynka kierowała nami, twarz miała obcą i obojętną, jakby wykonując polecenie czy prośbę chłopca nie chciała jednak mieć z nami nic wspólnego. Nie odpowiadała, gdy do niej mówiłem, a kiedy sad urwał się i przestrzeń zony, równie płaska jak przedtem i równie sucha, rozpostarła się przed nami, wyjęła swoją dłoń z mojej, zawróciła i zniknęła tak nagle, że nie zdążyłem zareagować.

Prezydent zaśmiał się nagle, wolni, powiedział, wolni i z misją. Znów poddał się idei.

- Dokąd mamy iść? - spytałem.

- Ty wiesz - rzekł uroczyście, zwracając ku mnie ślepą, uśmiechniętą twarz. Orszak, stłoczony za nami, łowił jego słowa.

- Poświęciłem siebie i was, by spełnić odwieczną misję - powiedział.

- Pan przegrał.

Nie zwrócił na mnie uwagi.

- Mamy dojsć i wrócić, przetarłszy drogę.

- Pan musiał ustąpić - powiedziałem. - To był pogrzeb! - krzyknąłem. - Pan nie ma w Velvie już nic do zrobienia.

- Misja - odpowiedział tajemniczo i podniósł rękę, wyciągniętym palcem dotknął uśmiechniętych ust, nad którymi tkwiły potargane wąsy. - Prowadź.

Ruszyłem, bo nie miało sensu tkwienie na skraju * sadu. Ruszyłem w stronę, a orszak drgnął i znów rozwinął się w sznureczek ludzi, zostawiłem prezydenta na czele i poczekałem na Martę, co on chce zrobić?, spytałem, nie wiem, odpowiedziała, może on ma plan. Jaki plan?, zdziwiłem się, musimy znaleźć wodę i żywność, miejsce, w którym oni będą mogli przetrwać.

- Musisz prowadzić - powiedziała. - Nie masz wyboru. I ja też. Prowadź.

- Ja!

- Tak, ty.

Miarowy marsz sprzyjał opowieści, którą rozwinęła przede mną, ostrzegając czy przewidując, nie wiem.

Opowiedziała (przewidywała), jak natrafiamy na namioty i otaczają nas ludzie Celesa, a starzec w namiocie wymachując nożem wydobywa z niej słowo ekspansja, i jak ludzie Celesa zbierają orszak i każą mu wyjawić ideę, i jak postępują za nami, nie, jak prowadzą nas, ożywni ideą, do swego miasta, jak idea przyjmuje się u nich i przez naśladowanie staje się ich ideą, idea ekspansji, a oni nie boją się już lasów, nie baliby się, gdybyśmy na nich trafili, nie baliby się, jeśli byśmy poszli na północ i dotarli za kilka godzin do namiotów, które pojawiłyby się tam, w zonie, gdybyśmy szli w ich kierunku.

- Ale nie ma ich tam - powiedziałem.

- Będą, jeśli do nich dojdziemy - odparła. - Zresztą - potrząsnęła głową - bez nich też dojdziemy. Jeszcze nie rozumiesz? Twój chłopiec też ją ma. Ideę.

I opowiedziała (przewidywała) o chłopcu, który wyrwawszy się ludziom Celesa błądzi, szuka i trafia do archiwum, by tam stać się nieświadomym przewodnikiem prowadzącym do wyjścia tych wszystkich, którzy też zapomnieli, a jednak zarażeni ideą, jaką chłopiec do nich przyniósł, chcą nauczać.

Była to krótka opowieść, pozbawiona szczegółów i plastyczności poprzednich przewidywań Marty, może dlatego, że wiedziałem już więcej, a może dlatego, że nie przewidywała, a chciała mnie przestraszyć. Nie mogłem jednak lekceważyć jej słów i jednocześnie nie mogłem ich przyjąć. Powiedziała, że jeśli nie poprowadzę, natrafimy na naśladowców, którzy nas powiodą i dokonają ekspansji, a jeśli ucieknę, chłopiec wróci do archiwum i wyzwoli ekspansję, jeśli zaś stanę się przewodnikiem orszaku, ekspansja będzie z nami.

- Jesteś pewna? - spytałem.

Nie odpowiadała długo, jakby sprawdzała po wielokroć tok swych myśli, a potem przytaknęła.

- Mogą być inne kombinacje - powiedziała - ale rezultat ten sam.

- Przewidujesz?

- A od czego mam zacząć? - zdziwiła się. - Z jakich danych wyjść? Nie ma tu nic, co bym знаła.

- Więc nie wiesz.

- Wiem - zaprzeczyła głucho. - Nieuchronnie się spełni.

Odszedłem od niej i przez długi czas posuwałem się w sporej odległości. Jej pewność, nie poparta doświadczeniem ani wiedzą, lękała i drażniła, zacząłem podejrzewać, że odezwała się w niej powinność wobec ojca, posłuszeństwo, lojalność wobec pryncypiów Velvy, i przygotowałem się do pogodzenia z samotnością. Zbliżyła się do mnie, wyłamując z orszaku, kobiety zadreptały niespokojnie, chcąc ją przywołać, ale nie ośmielając się naruszyć milczenia, technicy prawie przywarli do prezydenta, jakby manewr Marty stwarzał zagrożenie, a nad nami dwojgiem zawisł wiernie cień czarnego.

- Wiem, co chcesz zrobić - powiedziała. - Nie zdołasz, ale będę ci pomagać.

- Nie umiesz - burknąłem.

- Chcę ci pomagać - nalegała - choć to niczego nie zmieni.

Szepnęła coś jeszcze, nie dosłyszałem i pochyliłem się ku niej, blade usta Marty zacisnęły się, jej spojrzenie dotknęło mojej twarzy tak czule, że przysunąłem się jeszcze bliżej, i wtedy przez milimetry dzielące nas usłyszałem szybkie wyznanie, którego nie chcę powtarzać.

Zatrzymała się, orszak oddalał się miarowo, za nami ścieleł się niewyraźny ślad naszej drogi.

- Moglibyśmy wrócić - powiedziała.

- Dokąd? Do internatu? - zawołałem i nie potrafiłem opanować dreszczu obrzydzenia.

- Tak. Nie. Nie. To nic nie da. Może masz rację - opuściła głowę i wpatrywała się w ziemię pod naszymi nogami. - Może sprzeciw ma jakąś wartość? Kto wie - uśmiechnęła się leciutko. - Może to się kiedyś policzy?

- Co ty wiesz? - spytałem. - Co przemilczasz? - zawołałem.

Łagodnie odsunęła się.

- Będę ci pomagać - powiedziała rzeczowo. - Próbuje.

Ruszyła i ruszyłem obok niej, a potem wysunąłem się na czoło orszaku, a prezydent ochoczo dał się prowadzić, skorygowałem kierunek, szliśmy na północny zachód, wprost na moje miasto.

Nie zamierzałem jednak ich doprowadzić.

Wyglądało na to, że do mojego miasta nie jest daleko, może dzień marszu, nie zamierzałem ich doprowadzić, planowałem dotarcie do jakiegokolwiek miejsca żywego i pozostawienie tam orszaku, planowałem zabrać Martę, jeśli się zgodzi, i uciec. Wierzyłem w wyjście.

Wieczorem, głodni i spragnieni, w ciągle uroczystym pochodzie, nie łamiąc ani na chwilę przyjętego porządku, stanęliśmy, by przypatrzeć się z góry wzorom skał czy budowli, z których promieniście wystrzelało kilkanaście jasnych linii, rozciągniętych aż do horyzontu. Staliśmy na wyniosłości, której zakrzywiona krawędź otaczała kotlinę, strome zbocze prowadziło w dół. Prezydent objął widok radosnym, nie zaskoczonym wzrokiem i obrócił się ku mnie. Patrzył przytomnie teraz, rozwarte powieki ukazywały poważne oczy.

- Poznajesz? - spytał.

Skinąłem głową, choć nie poznawałem, ale sprzeciwiając się mogłem wywołać nowy, ekstatyczny monolog. Pewność jego głosu zmuszała do przytaknięcia.

- Poznaję - powiedziałem.

- Archiwum - oznajmił. - Myliłeś się. Jest puste. Już puste i nasze. Przestroga, wyrok i zadanie.

- Przestroga, wyrok i zadanie - powtórzyłem bezwiednie.

- Przestroga, wyrok i zadanie - zawołali chórem technicy i czarny.

Prezydent opanował ich już. całkowicie, załamani pogrzebem musieli zwrócić się tylko ku niemu, bo niósł misję, a potrzebowali jakiegokolwiek celu. Ten był im bliski.

- To nic nie znaczy - powiedziała Marta. Stała tuż koło mnie i przypominała, że należy walczyć.

- Może - przytaknął z nie ukrywanym szyderstwem. - Ale myślcie o archiwum.

- Twój labirynt - stwierdził potem jeszcze raz i powtórzył gest, jakby przyciskał leżącą na

dole strukturę do piersi. - Archiwum.

To było jednak miasto z pudełkami, lecz pudełka zapodziały się gdzieś, przestrzenie między domami, jeśli to były domy, zavalone widocznymi nawet stąd złomami skał czy ścian, poza tym były puste. Prezydent ruszył i jednocześnie z nim drgnął orszak, schodzili w dół po stopniach, które nie przybrały jeszcze ostatecznych kształtów, jak nie przybrało ich miasto, pomyślałem, że może kształty te kiedyś były pełne, ale zawstydziłem się tej myśli, bo postanowiłem wrócić do siebie, do mojego miasta, porzucić orszak gdziekolwiek, nie wskazywać mu kierunku, choć nie wiedziałem, czy orszak jest nieświadomy położenia mojego miasta, wszak obaj technicy musieli pamiętać, jeśli w zonie pamięt ali cokolwiek, bo nie odzywali się i poruszali jak manekiny, musieli pamiętać pytania i moje odpowiedzi w studio, i podstęp, jakiego się dopuścili w czasie rehabilitacji. Postanowiłem porzucić orszak, a jeśli się uda, zabrać zeń także Martę, zabrać, jeśli Marta się zgodzi. Jeśli się zgodzi, bo choć znów była Martą, to jednak szła z orszakiem, chciała mi pomagać, a ukrywała jakąś wiedzę czy przeczucie.

Po stopniach wyrąbanych w skale lub wyrosłych z niej, wyrosłych?, zstąpiliśmy w dół, tam była woda i tam rozbiliśmy obóz. Technicy, poderwani rozkazem prezydenta, a potem i czarny ruszyli w poszukiwaniu żywności.

Ułożyliśmy się na płaskich, nagranych słońcem kamieniach, niektóre z nich, wygładzone przez czas, zdążyły przyozdobić się postaciami ludzi i zwierząt, gdzieś tam pojawiła się już na tych postaciach farba, blada jeszcze, skąpa, ale rzeczywista. Pomocnica żony prezydenta ściągała skądś gałęzie i wkrótce rozpalila ognisko, gotowaliśmy wodę, w którą prezydent sypał suszone zioła, i piliśmy ciepły wywar. Potem wrócili technicy, niosąc złowionego cielaka, martwego już, pomocnica przyłączyła się do nich, zręcznie oprawili zwierzę, a prezydent tymczasem przytomnie opowiadał o wyprawach myśliwskich do lasów za jeziorem i o polowaniach, i o ogniskach, i o pieczeniu, a potem zawiesili całą tuszę nad ogniem, na prymitywnym rożnie i obracali ją cierpliwie. Niski odpowiedział na pytania prezydenta, tak, zwierząt jest dużo, w parku, położonym nie opodal, i na pastwiskach koło miasta, niedaleko stąd.

Jedliśmy pieczone mięso, siedząc kręgiem wokół potrzaskującego ognia, zapadła noc, płomienie grzały nas i przyciągały spojrzenia, prezydent przesunął się do mnie i miał ten sam, skierowany w głąb siebie wzrok, i znów uśmiech przylgnął do jego twarzy, wydobywany przez płomienie z ciemności, jak grymas szalonego bólu, mamy misję, wychrypiał, chciałem mu przerwać, ale technicy, uprzedzeni widocznie wcześniej, pilnowali mnie i znów poczułem ich ręce za sobą, gotowe bić, nie mogłem mu przerwać, mamy misję, powiedział, i dlatego, ponosząc ofiary, wyszliśmy z miasta.

Stwarzał, na moich oczach, na naszych oczach (ale oni gotowi byli słuchać, przywykli do cudowności objawień władzy), na moich oczach stwarzał nam mitologię i cel, jak przed pogrzebem, rozumiałem, że to dla nich jedyne wyjście, jeśli nie chcą zatracić się i umrzeć, wracając do internatu lub tworząc gdzieś tutaj swój własny internat, ale pomysł, jeśli to był pomysł, prezydenta powinienem rozbijać, rozbijać, póki nie zostanie z niego nic. Lecz ręce techników (kilkakrotnie przerywałem prezydentowi, oczekując bicia - nie bili tym razem) obezwładniały mnie i spadały na usta, zmuszając do milczenia. Marta, siedząca także

niedaleko, obserwowała moje zmagania - i ona też może nie poddawała się hipnozie słów - ale jeszcze nie pomagała mi, była, czuła się znów, mimo obietnicy, członkiem orszaku i miała dzielić jego los, nie przerywała prezydentowi i nie wspomagała mych tłumionych przez techników protestów aż do chwili, w której prezydent, skandując słowa o ekspansji, nie zaczął wytyczać kierunku, znów na północ, wtedy wydała głos mocniejszy od jego głosu, krzyk, a gdy umilkł na chwilę, zaczęła przewidywać czy zmyślać, naśladowując jego intonację (przewidywała): natkniemy się na namioty i na Celesa, i na jego dziadka, i na ich ludzi, wystarczy wspomnieć o ekspansji, a pójdą na nas albo w innym kierunku, ale wcześniej czy później naśladowując nas dotrą do Velvy, do Velvy, do Velvy.

Technicy słuchali nieruchomo, czarny potakiwał podśmiewając się, ale potakiwał, a żona prezydenta i jej pomocnica oplotły się ramionami, zapominając, i one zapomniały, o etykiecie.

- Tak - powiedział prezydent - Joanna ma rację.

Powiedział: Joanna, a więc coraz głębiej wracał w przeszłość, bo wymyślając swą misję, musiał zetrzeć wydarzenia ostatnich dni, powiedział, Joanna, odbierając mi prawie nadzieję, bo Marta, przyjmując to imię, odpowiedziała mu, potwierdziła: przewiduję.

- Musimy tu zostać - powiedziała.

- Musimy iść - zaprzeczył prezydent - i Jan nas poprowadzi, po to był rehabilitowany, po to przypomniał sobie wszystko, co powinien pamiętać, teraz nas poprowadzi, przejęty wielką misją.

- Nie - powiedziała Marta, dała mi znak, bym milczał. - Nie. On nie zna drogi, on przypomniał sobie wszystko i przeszedł rehabilitację.

Była po mojej stronie i walczyła jego własną bronią, bronią prezydenta, który nazwał ją Joanną, a więc zapomniał, powinien zapomnieć o mojej próbie wyjścia w zonę i o zatrzymaniu mnie, i o pogrzebie. Pomyślałem, że Marta ucieknie ze mną, zmuszę ją do decyzji.

- Nie zna drogi - powtórzył prezydent, szparki jego oczu przyłgnęły do ognia. Uśmiech rozszerzył się, rozcapierzając wąsy, i chytry szept popłynął ku nam: - Nie zna drogi, ale naszym zadaniem, a więc jego zadaniem jest poznawanie. Poprowadzi nas, mianuję go przewodnikiem.

- Nie - powiedziała Marta, pochyliła się ku niemu. - Ojczy, ja jestem Martą.

Ale i teraz nie udało się przerwać jego transu, poprowadzi nas, powiedział, a ty mu pomożesz, bo latałaś w misji i powróciłaś, choć nie ma powrotu, powróciłaś, gdyż trzej starzy technicy tak chcieli.

Marta ustąpiła nagle, każda logika rozbijała się o jego argumenty, polegające na zapominaniu i przypominaniu, na pamięci i niepamięci, którymi prezydent nauczył się żonglować w ciągu wielu lat władzy lepiej niż ktokolwiek inny, a przecież w tej dziedzinie Velva miała niezaprzeczone osiągnięcia, i nad którymi panował: bo umarł, by wprowadzić misję w czyn. Mógł to zrobić.

- Poprowadzi - powiedział prezydent - bo jest przewodnikiem. Poprowadzi, bo wie mniej niż my, ale inaczej, bo nie wychodząc z Velvy i nie powracając do niej udowodnił, że ekspansja jest słuszna, gdyż poza Velwą wiedza jest mniejsza niż w Velvie. Nie znał ciężarówek, które muszą stale jeździć.

- Ciężarówki muszą być w ruchu - szepnęli za mną technicy.

- Nie pamiętał studia, nie znał obrazów, nie wiedzą więc o nich i poza Velvą.
- Nie pamiętał - przytaknęli technicy.
- On jest z Velvy - powiedziała Marta, to była ostatnia próba. - Granice są nieprzebyte.

- Zawsze szukaliśmy przejścia - odparł prezydent. - I teraz my je znajdziemy, bo prezydenci nie umierają, prezydenci znikają, a ja nie zniknąłem. Jestem - objawił.

- Prezydent jest - szepnęli technicy, wydawało mi się, że czuję, jak wraca do nich życie, ich ręce - gotowe do bicia za moimi plecami - przeniknęło ciepło, ich postawy stały się miększe, lecz bardziej zdecydowane. Czarny zgubił gdzieś nieustający chichocik i pochylił się ku prezydentowi w pozie gotowej do usług, dyskretnych i wykonywanych bez wahań. Kobiety odskoczyły od siebie, rozcierając miejsca, którymi dotykały się nawzajem. Etykieta powróciła, Velva zbliżała się ku nam, przedzierając przez zonę.

- My też nie pamiętamy - powiedziała Marta.

- Ale my wiemy o tym i dlatego jest przypomnienie - powiedział prezydent surowym tonem niezadowolonego z postępów uczennicy nauczyciela. - Poprowadzi.

Rano, po śniadaniu, prezydent odpoczywał. Spędziłem noc, usiłując zorientować się w przestrzeni, poznawałem gwiazdy i wytyczałem kierunek, ale między moim miastem a mną leżała ta zabudowana połać, pełna być może pułapek. Nie mogłem jednak jej ominąć, widziałem dobrze z góry wybiegające z niej jasne promienie, może dróg, a może przeszkód, zresztą i drogi, jeśli miały wiek miasta, nie zdążyły się, przypuszczałem, ukształtować, a więc mogły mnie nie przepuścić. Musiałem przebrnąć przez puste miasto, ale to był kierunek, który obierze także orszak, ścigając mnie. Nie miałem szans na przekonanie prezydenta, że nie znam drogi, nie mogłem także zwodzić orszaku na manowce, gdyż niechybnie gdzieś marsz przegrodziłyby przewidziane przez Martę namioty Celesa i jego dziadka, a nie wiedziałem już, czego powinienem bardziej się obawiać: Velvy czy naśladowców, bo może naśladowanie mogło przynieść więcej szkód. Postanowiłem zostać z orszakiem jeszcze jakiś czas i opóźnić marsz, a może zgubić ich w labiryncie miasta.

Nie wolno im było dotrzeć w pobliże mojego domu, bo podsłuchiwanie (tak teraz postanowiłem), jakiego się dopuścił fałszywy komandor na moście, nie miało nas, wychodzących, oszukać, miało być zauważone, byśmy wyruszyli sceptycznie, ale stanowczo, tak teraz postanowiłem to interpretować, znając przewidywania Marty, w które zaplątała się informacja o zawróceniu z drogi Tomasza. Podsłuchiwali nas na moście czy nie, mylili się czy nie, wędrowaliśmy czy nie, nie miało to znaczenia, chciałem, by wszystko trwało: dopuszczenie do velviańskiej ekspansji oznaczało zdruzgotanie ładu, mojego ładu, oznaczało może ciężarówkę, ideę, techników i internet.

Prezydent odpoczywał, wyczerpany wczorajszym marszem, i nie mówił o misji, ale na pewno o niej nie zapomniał. Wysłał techników na polowanie, wrócili wkrótce z nowym zapasem mięsa, które natychmiast upieczono, byśmy nie musieli w drodze martwić się o żywność.

Marta podeszła do mnie.

- Prowadź - powiedziała. I ona chyba nie spała w nocy, rozważając możliwości, policzki jej zapadły się i wystające kości rzucały głębokie cienie na twarz.

- Nie - powiedziałem.

- Prowadź -- powtórzyła raz jeszcze. - To wszystko nie ma znaczenia.
- Co?
- To, co robisz.
- Czy on kłamał? - spytałem, myśląc o prezydencie.
- Wtedy, przed pogrzebem? Nie. Tylko mnie chciał oszukać.
- Więc oszalał.
- Nie - powiedziała. - Mówi prawdę. Misja jest.
- Co jest prawdą?
- Wszystko, wszystko, co chcesz.
- Nie chcę prowadzić. Pomożesz mi?

Nie zawahała się, patrzyła prosto w moje oczy i jej źrenice, może przez cień, który dobiegał nas z góry, gdy chmura na chwilę przysłoniła słońce, rozwarły się szerzej. Na skroniach Marty drobniutkie kropelki potu, znak napięcia lub lęku, zlepiły delikatne włosy. Nozdrza zadrgały tak leciutko, że ich ruch mógł być grą światła jedynie.

- Tak - powiedziała zdecydowanie, ale bez przekonania. Wydawało się, że jej twarz nigdy nie знаła uśmiechu ani radości. Nosila na niej powagę tak głęboką, że nie znalazłoby się miejsca na wesołość czy smutek, nie było tam miejsca na żadne uczucia.

Zdażyła się już umyć, uczesać, doprowadzić odzież do porządku. Usiadła teraz, zobaczyłem równą linię przedziałka we włosach. Czekala na moje decyzje, gotowa nie osądzać ich i nie poddawać krytyce, bez wiary w ich spełnienie, pochylilem się i szeptałem gorączkowe słowa, jakbym wyznaniem miłości chciał jeszcze raz ją ogrzać. Przyjmowała je obojętnie, niby zapewnienia od dawna znane i od dawna oczywiste, aż niepotrzebne. Odwróciła głowę. Nie powinienem nic mówić teraz, w moich ustach słowa brzmiały przedwcześnie, w jej uszach zbyt późno. Czysta, pachnąca i nieskazitelnie ubrana w pogrzebowe szaty siedziała na płaskim kamieniu, który mógł być progiem nie istniejącego jeszcze gmachu, na skrzyżowaniu wylotów kilku niskich ulic - po ich bokach sterczały nie dorosłe domy. Ściany wyciągały się w górę, ale miały się wyciągać coraz wyżej przez wiele jeszcze dziesiątków lat.

- Czy ty jesteś? - spytałem nagle, pamiętając o chłopcu.
 - Jestem - uśmiechnęła się, ale cienie na jej twarzy pogłębiły się. - Jeszcze jestem.
- Odsunęła się nagle, między moją wyciągniętą ręką a jej ramieniem powstała luka.
- Jeszcze jestem - powtórzyła. - Decyduj.
 - Nie - powiedziałem. - Nie będę prowadził. Nie wiem, po co on to mówi. Nie możecie powrócić do Velvy. Nie macie nic do niesienia. Po co on to mówi?
 - Jeśli nie poprowadzisz - powiedziała - wyjdziemy na namioty naśladowców, a jeśli oni poznają ekspansję, odrzucą nieprzebyteść. Nie będą bali się już lasów, pójdą wszędzie. Albo prezydent, albo oni.
 - Nie - powiedziałem. - Ich też nie ma. Ich tylko przewidziałas.
 - Patrz - wyciągnęła rękę ku urwisku, wysoko, nad nami, na skraju czaszy obejmującej miasto z tej strony, białały punkciki namiotów.
 - Ich tam nie ma! - krzyknąłem.
 - Nie ma ich - zgodziła się - ale mogą być. Wybieraj.
 - Poprowadzę tylko ciebie. Uciekniemy. Obiecałaś pomóc.

Była zdecydowana, widziałem to, ale skinienie głową przyszło jej z trudem.

- Bez idei - powiedziałem.

- Idea została w Velvie? - spytała ze znużeniem, jakby tylko chciała się upewnić, że trwam w błędzie.

- Tak. Więc i oni nie mogą jej poznać - stwierdziłem i wskazałem na namioty. Nie było ich już, w górze jarzyły się tylko białe głązy.

Technicy prowadzili ku nam prezydenta. Noc osłabiła go chyba, może nie spał, ale uśmiech znów krzywił mu usta.

- Poprowadzisz? - spytał z daleka.

Przystanął nad nami, a potem ciężko, technicy mu pomagali, opuścił się na kamień, leżący obok Marty, pozdrowił ją dopiero teraz, potem mnie.

- Nie - powiedziałem.

Odszedłem, nie patrząc na obozowisko, dziewczynę, prezydenta i ludzi. Zatrzymałem się u wylotu ulicy i czekałem na Martę, podnosiła się powoli, jakby tylko przyrzeczenie zmuszało ją do postępowania za mną, technicy skoczyli ku niej i przytrzymali, prezydent zamachał ręką.

- Wracaj! - krzyknął. - Ona nie pójdzie. Wracaj!

Marta nie wrywała się. Technicy unieruchomili jej ręce, ale gdyby po prostu stanęli koło niej, także nie zrobiłaby ani kroku, wola ojca sparaliżowała ją jeszcze raz.

- Wracaj! - krzyknął znów prezydent. - Stracisz ją.

Wahałem się. Marta patrzyła na mnie.

- Idź - powiedziała. - Spotkamy się. Próbuje sam. Spotkamy się. Obiecuję.

Poruszały się tylko jej wargi. Po sekundzie powiew wiatru podniósł kosmyki jej włosów, odwróciłem się i wstąpiłem w ulicę, której nie dorosłe ściany długo jeszcze nie mogły mnie zakryć przed oczyma tamtych, ale ściany wyciągały się jednak w górę i w końcu osiągnęły zawrotną wysokość, dotykając nieba, a ulice, zbyt wąskie dla tych wysokości, prowadziły mnie bezsensownie, tak, jak chłopiec kiedyś widział w nocy, kapryśnymi liniami, zbliżałem się do obozowiska i oddalałem, straciłem w końcu kierunek i zorientowałem się znów, znalazłszy na obszernym placu, pośrodku którego sterczał z cokołu posąg. Skoczyłem w najbliższą ulicę, bo wydawało się, że mnie ścigają, i znów błądziłem w meandrach puste go miasta, nie dostrzegałem prześwitów między domami, miasta bardziej dojrzałego, domy nie rosły już, gdzieś zaopatrzyły się w drzwi i szyby w oknach, gdzieś i bruk zdążył się już scalić, a potem domy zamknęły się nade mną, tunel, gwałtownie zwężony prowadził prosto jak strzelił, nie, to nie domy, to ja wszedłem w ogromny budynek, za mną tupot pościgu, przywarowałem, przepuściłem ich i znowu biegłem, a potem w ciemności nie słyszałem nic, błąkałem się długo, brnąłem przez gmach, szukając wyjścia, dobiegło nagle potrzaskiwanie stropu, jeśli tam był strop, a potem było światło i najpierw znów chciałem się cofnąć, światło ciepłe i żywe, w jego snopach wirował kurz, wyszedłem, wypelzłem na zwały metalu, na pokręcone blachy, rury przerdzewiałe jeszcze, kawałki scalających się urządzeń i mechanizmów, dostałem się w głąb dopiero organizowanego rumowiska i znów, przesmykami, wędrowałem, złomowisko ciągnęło się kilometrami, byłem sam i zgubiłem pościg, pełzłem, wydostałem się na powierzchnię, to był skraj.

Ścieżką ku złomowisku szło troje, dwóch mężczyzn w białych koszulach z podwiniętymi

rękawami w drelichowych spodniach, wtapiających się w tło, tych dwóch prowadziło dziewczynę, bosą, w uroczystym pogrzebowym stroju, zmiętym przez wędrówki. Czekałem na nich u wylotu jamy, nie kryjąc się, a i oni szli bez wahań, miarowo przestawiając nogi, widzieli mnie i wtedy ich poznałem, to był mój ojciec i komandor, prowadzili Martę.

Zatrzymali się tuż przede mną, *dotarłeś wreszcie*, powiedział ojciec, *czy znalazłeś chłopca?* Jego twarz o drobnych rysach z bolesnym napięciem kierowała się ku mnie i cofnąłem się odruchowo, wyglądając natychmiastowej kary.

- Nie - powiedziałem. - Znalazłem dziewczynę, ale ją macie.

- Tak - przytaknął ojciec, komandor nie odzywał się, zasłuchany w nasze samotne głosy.

- Wyprzedziła cię, więc ją przyprowadziliśmy.

Puścił rękę Marty.

- Co z nią zrobiliście?

Ojciec, ruszył nagle ku mnie, cofnąłem się, ale nie tak daleko, jakbym pragnął. Komandor nie odrywając spojrzenia od wejścia w jamę wyciągnął dłoń i powiedział, że mnie wita, to nie zabrzmiało tak, jak powinno brzmieć, spóźnił się z powitaniem, a może chciał mi dać do zrozumienia, że na powitanie nie zasłużyłem.

- Co z nią zrobiliście? - spytałem jeszcze raz.

Ojciec obejrzał się na Martę, stojącą ciągle w tym samym miejscu, *przyprowadziliśmy*, powiedział ze zdziwieniem, *musieliśmy ci wyjść naprzeciw*.

- Myślałem, że została z nimi - powiedziałem z radością.

- Była sama.

- Skąd wiedzieliście, że tu wyjdziemy?

Ojciec opuścił głowę i przygarbił się. Nie odpowiadał długo, a komandor mierzył go przeciągłym, współczującym spojrzeniem.

- Tak musiało być - odezwał się ojciec. - Spóźniałeś się. Nigdy bym nie przypuścił, że to ty właśnie...

- Wiedzieliście! - krzyknąłem.

- Nie. Ale los trzeba dręczyć.

- Wracam - powiedziałem.

- Za późno - odezwali się jednocześnie.

- Wracam. Puśćcie ją.

Komandor nie dotykał Marty, odsunął się od niej jeszcze bardziej.

Ruszyła posłusznie, gdy ją zawołałem, wpelzła w otwór. Nim wsunąłem się w złomowisko, pożegnałem ojca spojrzeniem. Nie odpowiedział, ustawił się obok komandora, jakby razem z nim zamierzał nadal czekać.

Nie odeszliśmy daleko, Marta, dysząc głośno, czołgała się pierwsza, próbowałem jej pomóc, ale w wąskim przejściu nie było miejsca dla dwojga jednocześnie. Z dala zatupotało, a potem z bocznego przejścia wypadł orszak i stratował nas, nie zauważywszy, przemknął dalej, *stój*, syknąłem, bo Marta usiłowała się poderwać, przyprowadziłaś ich, nie, powiedziała, nie, wrzask orszaku rozrywał uszy, nawracał, zagrzmiał osypujący się metal, buchnął pełen rdzy pył, orszak zbliżał się, uciekajcie, krzyknąłem, idźcie stąd, i popychałem Martę w ciemną jamę, głęboko, popychałem, dlaczego to zrobiłaś, szeptałem, nie, mówiła, nie, strach

usztywniał ją, jeszcze nie.

Nie wiedziałem, czego się bała, trzymałem ją mocno, zeszywniała prawie w moich rękach.

- Nie prowadziłam ich - szeptała - poszłam za tobą, uciekłam im, chciałam być z tobą, zostawiłam ich,, nie chciałam, nie chciałam, żebyś ich prowadził, wierz mi. Zbłądziłam i wyszłam na tych ludzi. Na twojego ojca.

- Prędej - mówiłem, nie słuchając prawie, tu było więcej miejsca, szła potykając się i zapewniała, że nie prowadziła, chciała być ze mną. - Wierzę ci - powiedziałem - wracamy do tamtego miasta, musimy ich zmylić, pospiesz się.

Nie wiedziałem jeszcze, co mam robić.

- Poprowadzisz? - spytała.

- Tak.

Uspokoila się nagle, ucichł gorączkowy szept zapewnień, szła tuż obok mnie, w szerszym korytarzu, znów skręciliśmy w ciemny, niebezpieczny przesmyk, sama wybierała drogę, postępowałem za nią.

- Nie bój się - powiedziała głośno. - Mnie już nie ma.

- Nie boję się - szepnąłem. - Jesteś - uśmiechnąłem się do niej, choć nie mogła tego widzieć. - Wrócimy do miasta, do obozowiska - opowiadałem - zrobimy hałas i oni tam przyjdą, a potem znikniemy. Potem pójdziemy do mojego domu.

Zatrzymała się. Obejrzała miejsce, z góry sączył się niepewny strumyczek blasku, szarzyzna ukazała złomy metalu, wielkie bloki, głązy, blachy, niestabilny zbiór ścian i sufitu. Wyciągnęła ręce i przyłgnęła do mnie, usłyszałem serce Marty bijące powoli i silnie.

- Tak - tchnęła prosto w moje usta. Obejmowałem ją, opuściłem ramiona i uchwyciłem jej ręce, patrzyła spokojnym wzrokiem, czekała, tak, powtórzyła, orszak znów zagrzmiął niedaleko, tak, powiedziała głośno, teraz, krzyknęła, orszak zbliżał się, wiedziałas, syknąłem i wykręciłem jej rękę. Nie próbowała się uwolnić. Przymknęła oczy, jeszcze jej usta poruszały się.

- Znasz drogę - powiedziałem.

Orszak był tuż, za ścianą, za jedynym zakrętem. Pchnąłem ją, gdy otwierała oczy i posłała mi jeszcze jedno spojrzenie - jej ciało zwolnionym, płynnym upadkiem dotknęło metalu i zatrzymało na nim, runąłem na Martę, przywaliłem i zdławiłem, szeptałem: cicho, cicho, zaraz przejdą, cicho, metal zajazgotał i usunął się, odskoczyłem, ciężka płyta przechylała się powoli, chwyciłem ją, ale już uderzyła krawędzią w skroń Marty i bezszelestnie posunęła dalej. Krew pociekła po twarzy i wydobyła się z ust dziewczyny szybkim pulsowaniem, zamierającym od razu, Marta patrzyła na mnie, poruszyła ręką, uniosłem ją i wtedy pojawił się orszak.

Z ciałem Marty, ciepłym i bezwładnym, przemierzałem korytarze, zobaczyłem światło i wypelzłem, dźwigając dziewczynę, na powierzchnię.

Ojciec i komandor czekali jeszcze. Wyprostowałem się i pokazałem im Martę, ale nie patrzyli na nas, spoglądali obojętnie niżej, w otwór, z którego wysuwał się prezydent. Odepchnął mnie, odstąpiłem trzymając Martę, za nim wyszli ze złomowiska technicy, czarny i kobiety.

Prezydent wyciągnął ręce ku niebu i zawołał, a inni powtórzyli okrzyk.

- W imię ekspansji!

Ojciec i komandor zawrócili w stronę miasta, prezydent zaśmiał się i zawołał znów.

Trzymałem na rękach ciało Marty i patrzyłem na rząd starych, poczemiałych, i nowych, tegorocznych, lalek. To tu przychodziły dziewczęta, by składać dary. Kobiety, żona prezydenta i pomocnica, zbierały je z ziemi i odrzucały daleko, obejrzawszy.

Trzymałem Martę w ramionach, a prezydent krzyczał w kierunku mojego miasta.